

**F. S. DMOCHOWSKIEGO**

**WSPOMNIENIA.**

# F. S. DMOCHOWSKIEGO

## WSPOMNIENIA

od 1806 do 1830 roku.



**WARSZAWA.**

**W DRUKARNI J. JAWORSKIEGO.**

Ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1858.

~~36243~~

I

Thauschur Warszawa. 12. III. 32



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 1 (13) Kwietnia 1858 r.

Starszy Cenzor, Radca Honorowy,  
T. HERTZ.

71121

I

# MOJE WSPOMNIENIA.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

---

### I.

Pierwsze wrażenia. — Majętność w Kujawach. — Dawny dwór kasztelański — Zatrudnienia i słabość ojca. — Pan Kraszewski i Cieszkowski. — Zgon ojca. — Matka.

W chwili kiedy zaczynam spisywać moje wspomnienia, kończę pięćdziesiąty siódmy rok życia. Mogę zatem zasięgać pamięcią, okres, pół wieku obejmujący.

Pierwsze wrażenia, jakie w dzieciństwie uderzyły mój umysł, łączą się właśnie z czasem ustąpienia Prusaków z kraju naszego, a wniknięciem wojsk Francuzkich i utworzeniem Księstwa Warszawskiego. Rodzice moi posiadali dom w Warszawie, przy ulicy Pawiój; był to



pałacyk bez piętra, z ogrodem i oficyną, o kilkadziesiąt kroków od koszar artylleryi stojący. Wcześniej bardzo nauczono mnie czytać po polsku i po francuzku, bo o ile zapamiętać mogę, mając półszósta roku, czytałem wprawnie i umiałem na pamięć wyjątki z Iliady Homera tłumaczenia ojca, z dzieł Krasickiego i Karpińskiego. Ojciec mój, tłumacz Iliady, wydawca Pamiętnika Warszawskiego i dzieł Krasickiego, nabył także za posag żony i z własnych uzbieranych funduszków, majątność w Kujawach, Swiesz zwaną. Wypuścił ją w dzierżawę na trzy lata od 1803 do 1806 roku, a na 5-ty Jan 1806 odebrał ją na siebie. Wyjechali zatem rodzice moi z Warszawy, na stałe mieszkanie do téj majątności.

Majątność Swiesz była przed niedawnemi laty częścią obszernych posiadłości familii Gąsiorowskich. Jeden z nich był kasztelanem Radziejowskim. Dwór czyli pałac w Swieszu, stawiany był około 1740 r. W téj to epoce, po uspokojeniu zamieszek krajowych, szlachta polska zajęła się budowaniem dworów i zakładaniem ogrodów. Zapewne użyli majstrów z Sa-

ksonii sprowadzonych, gdyż prawie wszystkie dwory obywatelskie z owéj epoki, podobne są jedne do drugich. Dwór w Swieszu był może najwydatniejszym typem téj budowy i z tego powodu opiszę go nieco obszerniej.

Korpus główny, składał się z wielkiej sieni, z sali i z czterech pokoiów; szerokie schody prowadziły na górę. Wprost drzwi wchodowych, były drzwi do sali; po prawej i lewej stronie drzwi do pokoiów, z których każdy o dwóch oknach, miał około dwunastu łokci długości, a dziesięć głębokości. Sala była głębsza, gdyż podobnie jak sień, wystawała naprzód o cztery łokcie. Pokoje wyłożone były obiciem adamaszkowém, lub olejno malowaném, sufity tak samo. W wielkiej sali na środku sufitu, była bogini Ceres, a po rogach postaci niewieście, wyobrażające cztery pory roku. Zima siedziała w rogu, nad ogromnym piecem, w postaci staréj niewiasty i grzała sobie ręce przy ogniu.

Z okien sali piękny był widok na obszerne jezioro i dwa wały, na dole nad jeziorem usypiane. Na pierwszém piętrze była sień od stro-

ny dziedzińca, od strony zaś jeziora, druga sala, służąca do biesiad i zjazdów obywatelskich. Dach łamany na sposób Saski: jakiego jeszcze wzory tu i owdzie znaleźć można, w budynkach w owym czasie postawionych: mieścił w sobie cztery pokoje gościnne, każdy o dwóch oknach zrobionych w wysokim dymniku, tak obszernym, że sam już był pewnym rodzajem małego pokoiku. Ale te pięć komnat dolnych i pięć górnych, nie byłyby dostatecznym pomieszczeniem kasztelana, jego rodziny i gości. Jednocześnie z korpusem, zbudowano cztery narożniki bez piętra, téjże wysokości co dół pałacu, a tam gdzie dach narożnika łączył się z głównym dachem domu, dano rynny z ołowianej blachy, więcej jak na pół cala grubój. W każdym narożniku były dwa spore pokoje.

Dawny dziedzic spieszył się z postawieniem tego gmachu. Zbudował go bowiem z drzewa kostkowego, grubego na ośm cali, a może i więcej, a potem dla ozdoby i ciepła obmurować kazał te drewniane ściany na jedną cegłę, na wapno, zewnątrz i wewnątrz. Dwór zatem wyglądał jak murowany, a ściany drewniane mu-

siały być mocne i grube; kiedy znieść mogły ogromny wysoki dach, dachówką kryty.

Dwór Swieski utrzymał się w swojej ozdobie przez dwa tylko pokolenia, kasztelana Gąsiorowskiego i jego syna, szambelana przy królu Poniatowskim. Po szambelanie pozostał syn małoletni i odbywał nauki w Poznaniu i za granicą. Przez ten czas, rządcy i dzierżawcy спустoszyli dwór, powydzierali z pokojów obicia wartość mające i zostawili nagie ściany; wydarli rynny ołowiane, leżące na załomkach dachu, między narożnikami a korpusem; a woda zaciekając po ścianach, dostała się między obmurowanie zewnętrzne i drzewo, które, chociaż było bardzo rdzenne, musiało uleść zniszczeniu. W takim upadku, zastaliśmy ten budynek. Wyporzadzono kilka pokojów po prawej stronie; naprawę reszty odłożono do lepszych czasów, które nigdy nie nadeszły.

Lecz ozdobą majątności był ogród, obsadzony lipami i szpalerami lipowemi przecięty. Prawie był tak obszerny jak ogród Saski. W około ciągnęły się dwa rzędy wysokich lip i zdaleka czyniły ten ogród podobnym do pięknego

gaju. W środku było sześć kwater przedzielonych podwójnemi szpalerami z drzew lipowych. Naprzeciw dworu usypane tarasy, dochodziły aż do kanału, zasilanego wodą z jeziora.

Nie mało takich dworów i ogrodów ozdabiało Kujawy za moich lat młodocianych. Wspomnę tylko Gradów, Dąbie, Lubraniec, Wierzbie i Płowce.

Najwięcej lubiłem pustą salę górną; tam deklamowałem, dziecinnym głosem, ile mi tylko sił starczyło, wyjątki z Iliady Homera, mianowicie, zaczęcie i pożegnanie Hektora z Andromachą i to mnie bawiło, że mój głos odbijał się o ściany tej opustoszałej komnaty.

Mój ojciec zajmował się wtenczas tłómaczeniem Enejdy Wirgiliusza. Już był dotknięty słabością piersiową, która we dwa lata potem stała się przyczyną jego śmierci, w czterdziestym siódmym roku życia nastąpionój. Nie były to suchoty, lecz zupełne przytłumienie głosu i chrypka, której nie mogły usunąć żadne środki lekarskie. Był mimo tego zdrów i czerstwy. W dni pogodne wychodził na przechadzkę z Wirgiliuszem w rękę i chodząc powolnym i



poważnym krokiem, układał tłómaczenie. Za powrotem siadał do pisania i po kilkadziesiąt wierszy rzucał na papier. Tym sposobem doprowadził pracę swoją do końca dziewiątej księgi. Z ulubionym moim pieskiem, *Bianko* zwanym, wybiegałem zwykle na kilkadziesiąt kroków naprzód i siedziałem przy drodze, czekając dopóki ojciec nie nadejdzie, wtedy zrywałem się znowu i biegłem dalej. Tak przeszło lato i jesień 1806 roku. W listopadzie przeraziła nas smutna katastrofa. Ojciec wyjechał do pobliskiego miasteczka Radziejowa. Nad wieczorem przybiega posłaniec konny, z oznajmieniem, że pan śmiertelnie chory, przysyła po żonę i syna. Nie zdołam opisać przerażenia matki. Zaprzężono do bryczki wmgnienu oka. Matka nieprzytomna prawie, porwała mię, posadziła na kolanach i wśród ciemnej nocy, pędziliśmy ile tylko konie wystarczyć mogły. Gdyśmy przybyli, już minęło pierwsze niebezpieczeństwo. Był to gwałtowny krwotok, ustami i nosem. Przytomność i zręczność miejscowego lekarza, uratowała mego ojca. Wypadek ten nie pociągnął niezwłocznych złych skutków.

Za kilka dni, już ojciec wrócić mógł do zwyczajnego zatrudnienia, a w miesiąc potem pojechał do Warszawy. Głos stłumiony i chrypka pozostały jak wprzód.

W tém właśnie miejscu, najwłaściwiej będzie z mojej strony, zbić wzmiankę, o stosunkach małżeńskiego pożycia, między moim ojcem i matką, która znajduje się w piśmie przyłączoném do pamiętników Ochockiego, a przez J. Kraszewskiego wydanem. Nazwisko pisarza niewiadome było wydawcy. Z jego opowiadania okazuje się, że był drugim mężem mojej rodzonej ciotki, pierwszego ślubu Drewnowskiej. Nazywał się Cieszkowski, imienia jego nie pamiętam. Nie przypominam sobie, żebym go kiedy był widział. To tylko wiem, że ciotka moja była z nim bardzo nieszczęśliwą, że powierzyła mu cały swój majątek przeszło sto tysięcy wynoszący, że wzięli wieś w dzierżawę, w tak zwanym wówczas kordonie austriackim w dawném województwie Podlaskiem, że mąż odjechał od niej, a wkrótce potem jacyś ludzie naszli dom, zabrali wszystkie rzeczy i rewersa na wypożyczone kapitały, własnością mojej cio-

tki będące, tak, iż została bez bielizny i sukien. Pamiętam, jak matka moja z płaczem czytała list siostry, widziałem jak jęj posyłała najpotrzebniejsze rzeczy. Wkrótce potem umarła moja ciotka. Summy wypożyczone i jęj mąż Cieszkowski przepadły jak kamień w wodę, aż dopiero dzięki panu Kraszewskiemu, jego zapiski wyszły na widok publiczny. Nie wiem dla czego nazywa się ten Cieszkowski przyjacielem mego ojca; nigdy o tém nie słyszałem od matki, ani od innych osób połączonych ścisłą zażyłością z ojcem moim. To co mówi o niezgodzie domowej między rodzicami moimi jest fałszem. Matka była jak najmocniej przywiązana do męża, nigdy od niego nie odjeżdżała, nie było między niemi żadnych wyrzutów, ani sporów. Pierwszy wyjazd do Swiesza nastąpił z powodów powyżej wymienionych; o drugim wspomnę niezwłocznie. Nie zapełniałbym pisma mojego temi drobiazgami domowymi, ale powinienem jako syn, odeprzeć zarzuty czynione pamiętce matki. Byłóż to przyzwoitą rzeczą i godną tak popularnego autora, jak p. Kraszewski, aby zakłócał ciszę grobową nie-



wiasty i wdawał się w okoliczności ani do literatury ani do historyi krajowej nie należące? Wszakże uczucie delikatności, które żadnemu człowiekowi z wyższym umysłem, a tembardziej pracującemu w zawodzie pismienictwa, obce być nie może, powinno było skłonić wydawcę dodatku do Pamiętników Duklana Ochockiego do uczynienia stosownego wyboru tem bardziej, że nieznając nazwiska autora zapisków, ani jego stosunków, nie mógł ocenić i sprawdzić jego twierdzeń? To jeszcze wspomnę, że nigdy mój ojciec od nikogo nie był zakłócanym w swoim rodzinném pożyciu, i że to wszystko, co znajduje się w zapiskach Cieszkowskiego, jest jego własnym wymysłem. A zresztą, Cieszkowski opuścił Warszawę i żadnych stosunków nie miał z nią już od roku 1806. Potem odjechał od żony a siostry mojej matki, zostawiwszy ją bez żadnego funduszu do życia i przebywał na Podolu, jak się to z jego pisma okazuje; zkądże więc mógł wiedzieć tak szczegółowo, co się działo w roku 1807 w Warszawie? Skończyłem lat czterdzieści sześć, kiedy moja matka umarła w ośmdziesiątym roku

życia. Aż do zgonu zachowała zupełną przytomność umysłu. Cześć dla pamięci zgasłego męża, najżywsze przywiązanie do syna i wnuczki, były jedynym żywiołem jęj długoletniego życia. Jakże rozrzewniający był widok, kiedy na parę miesięcy przed zgonem, przeglądając swoje papiery, znalazła listy i włosy męża i ze łzami i silném wzruszeniem oglądała te pamiątki. Tak więc, jeszcze dochoowało się w jęj sercu uczucie, które zwykle gaśnie w starości.

Ale czas już powrócić do biegu wspomnień moich, przerwanych tym ustępem.

Co dzień prawie ojciec zadawał mi do nauczenia się jedną liczbę deklinacyi, a następnie konjugacyj łacińskich, i co wieczór, z dziecinnym tryumfem powtarzałem przed nim, *terra, terrae, terram*, albo *placabam, placabas, placabat*. Tym sposobem przeszedłem początki grammatyki i zacząłem tłómaczyć z ojcem zdania z *Tirocinium linguae latinae*, kiedy go śmierć wydarła ukochanęj żonie i siedmio-letniemu dziecięciu.

Ojciec już był przyszedł do siebie po tym krwotoku pierwszym, gdy wiadomości odebra-

ne z Warszawy, skłoniły go, iż w końcu Grudnia, z żoną i ze mną opuścił wieś i przyjechał do stolicy.

Wojska Francuzkie, pod dowództwem Napoleona, odniosłszy stanowcze zwycięstwo pod Jena, doszły aż do brzegów Wisły i zajęły Warszawę. Napoleon trzymając się swego systematu, żeby wojna wojnę żywiła, zażądał od Polaków wystawienia 40,000 wojska i opatrzenia francuskiej armii w żywność i wszelkie potrzeby. Kraj zadosyć uczynił włożonym na niego obowiązkom; o ile Cesarz Francuzów odpłacił się za to, historia wyrzekła.

Mój ojciec niedługo bawił w Warszawie. Stanisław Potocki i Wybicki niechętni jemu i jako pisarze, bo mieli urazę za krótkie lecz sprawiedliwe krytyki prac swoich, i z powodu zapatrywania się na kierunek spraw publicznych w kraju: co jeszcze zagranicą w 1796, między moim ojcem a Wybickim, żywe zrodziło nieporozumienia; stanęli na czele formującego się rządu. Drobne urazy przeniesiono do wyższej sfery i to zrządziło, że ani z gorliwości, ani z doświadczenia i talentu pisarskiego ojca moje-

go, korzystać nie chcieli. Nie pierwszy to i nie ostatni przykład smutnych skutków osobistej urazy, nad którą, mało ludzi, z kądinąd znakomitych i sławnych, wywyższyć się zdoła.

Z początkiem wiosny 1807 roku już wszyscy troje byliśmy znowu w Swieszu i tam ojciec mój dzielił swoje chwile między pracę około gospodarstwa, przekład Enejdy Wirgiliusza i ciche domowe pożycie. Czas ten przeszedł tak jednostajnie, że chociaż w starszém o rok dziecięciu, żadnego wspomnienia nie pozostawił.

Rok 1808, liczę do najsmutniejszych w życiu mojem. W nim bowiem straciłem ukochanego ojca i mając lat siedm i trzy miesiące, zostałem sierotą. W końcu marca tegoż roku, mój ojciec pojechał do Warszawy; matka wraz ze mną pozostała na wsi, (ztańd to uroiła się w głowie Cieszkowskiego, bajka, o ich mniemanym rozdziale). Pocztę były wówczas bardzo nieregularne, kommunikacye utrudnione. Wciągu trzech miesięcy, jeden tylko list odebrała moja matka od męża. Tym czasem, rozchodziły się w okolicy zatrważające i smutne wieści o stanie jego zdrowia. Jeden z sąsiadów przy-

wiózł nawet wiadomość o śmierci mego ojca. Można sobie wyobrazić, jak to przeraziło matkę; już chciała spieszyć do Warszawy, gdy w tém przyszedł list od męża, że jest zdrów i poleca, żeby po niego konie przysłano.

Natychmiast uczyniono zadość temu rozkazowi. Spodziewaliśmy się powrotu ojca, najdalej za dni ośm. Minęło dni dziesięć, dwanaście. Nareszcie wracają ludzie z końmi i powozem, a razem z okropną wiadomością, że pan d. 20 czerwca, w drodze, o milę od Błonia, dostał gwałtownego krwotoku z piersi i w pół godziny życie zakończył. Kiedy przybiegł felczer z miasteczka, zastał już martwe zwłoki, które odwieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu Powązkowskim. Płakałem, widząc płacz i rozpacz matki, lecz dzieckiem będąc, nie mogłem ani ocenić, ani uczuć należyte wielkości straty mojej. Pamiętam to tylko, że przed rokiem, gdy przyszła gromada z wieńcem, po ukończeniu żniw, przyjął ją ojciec wraz z matką na ganku dworskim, a potem gromada weszła do wielkiej sali na dole i tam ochoczo tańczyła do późnej nocy. Gdy w 1808 roku przyszli

żniwiarze, jak zazwyczaj, z okreźnem, przypomniałem sobie że nie ma ojca, uciekłem do ogrodu, z zapłakanemi oczyma usiadłem pod lipą i tak zostawałem, dopóki wołanie matki nie zwróciło mię do domu.

W smutném położeniu została moja biedna matka. Na majątku ciążyły znaczne długi z pozostałości szacunku pochodzące. Był piękny skład książek w Warszawie, wówczas bardzo cenionych: Iliady Homera, dzieł Krasickiego, Karpińskiego i Pamiętnika Warszawskiego tomów dwadzieścia; ale w czasach wojennych i z powodu przerwania komunikacyi z zachodniemi guberniami Cesarstwa Rossyjskiego, ich sprzedaż nagle ustała. Dom także nic prawie nie przynosił, z powodu ogromnych ciężarów wojennych.

Tak więc, zatamowały się na raz jeden wszystkie źródła przychodu: bo i dom w Warszawie w owych czasach, był tylko ciężarem dla właściciela.

Żeby nie to, że od czasu do czasu sprzedawało się corocznie książek nakładowych za parę tysięcy złotych i trochę gotowizny ze wsi wpadło



do ręki, to nie wiem jakimby sposobem można było opędzić pierwsze nieuchronne potrzeby życia. Lecz corocznie narastał procent od summ hipotecznych, pustoszał dwór, upadało gospodarstwo, a przyszłość przedstawiała się w coraz smutniejszej postaci.

Pod takim nawałem przeciwności, uległby męczyzna wytrawny i mający doświadczenie w interesach, a cóż dopiero kobieta sama, oddalona od krewnych, zamieszkała w okolicy jeszcze prawie obcej dla siebie, bez dawnych zażyłych sąsiadów, bez nikogo, ktoby jój rady i pomocy udzielił. Przebiegając wspomnieniem tak odległe lata, czuję tém mocniej, że samo tylko przywiązanie macierzyńskie dodało biednej wdowie, mocy do zniesienia połączonych ciosów smutku i niedoli; tém większą mam przeto powinność złożyć hołd miłości synowskiej na jój grobie.

---

## II.

Pierwszy korrepetytor. — Szkoły. — Wojska Austryackie. —  
Gugenmus i gubernator Köhler. — Tryb nauczania. — Hierar-  
chia Szkolna. — Ławka ośla. — Czytania przed zaczęciem lekcyi. —

Na jesieni roku 1808 przyjechała moja matka wraz ze mną do Warszawy i tam zabawiła czas dłuższy.

Od téj chwili zaczyna się moja szkolna edukacya; wspomnienia moje są jaśniejsze i liczniejsze; kreślę je dla zadosyć uczynienia kilkokrotnym wezwaniom, ogłoszonym w pismach publicznych; wybaczcie, jeżeli nie odpowiedzą oczekiwaniu.

\*

\*

\*

Mieliśmy starego zaufanego sługę, było mu na imie Michał, służył u mojego ojca jeszcze od 1792 roku i jemu powierzyła matka zarząd do-



mu w Warszawie, podczas swojej nieobecności. Za powrotem naszym ze Swiesza, w Grudniu 1808 roku, Michał odezwał się do pani:

— Proszę jéjmości, ja tu wynalazłem dyrektora dla panicza; przyda się, bo to jakiś dobry i pracowity chłopak, a panicza zapewne oddamy do szkół.

— Któż to taki? rzekła matka.

— Uczeń klasy szóstéj u Pijarów; nazywa się Antoni Jakubowicz. Jest synem dawnego kupca Ormiańskiego. Znałem niegdyś jego rodziców, ale oboje wymarli, a chłopiec sierota utrzymuje się i kończy szkoły, dając korrepetycye uczniom z klass niższych. Przyszedł do mnie i rzekł, że, znając ze sławy nieboszczyka pana, chciał prosić wielmożnéj pani o opiekę. Była nie zajęta izdebka na facyatce, pozwoliłem aby sobie w niéj mieszkał.

Ów to biedny uczeń, Antoni Jakubowicz, był to znany późniéj autor słownika rosyjsko - polskiego, tłómacz grammatyki Chapsala, zapalony aż do namiętności zbieracz książek, oficer b. wojsk polskich, ostatecznie sekretarz do przekładu z języka rosyjskiego w biurze Kommissyi

Rządowej Przychodów i Skarbu, zmarły przed kilkunastu laty. Pierwszy to był mój korrepetytor, pierwsza zażyłość trwająca lat trzydzieści i kilka, aż do jego zgonu.

Wówczas (1808 r.) był młodym chłopcem, około dwudziestu lat mającym, skromny, cichy, obyczajny. Matka moja postrzegła, iż może być przydatny dla mnie, ofiarowała mu zatem prócz stancyjki, stół i pieniężne wynagrodzenie, i pan Antoni Jakubowicz zaprowadził mię do pierwszój klasy szkół pijarskich. Było to zaraz po nowym roku 1809. Pierwszy mój nauczyciel żyje dotąd i miło mi jest, że zaszczycam się jego znajomością i życzliwością; jest to były rektor i professor, a teraz emeryt, pan Dziekoński, autor i tłómacz tylu dzieł historycznych, łączących pożytek, zajęcie i dobrą polszczyznę. Był on wówczas młodzieńcem dwudziestoletnim, na wstępie do nauczycielskiego zawodu, lecz odznaczał się gorliwością i tą jasnością wykładu, która potem uczyniła go tak pożytecznym i znakomitym pedagogiem.

Mój korrepetytor, codzień prowadził mię i przyprowadzał ze szkoły. Nauczony, od pier-

wszych lat dziecinnych, szanować starszych, szanowałem go bardzo, a poważanie to rozciągało się i do wszystkich jego kolegów. Jakoż w rzeczy samej, dzieci i młodzież, nie ważyły sobie lekce starszych od siebie i podobno było to lepiej niż teraz, gdy dziecko klasy pierwszej, jest już za pan brat z dorastającym uczniem klasy najwyższej i ma go za nic. Nietylko dla mnie, lecz i dla wszystkich malców klasy pierwszej, klasa szósta była celem czci i poszanowania. Jój uczniowie byli już prawie pod węssem: bo wtedy nie zaczynało i nie kończyło tak prędko edukacyi, a nieraz, celujący uczeń klasy szóstej, zastępował nauczyciela klas niższych, w razie słabości, lub jakiej nieprzewidzianej przeszkody.

Zawołał mię pan Antoni Jakubowicz, żebym przed jego kolegami z klasy szóstej, popisał się z deklamacyą ustępów z Homera i Wirgiljusza. Poszedłem przejęty obawą i wzruszeniem; zdawało mi się że stoję przed jakimś Areopagiem; ażem się zająknął z początku: co mi się i dziś przytrafia gdy mocnego doznaję wzruszenia: ale potem, ochłonawszy, wypaliłem ja-

kie dwieście wierszy i z tryumfalną miną powróciłem do moich współuczniów.

Wnijście austrijackiego wojska, przerwało moje szkolne nauki, bo matka na parę dni przed bitwą Raszyńską wyjechała ze mną na wieś, a mój pan dyrektor Jakubowi z, zaciągnął się do artylleryi: małeńki wzrost jego, nie dozwalał mu wstępu do innéj broni. Po ustąpieniu austriaków i zawarciu pokoju, wróciliśmy do Warszawy i odtąd już bez przerwy zostawałem w szkołach aż do końca Lipca 1817 roku. Z powodu zbyt młodego wieku, zatrzymano mię dwa lata w klassie drugiej i dwa lata w trzeciej. W szóstej, stosownie do przepisów, każdy musiał zostawać dwa lata przed złożeniem egzaminu dojrzałości; a i tak jeszcze, mając lat szesnaście i miesiące cztery, skończyłem szkoły.

Za powrotem do Warszawy, słyszałem opowiadanie o bitwie pod Raszynem, o pobycie wojsk austriackich w Warszawie i o ich ustąpieniu; dołączam je do moich wspomnień. Wdowy poległych oficerów i małżonki tych, którzy z wojskiem wyruszyli na Pragę, zamknęły się

w klasztorze Sakramentek i u Dzieciątka Jezus i tam w żałobnych sukniach, nie wychodząc wcale na miasto, czas przepędzały. Wiadomo, że wojska nasze stały na Pradze, która przez kapitulacją wyłączona była od działań wojennych. Tłumy ciekawych zbierały się codziennie nad brzegiem Wisły i przez perspektywy usiłowwały rozpoznać ziomków swoich, a z dawanych oznaków przekonać się o rzeczywistym stanie rzeczy. Daremnie Austriacy ukrywali swoje klęski i głosili zwycięstwa. Wiadomości z Pragi, z szybkością błyskawicy przechodziły do Warszawy. Stary Gugenmus nadworny zegarmistrz króla Stanisława Augusta, był ich najgorliwszym i najśmielszym roznosicielem. Nie wielu pamięta, oryginalny ubiór i ruchy tego zacnego i szanownego starca. Chodził we fraku, w krótkich spodniach, w trzewikach ze sprzączkami, w białych pończochach; na głowie miał upudrowaną perukę, z harcapem z tyłu; w rękę trójgraniasty kapelusz, którego nie używał do nakrycia głowy, lecz tylko do kłaniania się znajomym. Mimo późnego wieku chodził bardzo szybko. Był on ogniskiem wszelkich



wiadomości dotyczących się kraju naszego. Za czasów pruskich, nieraz strofowano go za to. Bo jak się tylko jaka wieść rozeszła, to zawsze, dochodząc kłębka po nitce, kończyło się na Gugenmusie. Muszę tu wspomnieć o jednej okoliczności.

Gubernator Warszawy za czasów pruskich, generał Koehler, człowiek bardzo zacny, a dla swojej łagodności i wyrozumienia, poważany i lubiony od Warszawianów, wezwał go pewnego razu i wyrzucając mu jego niebaczną, zagroził nawet, że jeżeli nie powstrzyma się w mowie, to z Warszawy wywieziony zostanie. Gugenmus uznał swoją winę i przyrzekł poprawę, a ukloniwszy się z uszanowaniem, wyszedł i drzwi zamknął za sobą. Nie może jednak wytrzymać, uchyla drzwi, a wsunąwszy głowę, przytłumionym głosem szepce:

— Jaśnie Wielmożny Gubernatorze! Może J. W. gubernator jeszcze nie wie? Wielka nowina! Wojska królewskie zupełnie rozbite pod Jena; Francuzi już są dziś w Berlinie, a najdalej za dwa lub trzy tygodnie, będą w Warszawie.

Oślupiał generał; wiadomość tę odebrał sztafetą przed pół godziny i to tylko o niepomysłnym wypadku bitwy pod Jena, a tu już Gugenumus, a za nim cała Warszawa wie o tém. Ale wracam się po tym ustępie, do ciągu moich wspomnień.

Wkrótce opuściły Warszawę wojska Austriackie. Niepomysłna kampania przeciw Napoleonowi i zajęcie Galicyi przez księcia Józefa Poniatowskiego, zmusiły ich do odwrotu. Słyszałem także opowiadanie o potyczkach pod Górą i nad brzegami Wisły. Zginął w jednej z nich waleczny kapitan Burski i pochowano go w Wilanowskim parku. W kilka lat potém, przechadzając się po ogrodzie Wilanowskim, znalazłem w gęstwinie drzew, kamień w czworogran ciosany, z jego pogrzebowym napisem.

Dziś jeszcze staję przed umysłem moim widok powracających hufców z chlubnej wyprawy do Galicyi. Wszyscy mieszkańcy wyszli na ich powitanie, a my drobne dzieci, łączyliśmy nasze okrzyki z okrzykami całego ludu.

Ileż wtedy pieśni, kantat, sztuk teatralnych, stosownych do okoliczności, wysypało się z pod

pióra ówczesnych wierszopisów! Odpowiednie powszechnemu, współczuciu przyjmowane były z zapalem. Dziś wszystko pochłonęła toń zapomnienia, prócz dwóch poezyi Koźmiana, jednéj Osińskiego i Wężyka.

\*       \*       \*

W owym czasie, w szkołach pijarskich panował ten duch, którym natchnął je wiekopomnéj pamięci Konarski, reformator tego zgromadzenia. Nauczyciele i professorowie przejęli od niego dwa najważniejsze przymioty: gorliwość i poświęcenie się obranemu zawodowi, i talent nauczania: a ztąd wynikło, że umieli obudzać w uczniach chęć do nauk i szlachetne współubieganie. Żadna lekcyja nie była obojętną dla uczniów, czy to języka łacińskiego, czy polskiego, jeografii, historyi, matematyki i nauk przyrodzonych. Słuchali z natężoną uwagą, z łatwością powtarzali wyłożony przedmiot, z upragnieniem oczekiwali następnej lekcyi. Widzieliśmy z rysów, poznawaliśmy z głosu profesora, że z zapalem wyklada swoją naukę, że to



nie jest człowiek znudzony jednostajną rutyną i wyglądający końca swojej godziny.

Wiele rozprawiano w późniejszych latach, o potrzebie albo usunięciu kary cielesnej w szkołach. Za moich lat młodocianych od 1810 do 1812 r. kara ta była bardzo upowszechniona w klassach niższych. Każdy nauczyciel, czy to starszy, czy młodszy, miał prawo dyscypliny, i bez sessyi, bez odnoszenia się do rektora, karał pięcią lub sześcią plagami, za psoty szkolne i za nieumienie lekcyi. Było w szkołach starszeństwo miejsc. Sala objąć mogła około stu uczniów i była napełniona aż do zbytku. Stało pięć ławek po prawej stronie i pięć po lewej, jedenasta stała w poprzek sali przy murze naprzeciw nauczycieli, przy szafce i tablicy; to była nieszczęśliwa ławka ośla. Stósownie do pilności i sprawowania się, wyznaczano miejsca uczniom. Najpilniejsi zajmowali dwie pierwsze ławki, mniej pilni następne i tak aż do ostatniej. Uczniowie pierwszych trzech ławek byli wolni od kary cielesnej za swawolę, albo niepilność, i w takim razie przenoszono ich do ławki niższej; a tam, jeśli nie odzyskali pilno-

ścią dawnego miejsca swego, to za nową winę ulegali karze dyscypliny.

Biedną i smutną ofiarą była ostatnia ławka, ośła zwana. Zwykle siedziało na niej kilku uczniów zahukanych i częstem karceniem i szyderstwem nielitościwych współtowarzyszów. Ich widok był hamulcem i postrachem dla całej klasy. Gdy sobie przypominam owych *ośłów*, (bo ich inaczej nie nazywano), powiedzieć muszę i każdy bez wątpienia zgodzi się na moje zdanie, że nie należało czynić ofiary z biednych chłopców i narażać całą ich przyszłość, dla przykładu reszty; lecz przeciwnie, trzeba było obudzić umysł i serce tych nieboraków; wybadać jakie przyczyny, czy to moralne, czy fizyczne, albo jakie przeszkody i okoliczności domowe, zrzędziły ich gnuśność i obojętność na często powtarzane kary. Ten jedyny zarzut ze wspomnień moich powzięty, mogę uczynić pierwszym nauczycielom moim, dla których dozgonną wdzięczność zachowam, a których nazwiska wyliczę. Byli to: w niższych klassach, nauczyciele: Działkowski, Krótkowski, Garczyński, Makulski; w wyższych zaś,

księża: Czarnecki, Sawicki, Bystrzycki, Kamionowski, Ciastowski. P. Dziekoński z początkiem roku szkolnego 1810 przeniósł się do gimnazjum w Toruniu.

Mieliśmy naszą urzędniczą hierarchią. Był prezes klasy, vice-prezes, pisarz i tylu radców, ile było ławek szkolnych. Nie były to tytularne obowiązki. Panowie radcy musieli codziennie przed godziną ósmą rano i przed drugą po południu, przekonać się, czy ich podwładni umiejają lekcyę, czy mają wszystkie książki szkolne, czy napisali zadane okupacye. Raport o niepilnych składali na karteczce prezesowi, a ten podawał go nauczycielom. Cała ta czynność załatwiała się w ciągu dziesięciu minut przed przyjściem pierwszego nauczyciela. Nie było więc wrzawy i swawoli przed rozpoczęciem lekcyi, lecz szmer zapytań i odpowiedzi, podobny do brzęku pszczoł w ulu. Prezes, zajmując chwilowo krzesło profesora, doglądał spokojności i porządku. Miał także obowiązek przekonać się, czy radcy, vice-prezes i pisarz umiejają lekcyę i biada była tym dygnitarzom, jeżeli zaniedbali się w naukach, albo co gorsza, uwie-

dzeni, jak to na świecie bywa, datkiem lub prośbą, za ciastko lub jabłko, nie zdali rzetelnego raportu. Wówczas, kassowano ich natychmiast i osadzono na parę miesięcy w ostatniej lub przedostatniej ławce.

Pisarz miał pod swoim zarządem klucz od szafki, a w niej były, kreda, gąbka, cyrkiel, i co najważniejsza, księga merytów i demerytów, czyli zalet i nagan, oznaczonych w liczbach, podług których przeznaczano miejsca, nagrody i promocyje.

Lekcyje odbywały się zwykle następującym porządkiem. Wszedł ksiądz professor (na jego wejście wszyscy z uszanowaniem i w cichości powstawali) zapytał się o zadaną lekcyą którego z radców, prezesa, lub uczniów z pierwszych ławek. Ma się rozumieć, że ci odpowiedzieli należycie i dostawali za to po jakie dziesięć *merytów*, które pisarz natychmiast zapisywał do książki. Potem pytano się uczniów mniej pilnych lub mniej usposobionych z ławek końcowych; tam było i źle i dobrze; nareszcie, dla sprzeczności i lepszego wrażenia, zapytywano się którego z biedaków oślej ławki: *Nescio*

*reverende pater* (Nie umiem ks. professorze) to była zwykła odpowiedź. Nauczyciel klasnął w rękę, a natychmiast wchodził do klasy, ze stołkiem w rękę i z dyscypliną za pasem, kalafaktor czyli stróż szkolny, zasmolony i zarosły Kazimierz, w krótkim opiętym kozuchu. Wino-wajca, kładąc się sam na stołku, dostał pięć dyscyplin, do których brania był nazwyczajony. pisnął trochę jak kociak i wszystko się skończyło. Jeden z takich parjów szkolnych, był już dwa razy pewnego dnia karany, los nieszczęśliwy i po trzeci raz padł na niego; lecz ja, będąc wtenczas prezesem, podniosłem rękę, mówiąc; *Reverende pater, ten osioł już dwa razy był obity, to może już będzie dosyć*: i takiem urzędowem wdaniem się ocaliłem nieboraka. Ci zahukani uczniowie, zwykle po dwa lub trzy lata zostawali w téj saméj klassie, a nareszcie opuszczali szkoły i nie wiem co się z niemi stało.

Po trzydziestu i kilku latach, spotkał mię w Starém Mieście w Warszawie, jakiś jegomość wysokiego wzrostu, ściągłej twarzy i przypomniał mi się jako dawnemu koledze szkolnemu. Gdy wymówił swoje nazwisko, przypo-



mniałem sobie owego rezydenta ławki oślej, którego od trzeciej kary wyswobodziłem. W tym długim lat przeciągu niedaleko postąpił, bo zajmował, mając lat czterdzieści kilka, jeden z najniższych stopni w służbie policyjnej miejskiej.

Nauczyciele nasi, byli w ogólności surowi względem nas w godzinach szkolnych; lecz za to, jakże szczerze i ochoczo przewodniczyli nam w wycieczkach za miasto, w godzinach rekreacji w środę i w sobotę, jak grali z nami w mecie, palanta, jak doskonale umieli ślizgać się! Takie to razem uprzejme i surowe postępowanie, zyskiwało im miłość naszą i podzegało chęć do nauki. Co do mnie, bardziej skutkiem wrodzonej łatwości i pamięci, niżeli pilnego przykładania się, byłem w liczbie celujących uczniów; zajmowałem urzędy Prezesa, Radcy, Pisarza (choć niegodziwie pisałem i nigdy nie mogłem wprawić się w piękne i czytelne pisanie) i jako miłą pamiątkę szkolną, zachowuję nagrody w wieńcach i książkach, w klasie drugiej, trzeciej, czwartej, piątej i szóstej otrzymane.

Proszę mi wybaczyć to samochwalstwo; komuż to nie są miłe wspomnienia tryumfów szkolnych!

W klassie czwartéj, już nie było zwyczaju słuchania lekcyi, lecz rozsądni i gorliwi profesorowie, zaprowadzili przed rozpoczęciem godziny szkólnej, czytanie jakiego dzieła stósownego do pojęcia młodzieży. Czytanie to zaczynało się na kwadrans przed ósmą rano i przed drugą po. obiedzie, Prezes przestrzegał spokojności, jeden z uczniów czytał, później przybywający siadali bez hałasu na swoich miejscach, a professor przychodząc, nie natrafiał na wrzaski i swawole, lecz przeciwnie, umysły nasze były zebrane, zajęte rzeczą pożyteczną, a tém samém zdolne do zajęcia się wykładem nauki. W ciągu roku, przeczytaliśmy tym sposobem: Doświadczyńskiego, Podstolego, i żywoty sławnych mężów, z dzieł Krasickiego.

---

### III.

Koledzy szkolni. — Kajetan Garbiński. — Antoni Waga —  
Fabryka maszyny elektrycznej. — Ksiądz Jakób Siekierka i Na-  
poleon.

Idąc za przykładem jednego z koresponden-  
tów do naszych gazet, mógłbym rozszerzyć  
się nad wspomnieniem moich kolegów szkol-  
nych, z którymi wiązała mnie serdeczna zażyłość  
i przyjaźń. Wynurzenia takie miłe są piszące-  
mu i myśl jego przenoszą do tych lat błogich,  
o których jeden z okrzyczanych klasyków tak  
pisze:

„I temu los przyjazny swych darów nie szczędził,  
Kto ogląda te miejsca, gdzie młodość przepędził.  
Ach! jak lubię, uchodząc od światowej wrzawy,  
Tam pójść, tam wspomnieć sobie dziecinne zabawy,  
Gdzieśmy po szkolnej pracy, pod cienistym gajem,  
Lotną chwyтали piłkę i rzucali wzajem;  
Lub z procy grot świszczący puszczałi w powietrze!  
Nic z méj duszy tych drogich pamiątek nie zetrze.



Każdy mię przedmiot zwraca do tych chwil swobodnych,  
 Do tych uciech tak żywych, do trosk tak łagodnych,  
 Gdy czysta jeszcze dusza wśród zmysłów uśpienia,  
 Burzliwych namiętności nie zna udręczenia;  
 Gdy przesądom światowym, dostatkom i dumie,  
 Nieznający ich umysł ulegać nie umie;  
 Gdy serce niezrażone, ufnością się rządzi,  
 Błądzi w pięknym popędzie, lecz jak słodko błądził!”

Ale cóż ja czynię? przytaczam tłómaczenie Legouvé'go i to jeszcze wyjątek z najpierwszej pracy mojej? Niestety! nie poprawiła mię przedmowa *o krytykach i recenzentach Warszawskich*.

Mógłbym przeto wyliczyć długi szereg moich współkolegów, ale na cóżby się to komu przydało? Z pomiędzy nich, dwóch tylko zasłużyło na znakomite imię w zawodzie publicznym i nauczycielskim: był to Kajetan Garbiński i Antoni Waga, pierwszy zawczasie wydarty krajowi i rodzinie, drugi dotąd pracujący w naukowym zawodzie.

Ś. p. Kajetan Garbiński, był może o cztery lata starszy odemnie, jednakże w drugiej klasie byliśmy razem; lecz zostając w każdej klasie tylko po roku, wyprzedził mię o trzy lata, a gdy

ja wszedł do uniwersytetu warszawskiego, on już powrócił z zagranicy, po dwuletnim pobycie na koszt rządu i po ukończeniu kursów wyższej matematyki. Od najmłodszych lat przejęty był namiętną chęcią nabywania nauki, dla której zdrowie postradał i życie sobie ukrócił. Zaczęła mu się wykrzywiać łopatka, w czternastym roku życia i doktor przepisał, żeby codziennie, przez parę godzin wyciągano mu ramię dotknięte tym defektem. Było to z niemałym bólem i znużeniem dla młodego ucznia, lecz co gorsza, zabierało mu czas i odrywało od nauk. Doszedłszy do klasy czwartej, zaniechał tego środka, dnie i późne wieczory przepędzał nad książką, a tak dobrowolnym poświęceniem się, wpadł w defekt, którego mógł być uniknąć.

Szanowny professor emeryt, Antoni Waga od pierwszych lat młodocianych okazywał zamiłowanie w naukach przyrodzonych. Będąc uczniem klasy czwartej, już miał znaczny zbiór owadów troskliwie uporządkowanych, i zaraz po ukończeniu szkół, nasz przyszły naturalista zajmował stancyjkę na drugim piętrze w gmachu księży Pijarów i był nauczycielem historii



naturalnej, w klassach niższych. Już wtenczas posiadał zbiór nie tylko owadów, ale i ptaków, oraz zachowane w spirytusie rozmaite płazy. W dniu 13 czerwca 1818 r. przypomniałem sobie, że to są imieniny szkolnego kolegi i poszedłem go odwiedzić. Gdym wszedł do jego pokoju, uderzyła mnie woń zabijająca.

Pan Antoni, z niezrównanym heroizmem przyrządzał szkielet kreta i mięso już psujące się odrzynał. Bez namysłu porywam talerz z owym preparatem i wyrzucam za okno, nie przywitawszy się nawet z solenizantem, a widząc jego osłupienie i gniew po niém następujący, uciekam. W parę godzin potem, solenizant otrzymał odemnie następującą ode :

Meżu ! co śledzisz przyrodzenia skrytość,  
Naturalisto najpierwszy w Warszawie!  
Jakże twe prace, twych zbiorów obfitość  
Godnie wysławię?

Jak niegdyś Hektor, ozdoba rycerzy,  
Greków rozgramiał za łaską Gradywa;  
Tak w stancyi twojej, jak palką uderzy,  
Woń przeraźliwa.

Jakże ją zacie stworzyły pochopy !  
Cóż poświęcenie tak wielkie nagrodzi ?  
Szerzą je głowy, szerzą gęsie stopy  
Dla dobra młodzi.

Kto opatrzony woskiem i bawełną,  
 Wnijdzie do ciebie, nie traci zachodów;  
 Ujrzy izdebkę szczupłutką, lecz pełną  
 Natury płodów.

Jakież rozliczne twory tam zobaczy?  
 Tu psa kościotrup utrzymują sznurki,  
 Tu krety, koty, szczury i jaszczurki  
 A tu łeb klaczy!

Ómy, ważki, chrząszcze, skorupiaki, żaby,  
 Polipy, glisty, wszystko się tu mieści . . .  
 Wstrzymaj się Muzo! mój głos jest za słaby  
 Dla jego cześci.

Czyść, skrob, wysuszaj, nakałaj wytrwale;  
 Czegóż tak piękna nie słodzi nauka?  
 Doścignij z czasem, w zasłudze i chwale,  
 Starego Kluka.

Naszym professorem fizyki był ksiądz Bystrzycki, godny następca księdza Osieńskiego, autora dzieła bardzo pożytecznego na swoje czasy i praktycznego: o Rudach w Polsce i fizyki dla szkół napisanej. Do jego pracy, ksiądz Bystrzycki dołączył chemią i ułożył ją podług teorii najznakomitszych wówczas chemików, Lavoisier i Fourcroy. Ksiądz Bystrzycki tak rozmawiał wszystkich uczniów w nauce swojej, a mianowicie tak zajęły nas teoria i doświadczenia z elektrycznością, iż każdy uczeń chciał

je powtarzać, chciał mieć u siebie elektrofor, a nawet i maszynkę elektryczną. Koty nieszczęśliwe były w owym czasie, we wszystkich domach, gdzie tylko mieszkali uczniowie klasy czwartéj i piątéj. Nauczył nas professor, że kot mieści w sobie płyn elektryczny, który wydobywa się przez pocieranie sierści jego pod włos. Skoro więc tylko wieczór nastąpił, chwymano biedne koty, a mimo ich oporu i wrzasku, tanto ile sił starczyło. Iskry sypały się w ciemności i młodzi fizycy chlubili się z umiejętności swojej przed zdumionemi gospodyniemi i sługami. Nie było prawie żadnego z nas, któryby nie miał elektroforu, to jest drewnianego talerza wylanego lakiem pomieszanym z żywicą aż do wyrównania z brzegami i tektury wylepionéj papierem srebrnym, wyciętéj okrągło, téj wielkości co talerz i utrzymywanéj na czterech jedwabnych sznureczkach, związanych z sobą. O lisie ogony nie było tak trudno. Rozbudzano więc elektryczność w elektroforze, uderzając go kilkanaście razy lisim ogonem, chwymano iskry zapomocą tektury oklejonej srebrnym papierem, zbierano je w tak zwaną butelkę lej-



dejską, którą każdy uczeń łatwo mógł sam sobie sporządzić, a potem, z jakąż radością uderzano nagromadzonym płynem jakiego profana, który ani spodziewał się doznać silnego wstrząśnienia, połączonego z 'dość bolesném ukłuciem. Daleko było trudniej o maszynę elektryczną. Rzecz ta kosztuje nie mało; ale czegoż nie dokáže potęga stowarzyszenia i przemysł? Uchwyciliśmy się tego środka, nie wiedząc nawet jakich on zjawisk, jakich zarazem i nieszczęść za lat czterdzieści będzie przyczyną. Złożywszy we czterech nasze zapasy pieniężne, zebraliśmy kapitał cztery talary podług ówczesnej rachuby wynoszący. Jeden z kolegów już dziś nieżyjący (umarł w dobie wieku, będąc urzędnikiem Najwyższej Izby obrachunkowej) Aleksander Piotrowicz, wziął na siebie kierunek przedsięwzięcia. Kupił taflę dość grubą, po zepsutém zwierciadle, kazał szklarzowi obciąć ją okrągło i zrobić dziurę w środku do obsadzenia walca, na której koło obracać się będzie. Chłopak od stolarza zrobił postumentcik drewniany i dwa słupki do obsadzenia korby i walca. Dwie poduszeczki z irchy zeszył i obsadził inny chło-



pak od rękawicznika; wysmarowaliśmy je potém amalgamą z cynku i merkurjuszu. Zrobiono parę butelek lejdejskich, a na czterech mocnych i grubych butelkach, osadzono deseczkę, która stanowiła stolik elektryczny, i mogła znieść ciężar stojącego na niej ucznia. Druły do przeprowadzenia płynu nic nie kosztowały, bo je urwano gdzieś od dzwonka w sieni; a tak cały przyrząd kosztował niecałe cztery talary. Zanieśliśmy go w tryumfie do szkoły. Pochwalił professor naszą gorliwość i przemysł, i zaczęły się doświadczenia. Jakaż to była uciecha, kiedy posadziwszy jakiego pacjenta na stoliku elektrycznym, napompowano go płynem; gdy za przyłożeniem ręki, niebieskawe iskry wypadały z jego nogi, nosa, ust, a jeśli pozwolił to i z języka; gdy za zbliżeniem dłoni, najeżały mu się włosy, jakby ze strachu! Ale już za wiele rozgadałem się o tych drobiazgach, które jednakże tę miały zaletę, że nasz młodociany umysł utrzymywały w ciągłej pilności i zajęciu.

Nim jeszcze pożegnam się z obrazkami szkolnej epoki, wspomnieć muszę o księdzu Jakóbie

Siekierce, braciszku zgromadzenia naszych nauczycieli. Spędził on całe życie w zgromadzeniu, nie wyświęciwszy się na kapłana. Przyczyny tego nie wiem, może nie miał dosyć zdolności i nauk potrzebnych w tém powołaniu. Trudnił się korektą książek i zarządzał znacznym składem dzieł, będących własnością zgromadzenia, albo tamże zostawionych na składzie i do sprzedaży powierzonych. Ksiądz Siekierka był największym stronnikiem i wielbicielem Napoleona. Wielu wówczas podzielało jego zdanie, i trzeba było pasma najboleśniejszych i prawie dotykalnych zawieżeń, żeby wiara w to imię i w jego dynastję wygasła. Ksiądz Siekierka nigdy nie wierzył w upadek Napoleona „To wszystko bajki, powtarzał, co piszą niemieckie gazety. Jeżeli go nie ma we Francyi, i mieszka tam gdzieś daleko, to dla tego, że mu się tak podobało. On jest tak wielkim, że z umysłu usunął się z przed oczu ludzkich, gdyż nie mogłyby znieść blasku jego chwały; lecz on wszystkiem rządzi i włada; a wszystko co się dzieje na świecie, dzieje się za jego rozkazem i skinieniem.“ Z taką dobroduszną i nieprzełamaną wia-

ra, dożył ksiądz Siekierka do śmierci Napoleona. Już wówczas skończyłem uniwersytet i odwiedziłem go z *Gazetą Warszawską* w rękę.

— A widzisz ksiądz dobrodziej, rzekłem: że Napoleon umarł na wyspie Ś-tój Heleny.

— Co mi tam wasan gadasz! odpowiedział. Nie takie młodziki jak ty, mają prawo rozprawać i sądzić o tych rzeczach. Napoleon z umysłu puścił wieść o swojej śmierci, żeby się lepiej zataił, ale on wszystkiem rządzi i rządzić będzie. My o tém mamy najdokładniejsze wiadomości; roztrząsaliśmy je na naszym zgromadzeniu.

— Na jakiem zgromadzeniu? zapytałem zdziwiony.

— Już wasanu wasy rosną, to mogę cię zaprowadzić na nasze zgromadzenie. Przyjdź wieczorem o godzinie szóstej.

Nie uchybiłem ani minuty i poszliśmy do szynku, znajdującego się w małym drewnianym dworeczku, obok dawnych gmachów pijarskich. Tam, w osobnej izdebce, zastałem: zgadnijcie kogo? oto starego krawca i starego introligatora; ci dwaj, z braciszkiem księdzem

Siekierką, składali owe zgromadzenie. Był to ostatni szczątek posiedzeń zawiązanych przed trzydziestu laty, o których tak wiele rozprawiano kiedyś, chcąc wmówić w Europę, że u nas przeważać zaczyna żywioł demokratyczny. Zgromadzenie wypilo po kilka butelek piwa kazmirusowskiego; które, przydam nawiasem, kosztowało po siedm groszy polskich za butelkę: przytwierdziło, że Napoleon nie umarł, a ksiądz Siekierka zapłacił. Dodać muszę, że nie jeden oszust korzystał z téj Napoleono-manii dobrodusznego starca, przynosił mu wiadomości o Napoleonie i wyłudzał od niego pieniądze. A tak Napoleon żył i panował wszechwładnie, aż do kresu życia księdza Siekierki, to jest do 1824 roku.

---

## IV.

Wspomnienia zasłużonych mężów.— Karpiński i Kołłątaj.—  
Ks. Kopczyński.— Ks. Kamiński.— Wzmianka o kampanii 1812.

W tym pierwszym okresie moich lat młodocianych, miałem sposobność widzieć i zaznać kilku z tych dawnych i zasłużonych mężów, którzy dla dzisiejszego pokolenia stoją zakryci mgłą dalekiej przeszłości, a może są od nich wcale nieznani, albo téż mylnie oceniani.

W 1811 r. przyjechał do Warszawy ulubiony niegdyś poeta Karpiński, którego pieśni z ducha narodowego czerpane, chociaż pokostem dworszczyzny francuzkiej powleczone, przemówiły do serc polskich i były zarodem późniejszych pieśni Brodzińskiego, a po nim Pola, Syrokomli i Lenartowicza. Karpiński liczył siedmdziesiąt dwa lat życia. Odwiedził mo-



ją matkę, dla odebrania egzemplarzy pism swoich, które należały mu się z mocy układu zawartego między nim i ś. p. ojcem moim o ich edycyą. Był to staruszek małego wzrostu, żywy, zwinny, w lisiurce i w butach futrzanych. Krótko u nas zabawił. Umiejąc kilka jego poezyj, mianowicie: sielankę *Dzieci u matki* i wiersz o powinnościach obywatela, z ciekawością poglądałem na autora, tak pięknych utworów.

W tymże prawie czasie przybył do Warszawy, sławny ksiądz Kołłątaj, były podkanclerzy litewski, członek Rządu w 1794 r., mąż znamenity, jako polityk i jako autor.

Ścisłe ogniwa przyjaźni łączyły go z moim ojcem; jego nazwisko nieraz obilo się o moje uszy.

Wiadomo, że przy końcu roku 1794 ksiądz Kołłątaj osadzony był w więzieniu w Ołomuńcu, na rozkaz rządu Austryackiego, że nie tylko beneficja duchowne, lecz i jego własny majątek po rodzicach odziedziczony, przeszedł na własność skarbu. Gdy po dziewięcio-letniej niewoli odzyskał wolność, za wspaniałomyślném wstawieniem się Najjaśniejszego Aleksandra I<sup>go</sup>



Cesarza Wszech Rossyi, przyjechał był do Warszawy i czas niejaki w 1803 r. mieszkał w domu ojca mojego, ale o tém wiem tylko z opowiadania. Po przywróceniu części Gallicyi do Księstwa Warszawskiego, téj właśnie, gdzie leżały jego majątności na skarb zabrane, Kołłątaj sądził, że uzyska ich zwrot od ówczesnego rządu naszego i w tym celu przybył do Warszawy.

Stał w pałacu Nestego przy ulicy Miodowój, (dziś jest to pałac arcy-biskupów Warszawskich). Na jego żądanie stawiony przed nim, ujrzałem człowieka już w sędziwym wieku, (liczył wtedy lat 61), twarz miał ściągłą, wychudłą, czoło nieco wysokie, wzrok poważny lecz posępny, cerę chorobliwą i żółtawą, nogi w zielonych kamazach, zamiast butów, jak zwykle noszą osoby chore na pędogrę lub atrytyzm. Stół obszerny, zieloném sukném pokryty, zawałony był mnóstwem papierów. Uściskał mię czule, jako syna swojego przyjaciela, przyrzekł opiekę i zajęcie się losem moim, jeśli jemu samemu rząd wymierzy sprawiedliwość. Niestety! nie doczekał się téj chwili. Rząd Księstwa Warsza-

wskiego nie wrócił mu zaborów Austryackich. Zdaje się, że taki wymiar sprawiedliwości, powinien był niezwłocznie nastąpić. Ale niestety! u steru władzy stali ludzie od lat dawnych z Kołłątajem niezgodni i jemu nieprzyjaźni, a chociaż z kąd inąd zasłużeni i pożyteczni krajowi, nie wzniesli się nad urazy osobiste i Kołłątaj umarł, nie doczekawszy się wymiaru sprawiedliwości. Śmierć jego nastąpiła w kilka tygodni po mojej bytności u niego i mocno nas dotknęła.

O politycznym zawodzie Kołłątaja, były i są dotąd sprzeczne zdania. Wielu potępiało go, oskarżało o zuchwalstwo, żądze władzy i bogactw, o gwałtowność.

Już nieżyją współcześni. Kołłątajowi, zaginęły pisma, zatarły się podania z owój epoki. Trudno zatem będzie, a może i niepodobna dać sprawiedliwe wyobrażenie o tym człowieku. Jeżeli go sądzić będziemy z jego *Listów pisanych do Małachowskiego*, w których traktuje najważniejsze kwestye społeczne i polityczne, z jego mów i odezw ogłoszonych drukiem, to poweźmiemy wysokie wyobrażenie o jego zdolnościach

i zamiarach. Jeżeli zaś wzięty będzie za podstawę *List o czynnościach Kołłątaja*, drukowany w Krakowie, około roku 1797 przez przyjaciela prawdy, to człowiek ten, wystawiony jest w nim jako intrygant, łakomca, i samolub, poświęcający rzecz publiczną dla własnej ambicyi. List ten, oczywiście natchniony przez osobistą niechęć, napisany był i wydany w ten czas, kiedy Kołłątaj był więźniem stanu i nie mógł odpowiadać na czynione zarzuty. Za całą odpowiedź zamieścił te tylko wyrazy w testamencie swoim „Przebaczam L..... jego list o mnie napisany i drukowany, w którym najniesprawiedliwiej mię skrzywdził“ Stronnicze to pismo przedrukowano w Poznaniu przed kilkunastu laty, bez żadnych krytycznych uwag, jako spekulacją księgarską.

Tu będzie najwłaściwiej wspomnieć o księdzu Onufrym Kopczyńskim, sławnym w swoim czasie autorze grammatyki Polskiej, niegdyś uwielbianej aż do zbytku, a teraz aż nadto zapomnianej i lekceważonej. Nie będę wdawał się w ocenianie grammatyki księdza Kopczyńskiego, którą tak dalece chciał zastósować do

łaciński, iż tyle form ustanowił i te same cechy naznaczył w polskiej, ile było w łacińskiej a wszystko co do takiego układu nie przypadało, policzył między wyjątki. Taki tryb, niezgodny z naturą rzeczy, a przecież nie bez skutku będący, wskazuje nam, że przez upowszechnienie łaciny, po zaprowadzeniu religii Chrześcijańskiej, przez ciągłe używanie tego języka w kościele, w szkołach i wszelkich czynnościach prawnych, rządowych i dyplomatycznych, język polski tak dalece nagiął się do języka łacińskiego, że Kopczyński zdołał przywieść do skutku myśl swoją i tyle analogii znaleźć między łaciną a polszczyzną. Wiadomo, że niedokładność pracy Kopczyńskiego, mnóstwo wyjątków i podwyjątków, skłoniły Mrozińskiego do szukania zasad grammatyki, w budowie języka, w naturze zgłosek, w uważaniu jak jedne drugim odpowiadają, jak jedne zmieniają się na drugie. Lecz nikt może z współczesnych, nie znał gruntowniej języka ojczystego pod względem praktycznym jak Kopczyński, nikt nie wczytał się bardziej w naszych pisarzy z epoki Zygmunto-wskiej, nikt gorliwiej nie przestrze-

gał jego czystości. On to położył tamę w wprowadzaniu cudzoziemskich wyrazów i zwrotów, a chociaż niektóre wyrazy przez niego potępiane, weszły w użycie powszechne, to zawsze należy mu się wdzięczność współziomków, za prawe chęci i za osiągnięte skutki. Był to już starzec mający osiemdziesiąt lat wieku, mocno otyły i cierpiący na nogi; umysł zachował czerstwy, aż do ostatnich dni życia; pracował zawsze nad grammatyką, czytał celujących autorów, czynił wypisy, układał tablice wyrazów, podług ich zakończeń. Zgodność większej liczby stanowiła u niego regułę grammatyczną, mniejszość policzał do wyjątków. Ksiądz Kopczyński namiętnie kochał swoją rodzinną ziemię, nic dla niego obojętném nie było, co tylko mogło dotyczyć się losów naszych. Duch, który niegdyś Konarskiego ożywiał, dostał się w dziedzictwie Kopczyńskiemu.

Godnym przyjacielem i następcą Kopczyńskiego był ksiądz Kamiński, rektor konwiktuszlacheckiego. Utrzymanie i rozwinięcie tego zakładu było celem jego trzydziesto-letniej pracy. Małego wzrostu, szczupły; ale niezmiernie



czynny i gorliwy, był zarazem dobrym administratorem i dobrym pedagogiem. Do zakładu swego wyszukiwał najzdolniejszych nauczycieli. On to pierwszy, chociaż na klassycznych wzorach wykształcony, ocenił talenta i naukę Brodzińskiego, a powołując go na nauczyciela literatury w konwikcie pijarskim, przyszedł z stanowczą pomocą młodemu pisarzowi i otworzył mu drogę do katedry literatury polskiej w uniwersytecie Aleksandrowskim w Warszawie.

Nauczyciele nasi tak umieli zająć nas nauką, że szkoła, a w niej współubieganie się o pierwszeństwo, rekreacye po zakończeniu nauk, były dla nas wszystkiém, były niemal wyłącznym światem naszym. Dla tego téż nie wiele pozostało w pamięci mojej szczegółów o zdarzeniach 1810 i 1811 roku. Palenie towarów angielskich na Kasińskim placu, nakazane przez Napoleona, zbiegowisko studentów i pospólstwa około tego płonącego stosu, z którego każdy usiłował ocalić co było można, (mnie ktoś z bliżej stojących dał scyzoryk o dwóch ostrzach). Kometa z ogromną miotłą, czyli ogonem, unoszący się wprost nad zenitem, nadzwyczajna



susza w tymże roku panująca, wiadomości o naszych pułkach do Hiszpanii wysłanych, aby tam, oszczędzając krew Francuzów, własną bezowocnie przelewali i widok matek żałobą pokrytych i oblanych łzami po śmierci synów, poległych daleko od rodzinnej ziemi, oto jest kilka moich wrażeń pozostałych z owój epoki...

Od kampanii 1812 r. bardziej zwróciła się młodociana wyobraźnia moja na bieg wypadków. Czytałem z uwagą gazety i inne ówczesne pisma; podzielałem obawę i niepewność, którą wzbudzały koleje owój pamiętnej wyprawy Napoleona. Po najpomysłniejszych bulletynach od wielkiego wojska, nastąpiła długa cisza i jakieś głucho, przerażające wieści; aż nareszcie w pierwszych dniach grudnia rozdarła się zasłona. Ujrzelśmy szereg olbrzymiego wojska, powracającego w stanie jak najsmutniejszym. Cesarz Napoleon ukradkiem przejechał przez Warszawę; wszystkich ogarnęło zwątpienie. Ostatki naszego wojska i władze naczelne, udały się do Krakowa, a mieszkańcy Warszawy ujrzeli w murach swoich wojska Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra I i rząd tymczasowy,

za jego wolą ustanowiony, który największą łagodnością i staraniem o dobro kraju, względnością na jego zniszczenie przez wojnę, odznaczał swoje działania.

Historya naszego kraju z ostatnich trzech miesięcy 1812 i dwóch pierwszych z 1813 r. nie jest jeszcze opisaną szczegółowo i należyście wyjaśnioną. Napoleon spodziewał się, że nie-dobitki wracające z Rosyi, rezerwy w kraju naszym będące i pospolite ruszenie, którego domagał się od szlachty polskiej, stawiają opór nad brzegami Niemna i Bugu; lecz zdaje się, że okropna jego klęska tak przeraziła umysły, a kraj był tak wyniszczony przechodami wojsk, neurodzajem z 1811 roku, zatamowaniem handlu i wystawieniem 80,000 żołnierzy, z których zaledwie szósta część powróciła i to jeszcze pozostała po fortecach albo w szpitalach, że tylko z milczącą rezygnacją oczekiwał doli swojej. Przy tém osoby u steru władzy stojące, wiedziały, że Napoleon, chociaż korzystał z naszego zapалу i ofiar, nigdy nie dał stanowczój rękojmi bytu naszego, że na parę tygodni przed rozpoczęciem kampanii 1812 roku gotów był znieść

istnienie księztwa Warszawskiego, byleby tylko nakłonił monarchę północy do wojny przeciw Anglii. Cóż więc innego uczyniłby, zawierając pokój po klęskach, poniesionych w Rosyi? Wiadomo było, jak obojętnemi, jak dwójkicznymi słowy przyjął w Wilnie deputacyą konfederacyjnego sejmku. Sam więc zrzucił to przerażenie i odrętwiałość, jaka ogarnęła wszystkich po jego zgubnym odwróceniu z Rosyi. Pułki nasze, coraz to szczuplejsze, pociągnęły za niedobitkami wielkiej armii, aż pod Paryż, a tam Najjaśniejszy Cesarz Aleksander otoczył je opieką Monarszą i pozwolił im powrócić do kraju.

Dziecięciem byłem przez cały czas istnienia Księztwa Warszawskiego; lecz gdy w 1815 r. nastąpiła z woli Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra I., nowa era bytu naszego, już mogłem większą uwagę zwrócić na przeszłość. Dlatego też skreślię w tém miejscu rys działań najwyższych władz Księztwa Warszawskiego, mających na celu wewnętrzną organizacyą kraju. Znajome są świetne czyny naszego wojska w 1807, 1809 i 1812 r., oraz ich bezowocne trudy i poświę-

cenie się w wojnach Napoleona przeciw Hiszpanii, lecz mało kto wie co zrobiono dla urządzenia sądownictwa, administracyi, skarbu i oświecenia. Ten brak chciałbym wynagrodzić ogólnym poglądem. Niech go uzupełnią drudzy.

---

## V.

Zarys czynności centralnych władz księstwa Warszawskiego  
od 1807 do 1812 r.

Przeciąg dwunasto - letni rozdziela epokę upadku dawnego rządu naszego, od chwili nowój jego organizacyi. W kraju bardzo mało i niedokładnie administrowanym: bo dopiero centralne władze urządzone były za panowania Stanisława Poniatowskiego: rząd Pruski wprowadził biurokracyą niemiecką. Nikt ze szlachty nie wszedł do składu nowój administracyi. Nie wielu z mieszczan użyto za tłumaczów nieuchronnie potrzebnych, dawnych zaś palestrantów radzono się w sprawach, które za przeszłego rządu były rozpoczęte. Zresztą, wszystkiém rządzili Niemcy, sprowadzeni z rozmaitych stron królestwa Pruskiego. W takim nawale

przybyszów, niepodobna było spodziewać się należytego wyboru.

Ci nowi urzędnicy, nie pytali się, czyli ich rozumieją mieszkańcy nowo posiadłego kraju: i to było najprzykrzejszą, najdrażliwszą stroną ówczesnego rządu pruskiego. Za wnijsciem wojsk francuzkich w końcu 1806 r. przy nowój organizacyi, prawie wszyscy znikli w mgnieniu oka, i trzeba było urządzać się po swojemu.

Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że po Prusakach zostały formy dosyć dobre, bo z natury rzeczy wynikające, a to ułatwiło nową orgnizacyą i dalsze jój rozwinięcie. Były władze centralne w Poznaniu, Kaliszu, Warszawie, Płocku, Łomży i Białymstoku, zwane Kamerami i Rejencyami. Wojenno-ekonomiczna Kamera miała zarząd administracyi, skarbu, wojskowosci i oświecenia; do Rejencyi zaś, należało sądownictwo.

Najprzód, w Poznaniu wezwano obywateli ziemskich i przydano jednych do Kamery, drugich do Rejencyi, dla kierowania biegiem inte-



resów. Toż samo nastąpiło i w innych miastach.

Do Warszawy weszła pierwsza straż wojska Napoleona w dniu 27 listopada 1806 r. Dniem wprzód, gubernator pruski generał Koehler wydał odezwę do mieszkańców, żeby dla całości majątków, osób i kass sądowych, uformowali tymczasową straż bezpieczeństwa. Dowództwo nad tą strażą poruczył księciu Józefowi Poniatowskiemu. Dnia 28 listopada, całą Warszawę obsadziły wojska francuzkie i wjechał do niej dowódzca przedniej straży armii, Murat, szwagier Napoleona, wówczas wielki książę Klimii i Bergu.

Napoleon wkrótce potem przyjechał do Warszawy i kilkanaście dni zabawił; wyjeżdżał do armii i znowu wracał.

W dniu 2-gim grudnia przydano do ówczesnej pruskiej Kamery i Rejencyi w Warszawie, obywateli znanych z gorliwości i zasłużonych w ostatnich latach bytu naszego. Prezydencyą w kamerze objął Ludwik Gutakowski, były podstoli W. Księstwa Litewskiego; członkami jej zostali: Tomasz Ostrowski były Podskarbi

koronny, Stanisław Małachowski były Referendarz koronny, Stanisław Wojczyński b. jenerał; Zajączek brat jenerała Józefa Zajączka, Kochanowski poseł Sandomierski. Prezesem Rejencyi został Ossoliński kasztelan Drohicki, a jój członkami: książę Ludwik Radziwiłł, Aleksander Potocki; Sobolewski starosta Warszawski; Górzeński b. jenerał, Sołtyk Stanisław, Giełgud b. jenerał.

Nie wyszło tygodnia, zmieniono nazwiska władz pruskich.

Wojenno-ekonomiczną kamerę nazwano izbą administracyjną, a rejencją izbą sprawiedliwości.

Obie te izby podzieliły się na sekcyę.

*Izba Administracyi* składała się z sekcyi woj-skowej, policyi generalnej, iniaszt i dóbr rządowych, sądownictwa w dobrach narodowych, kass, akcyz i ceł, kollegium lekarskiego, kierowania duchem publicznym, urzędzenia siły zbrojnej, duchowieństwa i szkół, dozoru kancellaryi, dozoru niemieckiej kancellaryi.

*Izba Sprawiedliwości* obejmowała sekcyę zabezpieczenia akt i depozytów pruskich, bieżą-

cych czynności sądowych, spraw małoletnich, naglących spraw cywilnych i spraw kryminalnych.

Skład tych izb powiększony został przybraniem nowych członków, jako to: Feliksa hr. Łubieńskiego, Jana-Pawła Łuszczewskiego, Antoniego Gliszczyńskiego, księdza Jana Woronicza, Józefa-Kalasantego Szaniawskiego, Andrzeja Horodyskiego i Onufrego Wyczechowskiego.

Najpierwszą czynnością Izby Administracyjnej było, nakazanie poboru rekruta jednego z dziesięciu dymów, opatrzenia lazaretów i żywienie wojska francuzkiego. Na potrzeby co chwila wzrastające, nakazano wniesć jedną ratę dodatkową podatku ofiary, dziesięć od sta od pobieranych kompetencyi, od włościan i mieszczan jedną ratę podymnego, od żydów całoroczne podymne, od sta owiec po 18 złotych, od młynów dziedzicznych tyleż; od wieczysto-dzierżawnych połowę, od kolonistów po złotych 16 od włóki, od kapitalistów po dziesięć od sta od pobieranego przez nich procentu.

Radziwiński były wojewoda Gnieźnieński,

zwołał całą szlachtę na pospolite ruszenie do Łowicza na dzień 26 grudnia 1806 r. Zebrało się kilka tysięcy obywateli na koniach, z licznym poczem sług. Lecz z woli Napoleona, wezwano młodzież z tego zjazdu, na służbę do formujących się pułków regularnych, starszym polecono, żeby do wojska przysłali zastępców, a sami żeby przestrzegali porządku, gospodarstwa i opatrzenia armii francuzkiej. W dniu 18 stycznia 1807 roku ustanowioną została Kommissya Rządząca, pod powagą cesarza Francuzów. Prezesem jój został Stanisław Małachowski były Marszałek Sejmu czteroletniego, członkami: Gutakowski, Działyński, Stanisław Potocki, Wybicki, Bieliński i Sobolewski, Dyrektorem sprawiedliwości został Feliks hr. Łubieński; dyrektorem spraw wewnętrznych i Duchownych, Stanisław Breza; Dyrektorem Skarbu, Jan-Nepomucen Małachowski; Dyrektorem Wojny, Książę Józef Poniatowski, Dyrektorem Policyi, Alexander Potocki; Sekretarzem Jeneralnym Jan Paweł Łuszczewski.

W dniu 26 stycznia 1807 r. wyszła nowa organizacya Administracyi krajowej. Kraj po-

dzielono na departamenta, było ich szість: departament Warszawski, Poznański, Kaliski, Bydgoski, Płocki, Łomżyński. W każdym departamencie ustanowiono izby administracyi publicznej, a w niej cztery wydziały: wewnętrzny, skarbowy, wojenny, i policyi. W każdym powiecie zaprowadzono izby wykonawcze.

Utworzono Izbę Edukacyjną pod zwierzchnictwem Dyrekcyi Spraw Wewnętrznych i tej Izbie poruczono zarząd wszelkich naukowych zakładów.

Kommissya Rządowa i Dyrektorowie ciężkie mieli obowiązki. Przedewszystkiem trzeba było utrzymywać parękroć sto tysięcy wojska francuzkiego i formować pułki, zadosyć czyniąc żądaniu Napoleona, który za nadzieje w wątpliwych słowach wyrażone, żądał niezwłocznych ofiar i wysileń.

W kilka miesięcy potem Napoleon wynagrodził marszałków i generałów swoich, dobrami rządowemi w Królestwie Polskiem, których przeszło na dwadzieścia milionów im rozdawał. Marszałek Davoust otrzymał najznakomitsze uposażenie, bo całe księstwo Łowickie.

Z polskich generałów, otrzymali darowizny w dobrach: Dąbrowski Henryk i Józef Zajączek.

Niezraziło to ani rządu, ani rządzonych. Już w pierwszych dniach 1807 roku stało pod bronią 10000 piechoty i 4000 jazdy. Wojsko to, użyte było częścią do oblężenia Gdańska, częścią w otwartem polu, podczas kampanii 1807 r., żołnierze zebrani byli tylko z samych prowincyi Wielko-polskich i z części Mazowsza, gdyż znaczna część departamentu Płockiego i Bydgoskiego, zajęte przez wojska, nie mogły przykładać się do tego dzieła.

Siłę zbrojną podzielono na trzy legiony. Dowódcą pierwszego był Xiążę Józef Poniatowski, drugiego generał Henryk Dąbrowski, trzeciego generał Józef Zajączek. W każdym legionie było trzy brygady, a w każdej brygadzie dwa pułki piechoty, prócz jazdy i artylleryi. Oprócz tego utworzono pułk jazdy Gwardyi Napoleona, którego dowódcą był Wincenty hr. Krasieński, i legią nadwiślańską z trzech pułków złożoną na żołdzie i mundurach francuzkich, lecz z samych Polaków zebraną. Do służby wewnętrz-



nej w Warszawie urządzono gwardyą narodową.

Przez ośm miesięcy istnienia, Kommissya rządząca mając wolne pole działania, usiłowała zaprowadzić administracyą opartą na dawnych zwyczajach krajowych, a zarazem zgodną z postępem czasu i obecnymi potrzebami. W tym celu ustanowiono rady powiatowe i departamentowe z obywateli złożone, któreby dla urzędników mianowanych od najwyższej władzy, były pomocą i kontrolą. Wybory burmistrzów zostawiono miastom z zastrzeżeniem zatwierdzenia przez wyższą władzę. Urzędy wójtów oddano właścicielom wiosek. Chlubna pamięć pozostała z owęj epoki o zaprowadzeniu sądów pokoju. Jeszcze przed zaprowadzeniem kodeksu Napoleona zaraz w pierwszych miesiącach 1807 r. ustanowił ówczesny Dyrektor Sprawiedliwości sądy pokoju we wszystkich powiatach kraju. Jak tę instytucyą pojmowano wówczas, jak ją ceniono, najlepiej nam wskażą wyjątki z odezwyy tegoż ministra, którą wydał przy stanowczey organizacyi sądów pokoju.

„Nowe urządzenie zaczynający, a w części wielkiej z dawnego składu pozostali sędziowie, nie widzę potrzeby przypominać wam, coście winni poprzednikom waszym; w znacznej albowiem liczbie, samiście należeli do tego dzieła, które wam chwałę prawdziwą, współziomkom niezaprzeczone korzyści przyniosło; nie widzę potrzeby zachęcać: bo gorliwość wasza wzorem się dla Europy stała. Jakkolwiek świetna ta instytucja czczém tylko musiałaby zostać postanowieniem, gdyby tak cnotliwych mężów na czele nie miała; ale wytrwała gorliwość, z którąście ten znakomity urząd piastowali, zupełne poświęcenie się usłudze współziomków, najpiękniejszymi skutkami uwieńczyło i zamiary rządu i usiłowania wasze. To jest co imiona wasze wiekopomnej poda pamięci, a wykorzeniwszy niezgodę, zaszczerpi nadal tę braterską miłość, którą słynęli przodkowie nasi, która prawdziwą była narodowej siły warownią, która nakoniec tak miłą każdemu czyni ojczyznę.

„Pięć tysięcy przeszło spraw zagodzonych, między którymi z zadziwieniem widzieć można

processa kilkunastoletnie jednym pojednawczym aktem zniszczone, los największych majątków w jednym dniu rozstrzygnięty, a wszystko to w ciągu jednego roku uskutecznione, odkryło przed całym światem i waszą niespracowaną gorliwość i grunt charakteru narodowego.

„Wśród szczęku broni, ziomkowie podają sobie ręce braterskie, niknie natchniona od nieprzyjaciół niezgoda, interes ustępuje przyjaźni, a na miejsce dotąd nietylko dozwalanego, ale nawet podburzanego pieniactwa, następuje jedność, powszechne połączenie się i jeden, a to najwyższy wzgląd na dobro powszechne. Odkrycie tego tak chlubnego znamienia, wam samym winniśmy szanowni sędziowie pokoju, wasza to cierpliwość, praca i nieugięta stałość, umiała zniszczyć wszelkie zawady, a za najświętszą poczytując nagrodę własne przekonanie, oczyściła tę ziemię od mnóstwa processów.

„Was też jedynie, z dawnego urzędowania zostawiono; wy przy nowém prawodawstwie na równym jak dawniej stopniu, z równym pojednawczej władzy udziałem, utrzymani jesteście. Czynności sędziów pokoju księgą kodeksu cy-

wilnego wskazane, podzielone są między was i zastępców waszych podsędków. Jedną zwaśnionych i prezydować w radzie rodziny, te są wasze szanowne obowiązki; reszta do podsędka należy. Przejęci razem z innemi, winném uszanowaniem dla waszego urzędu, okażcie światu, jakeście tego dotąd chwalebnie dowiedli, iż nigdy w was nie ostygnie chęć być użytecznemi współziomkom. Wy nowo do tych urzędów wezwani, zostawcie następcom waszym godne naśladowania przykłady.

„Któryż z Polaków potrzebuje zachęceń? Kto wymówić się może od urzędu, gdy jest pewnym że może zasłużyć na łaskę monarchy i stać się dzielną pomocą współziomkom?“



## VI.

Dalszy ciąg tegoż zarysu.

Gdy w pierwszych miesiącach roku 1807, zaciągi do wojska, podwody, liwerunki, rekwizycye, szpitale i coraz to większa potrzeba funduszów na wzrastające wydatki, wyczerpywały wszystek czas i wszelkie środki dyrektorów wojny, spraw wewnętrznych, policyi i skarbu, dwie władze, Dyrekcyja sprawiedliwości i Izba edukacyjna, nie zagarnięte wirem wypadków, mogły z pewnym systematem rozwijać czynności swoje. O działaniu Izby edukacyjnej, powiem przy ogólnym zarysie jęj pięcio-letniego urzędowania; w tém miejscu to winienem nadmienić o Dyrekcyi kommissyi sprawiedliwości, że zostając pod zwierzchnictwem Kommissyi Rządzącej, aż do ustanowienia księztwa Warszawskiego, dokonała pod przewodnictwem swego dyrektora, ważnych czynności, a mianowicie:

zabezpieczyła i uporządkowała akta sądowe pruskie, wydała przepisy postępowania przy zawieraniu akt dobrowolnych umów, które wówczas nie przed rejentami lub notarjuszami, lecz w sądach zeznawane były, oznaczyła stałą umiarkowaną cenę za przyjmowanie takich czynności, ogłosiła tymczasowe skrócone postępowanie sądowe, zaprowadziła sądy appellacyjne i sądy ziemskie.

Traktat zawarty w Tylży między dwoma Najjaśniejszemi Cesarzami, Rossyjskim i Francuzkim, oraz królem Pruskim, stanowi nową erę dla kraju naszego. Utworzywszy księstwo Warszawskie, cesarz Napoleon dekretem wydanym w Dreźnie 22 lipca 1807 r. oddał kraj nasz pod władzę króla Saskiego, z tytułem księcia Warszawskiego, i zatwierdził ustawę rządową dla nowo-utworzonego kraju. Ustawę tę przedstawili mu członkowie Kommissyi Rządzącej, w tym celu do Drezna powołani, lecz rzeczywiście była ona ułożoną w gabinecie Taylleranda, podług woli i myśli Napoleona. W ustawie téj, uderzają dwa główne przedmioty: zniesienie poddaństwa włościan i ogłoszenie kodexu cy-



wilnego francuzkiego, jako prawa w kraju naszym obowiązującego. Nie można także przemilczyć zcentralizowania wszystkich gałęzi administracyi, do ogniska władzy najwyższej i nadzwyczaj krótkiego zakresu narad sejmowych. Cały skład rządu, ułożony został na wzór ówczesnego we Francyi.

Dnia 5 października 1807 r. nastąpiło rozwiązanie Kommissyi Rządzącej; wykonał je komisarz króla Saskiego i księcia Warszawskiego, hrabia de Schönfeldt i zarazem objął kraj nasz w posiadanie, w imieniu swego monarchy.

Nie takiego rezultatu spodziewali się nasi ojcowie. Z tém wszystkiem nadrabiano miną, dziękowano za dobrodziejstwa, a tym rozgłosem wdzięczności, chciano wywołać dalsze skutki, w miarę wypadków jakie w przyszłości zdarzyć się mogą. Byli tacy, którzy ślepo wierzyli w Napoleona i można zrozumieć ich obłąd, porównywając ówczesny rząd księstwa Warszawskiego, z zupełném rozpostarciem się niemczyzny za czasów pruskich. Zimniejsi milczeli i narzekali po cichu. Opowiadano, że jakiś cudzoziemiec przyjechawszy za Wartę i Prosnę,

zapytał się: „Cóż to za kraj? *Księstwo Warszawskie*, odpowiedziano. Któż tu panuje? *Król Saski*. Jakież tu wojsko? *polskie*. Jakież prawa? *francuzkie*. A jakie pieniądze? *pruskie*. To jakaś wieża Babilońska, odpowiedział podróżny.“

Członkowie rozwiązanej Kommissyi Rządzącej, weszli do Rady Stanu lub do Senatu.

Skład rządu był następujący:

Prezes rady ministrów, Stanisław Nałęcz Małachowski; minister sprawiedliwości Feliks hr. Łubieński; minister wojny Józef książę Poniatowski; minister skarbu Tadeusz Dembowski; minister spraw wewnętrznych i duchownych Jan Paweł Łuszczewski; minister policyi Aleksander Potocki; minister sekretarz stanu Stanisław Breza.

*Wojewodowie*: 1. Stanisław Małachowski; 2. (miejsce wakowało); 3. Stanisław Potocki, 4. Józef Wybicki; 5. Ksawery Działyński; 6. Piotr Bieliński.

*Kasztelanowie*: 1. Walenty Sobolewski; 2. Józef Radzimiński; 3. August Górzeński; 4. książę Stanisław Jabłonowski.

Prezesem rady stanu został Ludwik Guta-

kowski; marszałkiem nadwornym i prezesem izby dochodów korony, Jan-Nepomucen Małachowski,

Znowu zatem trzeba było przekształcać administracyą, stosować ją do francuzkich form i do zasad w ustawie ogłoszonych. Dekreta królewskie rozwinęły ustawę, oznaczyły używanie praw politycznych przez szlachtę i nie szlachtę krajową, urządziły senat, radę stanu, organizacyą sejmów, zaprowadziły Najwyższą Izbę obrachunkową, a przy zniesieniu poddaństwa włościan, rzuciły pierwsze zasady przyszłych układów z włościanami, celem ich oczynszowania i nadania im z czasem zupełnej własności.

Obok tych władz naczelnych, ustanowiono kommissyą likwidacyjną dla obliczenia nadzwyczajnych dostaw, podwód i strat poniesionych podczas wojny 1806 i 1807 roku, oraz podczas pobytu wojska francuzkiego w kraju, kommissyą najwyższą egzaminacyjną, któraby przekonywała się o zdolności osób chcących uzyskać posady rządowe i kommissyą do summ Bajońskich.

Nowy władca księstwa Warszawskiego, Fryderyk-August król Saski, przybył do Warszawy pierwszy raz 2 listopada 1807 roku, i zabawił do d. 27 grudnia. Powtórnie zjechał na pierwszy sejm księstwa Warszawskiego i zabawiwszy przez czas obrad sejmowych, wyjechał 24 marca 1809. W 1810 odwiedził Kraków, Lublin, i departamenta przyłączone do księstwa Warszawskiego po kampanii 1809 r., a po krótkim pobycie w Warszawie, odjechał do Drezna. Czwarta i ostatnia bytność tego monarchy, była podczas sejmów 1811 roku.

Pierwszy sejm księstwa Warszawskiego, z 1809 r., pamiętny będzie ufnością położoną w rządzie i zgodą w przyjęciu przedstawionych projektów. Uczuli to ojcowie nasi, że pierwszym obowiązkiem obywateli, jest zaspokojenie potrzeb kraju i nie było ofiar którychby niełożyli w tym celu. Oto są prawa, uchwalone na tym zjeździe, w zakresie dwutygodniowym: zaprowadzono zmiany w prawie kryminalném pruskiém, wówczas u nas obowiązującym jeszcze: zniesiono bowiem kary okrucieństwem tchnące, jako to łamanie kołem, a tych, któ-

rzy posiadają prawa obywatelstwa szlacheckiego i miejskiego, uwolniono od kar cielesnych. Jako pierwszy stopień kary za cięższe przewinienia, naznaczono utratę praw obywatelskich. Zaprowadzono w przepisach kodeksu Napoleona o aktach stanu cywilnego, konieczne zmiany, a kodeks handlowy francuzki przyjęto jako obowiązujący w kraju naszym. Przyprowadzenie wojska do liczby oznaczonej ustawą, oddano Monarsze. Na potrzeby kraju, a mianowicie na utrzymanie wojska, powiększono podatek ofiary o jedną ratę, ustanowiono pobór podatku fortyfikacyjnego, pobór od rzezi mięsa koszerneego, podwyższono podatek podymnego. Ustanowiono prawo stemplowe i pobór podatków w naturze, dla wyżywienia wojska; nareszcie oznaczono stopę menniczną pieniędzy, których bicie wkrótce miano rozpocząć.

Gdy te ciężary sejm przyjmował z pośpiechem i rezygnacją, już groziła wojna z Austryą, a kraj nasz znajdował się w dziwném i smutném położeniu. Znaczną część wojska naszego wyprowadził Napoleon do Hiszpanii, na krwawe, zgubne i bezowocne walki; za przyczynę te-

go kroku naznaczył chęć ulżenia krajowi: był to wszakże pozór tylko, bo w miejsce własnego wojska, musieliśmy utrzymywać francuzkie. Przed samém wkroczeniem Austryjaków, pułki francuzkie wyruszyły do Niemiec, a księstwo Warszawskie pozostało bez obrony, z kilku tysiącami żołnierza i garstką artyleryi Saskiej. Byli tacy, którzy w tém postępowaniu upatrywali, że zamiarem Napoleona jest, przy pierwszej korzystnej dla siebie kombinacyi dyplomatycznej, poświęcić byt nie dawno utworzonego księstwa; a łatwiej tego dokaże, gdy wojsko krajowe, rozprowadzi po odległych krańcach Europy. Lecz ogół, ani na chwilę nie przypuszczał téj myśli.

Granica austryjcka za Wisłą, dochodziła o milę od Pragi, z tego zatem powodu zajęto się jeszcze w 1807 i 1808 oszańcowaniem przedmieścia Pragi. Środek ten połączony został z smutną i ciężką ofiarą. Rozebrać musiało kilkaset domów na Pradze, a właścicielom, po większej części nie mającym innego funduszu, rząd nie mógł ofiarować prócz kwitów i obietnic. Ogłoszono składki, które jakiszkol-



wiek zasilek przyniosły, lecz to tylko chwilowy i bardzo niedostateczny.

W dwadzieścia dni po zamknięciu sejmu i wyjeździe króla Saskiego, weszły do kraju naszego wojska austriackie, a po bitwie pod Raszynem w dniu 19 kwietnia stoczonej, zajęły Warszawę, w skutku umowy między księciem Ferdynandem wodzem naczelnym wojsk austriackich, a księciem Józefem Poniatowskim, wodzem wojsk polskich.

Pomyślny skutek téj kampanii, powiększył księstwo Warszawskie o cztery departamenta, które trzeba było organizować na ten sam sposób, jak już urządzone były departamenta z tak zwanych Pruss południowych utworzone.

Na sejmie roku 1811, zasiedli obok dawniejszych posłów, reprezentanci wybrani z departamentów nowo przybyłych. Wniesiono na nim poprawę i zastósowanie kilku artykułów kodeksu Napoleona, lecz głównymi przedmiotami narad, były zmiany i ulgi w niektórych podatkach, a ustanowienie nowych. Już przewidywano olbrzymią kampanją roku następnego i na ciężary ztąd wyniknąć mające, wyszukiwa-

no funduszków. Piękny był i wymowny głos Tadeusza Matuszewica, ówczesnego ministra skarbu, w którym wystawia ulgi uczynione właścicielom ziemskim przez zwrot podwyższonej ofiary do zwyczajnej stopy, to jest do 24 od sta, a ludowi wiejskiemu i stanowi przemysłowemu, przez zniesienie podwyższonego podymnego i lepsze urządzenie patentowego podatku; wnosi zarazem uchwalenie czopowego wiejskiego, to jest opłaty od wyrobu i wyszynku, wódki i piwa ustanowionej przypuszczalnie podług skali ludności; poprawę w poborze podatków osobistego i zaprowadzenie monopolium tabaki. Monopolium soli, z powodu nagłości czasu, zostawiono do decyzji monarchy. Minister odwołał się do uczucia, które wszystkich obywateli ożywia i wzbudza w nich to przekonanie, że te ofiary są konieczne i że od nich uchylać się nie można. Wszystkie te projekta rządowe, po dłuższem lub krótszém roztrząśnieniu, przyjęto.

Wspomniawszy o działaniach władz centralnych, przebiegnę, co w każdym ministerjum dokonano ważniejszego w tym przeciągu czasu.

---

## VII.

Czynności ministrów w epoce księstwa Warszawskiego. — Izba Edukacyjna. — Ogólny pogląd.

*Ministryum Sprawiedliwości.* Natychmiast po ogłoszeniu kodeksu Napoleona jako prawo cywilne kraju naszego, zajął się minister sprawiedliwości przetłómaczeniem na język polski tegoż kodeksu, oraz kodeksu postępowania czyli procedury francuzkiéj, którą jednocześnie za obowiązującą w kraju naszym ogłosił, prostym reskryptem ministeryalnym, jako nieuchronny skutek zaprowadzenia kodeksu cywilnego. Starał się minister obeznać sędziów, obrońców i strony interesowane, z przepisami i duchem tych nowych ustaw.

W ciągu lat trzynastu, dwa razy zmieniło się prawodawstwo nasze. Rząd pruski wniósł swo-

je prawa, a mieszkańców nie znających ani tych praw, ani języka, poddał pod dowolność urzędników sądowych. Trzeba oddać sprawiedliwość systematyczności i światłu rządu pruskiego, że taki stan rzeczy nie pociągnął za sobą wielkich nadużyć. Jednakże bardzo był przykrym dla mieszkańców polskiego rodu. Zaledwie zaczęli oswajać się cokolwiek z prawem pruskiem, nadano im kodeks francuzki. Z gorliwością rzucili się wszyscy do nauki kodeksu Napoleona. Minister Feliks hrabia Łubieński, nie tracąc czasu, w dniu 16 października 1807 roku, zaprowadził w sali ministeryum sprawiedliwości wykład kodeksu cywilnego francuzkiego, teoryi prawa kryminalnego, teoryi postępowania prawnego cywilnego i kryminalnego i kodeksu postępowania cywilnego francuzkiego. Wykłady te były bezpłatne, codzień od godziny czwartej do wpół do szóstej po południu, a w niedzielę od dziesiątej do dwunastej rano. Wczwał minister nie tylko młodzież, lecz i urzędników, żeby na te kursa uczęszczali i sam na nich bywał obecnym. W kilka miesięcy potem, dnia 4 maja 1808 roku założoną została szkoła

prawa. Pierwszemi jój professorami byli ksiądz Szaniawski i Jan-Wincenty Bandtkie. W dniu 11 października 1808 r. nastąpiło jój uroczyste otworzenie. Wkrótce potém wyszło rozporządzenie, że nikt nie uzyska posady sądowój bez złożenia egzaminu. Dekret monarszy z dnia 22 maja 1811 r. przydał do szkoły prawa szkołę administracyi. Oto są nazwiska ówczesnych professorów w tych obu szkołach: ksiądz Ksawery Szaniawski wykładał prawo kanoniczne kodeks cywilny i handlowy; Jan-Winc. Bandtkie prawo dawne polskie; Aleksander Engielke kodeks postępowania cywilnego; Dominik Krysiński naukę finansów; W. Hofman naukę gospodarstwa rolnego; Fryderyk Szubert botanikę leśniczą; Jan Stefazyusz starożytności rzymskie. Nie jeden z czytelników zwróci na to uwagę, że wiele przedmiotów nie było objętych w tym rozkładzie nauk; lecz niech zważy, że obie te szkoły były dopiero w zawiązku.

Jednocześnie ustanowiono kommissyą, która miała zastosować przepisy kodeksu francuzkiego, w tych przypadkach, gdzieby okazała się potrzeba zmian jakich, z powodu różnicy sto-

sunków towarzyskich i względu na dawne prawa i zwyczaje krajowe. Wydano prawo przechodnie, oznaczające, jakie zaczęte sprawy mają być sądzone podług praw dawniej obowiązujących, a jakie podług nowego kodeksu Napoleona. Następnie, wydano organizacją sądów pokoju, czyli podsędzkowskich, sądów policyi poprawczej, sądów kryminalnych, trybunałów, sądu appellacyjnego i sądu kassacyjnego; tak więc uzupełniono cały skład sądownictwa.

Ciężary wojenne, zamknięcie portów i zupełny brak dochodów, zrzędziły to, że obywatele ziemscy nie mogli płacić długów swoich w oznaczonych terminach i zostali narażeni na bezcenną sprzedaż majątków. Wyższe polityczne względy i proste uczucie sprawiedliwości, wskazywały, że tych, którzy nieśli na ofiarę majątki swoje i samych siebie, ochronić należy od zupełnego upadku. W tym celu wyszło postanowienie o Moratoryum, wstrzymujące wypłatę kapitałów z dóbr ziemskich tam, gdzie procent od nich regularnie jest opłacany. Nie dozwolono także sprzedawać dóbr niżej dwóch trzecich części ich wartości. Postanowienia te były



wprawdzie niedogodne dla kapitalistów, skrzyżowały wiele widoków i rachub, lecz uratowały obywateli i podały im sposobność w późniejszych latach, utrzymania się przy ojczystych majątkach.

Nowo zaprowadzona instytucya sądów pokoju, zakwitnęła nad spodziewanie. Gorliwi sędziowie zagadzali corocznie po kilkanaście tysięcy spraw większych i mniejszych i przez takie ukrócenie pieniacstwa, niezmierny pożytek przynosili krajowi.

*Ministeryum spraw wewnętrznych i ministeryum policyi.* Dwa główne przedmioty zajmowały te ministerstwa: urządzenie administracyi krajowej i zadosyć uczynienie potrzebom wojsk własnych i cudzoziemskich. Izby administracyjne zaprowadzone przez kommissyą rządzącą, zamieniono w prefektury, a izby wykonawcze w powiatach, w podprefektury i ogłoszono nową tych władz organizacyą. Wyrazy ministra spraw wewnętrznych ś. p. Jana Łuszczyńskiego, wyjęte z jego mowy, mianej na sejmie 1809 r., dadzą najlepsze wyobrażenie o składzie ówczesnej administracyi.

„Dwa widoczne oddziały w planie administracyjnym, chciał zachować prawodawca: *wykonanie i naradzanie się* o wspólnych potrzebach, oraz rozkładzie ciężarów publicznych. Pierwsze, powierza indywidualnym urzędnikom, drugie, składom kollegialnym. W rządzie pierwszym społeczeństw, są gminy, czy to miejskie czy wiejskie, w nich do części exekucyjnej jest wójt, burmistrz lub prezydent; do części naradczej rady miejskie i municypalne. W dalszym szczeblu administracyjnym w powiecie, jest do pierwszej podprefekt, do drugiej rada powiatowa; w departamencie, prefekt i rada departamentowa. Te wszystkie władze zbiegają się do ogniska rządu, w osobie monarchy, od którego wszystko pochodzi, z którego jak z dobroczynnego źródła wszystko wypływa. Rady prefekturalne stanowią o sporach, jakie w pewnych przypadkach z strony prywatnych przeciw rządowi, mogą być wytoczone. Od rad prefekturalnych odwołać się można do rady stanu, której wyrok Najjaśniejszy Pan potwierdza lub zmienia.”

W 1812 roku, dekretem z dnia 12 stycznia oznaczono ściślej attrybucye rad departamentowych. Głównemi przedmiotami ich czynności były: środki podźwignienia przemysłu krajowego, dobroczynne zakłady, utrzymanie i budowa dróg i mostów, pomnażanie szkólek gminnych i podawanie środków dążących do rozwinięcia i ulepszenia administracyi kraju.

W téjże epoce od 1809 do 1812 r. ustanowiono administracyą policyi lekarskiej, pod zwierzchnictwem rady ogólnej lekarskiej i zaprowadzono lekarzy departamentowych i powiatowych, płatnych od rządu.

Szczepieniem ospy krowiej i rozszerzeniem tak zbawiennego środka, władza zajęła się jak najgorliwiej. — Postanowiono usunąć żydów z celniejszych ulic miasta Warszawy i tym tylko dozwolić mieszkać przy tych ulicach, którzy porzucają ubiór żydowski. Dekretem z d. 12 października 1812 roku usunięto żydów z karczem i gorzelni wiejskich; urządzenie to nie dokonane od razu, bo wiele miejscowych okoliczności stało na przeszkodzie, już od lat wielu przyszło w zupełności do skutku.

Do liczby najważniejszych rozporządzeń z epoki księstwa Warszawskiego w tych dwóch ministeriach, policzyć należy zaprowadzenie ksiąg ludności, obejmujące szczegółowe przepisy względem meldowania się podróżnych, oraz przesiedleń; przepisy zabezpieczające od pożarów; rozkaz utrzymywania wszędzie drabin na domach, stągwi z wodą, sikawek ręcznych i mechanicznych; ustanowienie dyrekcyi towarzystwa ogniowego; urządzenie ciężaru kwaterunkowego; oznaczenie opłaty pieniężnej w miejscu dawnych kwater; urządzenie podwód dla wojska i służby wojskowej i środki wynagrodzenia za ich dostawę; nareszcie pierwsze zasady poboru do służby wojskowej.

Lecz oprócz budowania gmachu administracyi krajowej od samych fundamentów, co wykazuje się z tylu dekretów monarszych i postanowień ministeryalnych, zwrócono uwagę na instytucye, mogące wpływać na gospodarstwo krajowe i na sztuki piękne. Zaledwie wytchnął kraj po kampanii Austryackiej 1809 r., powzięto myśl założenia towarzystwa rolniczego, które dekretem Monarchy z d. 10 czerwca 1810 r.

zatwierdzone zostało. Pierwszym prezesem tego towarzystwa był Ludwik Gutakowski, drugim Aleksander Potocki, trzecim ordynat Zamoyński. Zdanie sprawy z działań jego; ogłoszone w ówczesnych gazetach, jest dowodem, że zajmowało się przedmiotami mającemi na celu wzrost gospodarstwa krajowego.

Teatr, uważany nie tylko jako rozrywka wykształconej klasy społeczności, lecz jako ważny środek do wyszydzenia śmieszności i wad ludzkich, jako bodziec do szlachetnych myśli i uczuć, nie uszedł baczenia rządu. W dniu 14 kwietnia 1810 r., ustanowioną została dyrekcyja teatru narodowego. Weszli do jej składu ówczesni literaci, a prezydencyą poruczono J. U. Niemcewiczowi. Odezwą swoją zachęciła dyrekcyja do zaniechania tłumaczeń, mianowicie melodramatów i fars, a tworzenia oryginalnych komedyi i trajedyi. Wkrótce, za staraniem dyrekcyi i gorliwą pomocą ówczesnego przedsiębiorcy teatru narodowego, ś. p. Wojciecha Bogusławskiego, otworzono szkołę dramatyczną. W organizacyi téj szkoły, znajdujemy wzgląd na powołanie uczniów i uczennic, oraz na ich ukształcenie moralne.

*Izba edukacyjna.* Pod naczelném zwierzchnictwem ministra spraw wewnętrznych, była Izba edukacyjna, lecz tworzyła oddzielną magistraturę, złożoną z członków i prezesa i miała otwarte pole działania. Do jéj składu należeli mężowie zasłużeńi w zawodzie naukowym i nauczycielskim. Wymieniamy tu nazwisko Stanisława Potockiego, jako prezesa, a w gronie członków zasiadał Staszyc, Niemcewicz, ksiądz Prażmowski, Józef Lipiński i Lelewel (ojciec) niegdyś jeszcze członek kommissyi edukacyjnój za czasów Stanisława Augusta.

Izba edukacyjna zaprowadzona zaraz przez pierwszą kommissyą rządzącą w 1807 roku, pozostała bez zmiany; urzędowała w czasach wojennych; co uczyniła, okaże się z wyjątków *Zdania sprawy z jéj pięcio-letniego urzędowania*, które skreślił Józef Lipiński, sekretarz jeneralny téjże izby, na posiedzeniu publiczném, przy uroczystém rozwiązaniu Izby edukacyjnój, a zaprowadzeniu Dyrekeyi, dnia 9 stycznia 1812 roku.

„W szczęśliwém stanowisku, mówi sprawozdawca, znalazła się Izba edukacyjna, zaraz



przy rozpoczęciu czynności swoich; zastała bowiem fundusze edukacyjne, odłączone przez rząd pruski od ogólnych dochodów kraju i na cel oświecenia publicznego wyłącznie przeznaczone. Tym sposobem, niedostatek skarbu i ciężary wojenne, nie tyle mogły tamować jej działanie.

„Kto zna, jakiej spokojności, jak troskliwej rządu opieki, jak regularnego funduszków wpływu, wymagają wszelkie wychowaniu publicznemu poświęcone zakłady, ten łatwo pojąć zdoła, jaką przerwę w naukach i jakie rozprzężenie ustaw, przynieść musiała sama zmiana rządu. Zapobiegła Izba edukacyjna upadkowi i stracie, ogłoszeniem przyjętego od siebie prawidła, utrzymania rzeczy w stanie w jakim były, nim czas poda sposoby i wskaże potrzebę polepszenia; zwiastowała oraz nauczycielom opiekę rządową i zachęciła ich do pełnienia gorliwego obowiązków swoich.

„Departament Bydgoski i Łomżyński, ze szkół wyższych zupełnie ogołoconemi były. Korzystając z gmachu klasztoru dawniej księży Dominikanów, a już od rządu zeszłego na szko-

ły w części wyporządzonego, po ukończeniu wewnętrznego przysposobienia, izba edukacyjna szkołę departamentową w Sejnach założyła, która dnia 28 lutego 1809 roku publicznie otworzoną została. W Łomży należało podnieść upadłe szkoły, lecz przy założeniu tam stolicy departamentu, zajęto gmachy szkolne na umieszczenie magistratur krajowych. Izba edukacyjna przeniosła szkoły zamtąd do Szczucina w ludniejszą okolicę, opatrując je znacznie szym funduszem i pomnożeniem nauczycieli.

„Starala się izba o przysposobienie zdatnych professorów. W tym celu, ile jój fundusze dozwoliły, trzech młodych nauczycieli, do matematyki, botaniki i rysunków, wysłała do Paryża, jednego na mineralogią do sławnego Wernera w akademii Frejbergskiej, jednego na chemią do Berlina.

„Wśród ciągłych wojen, widziała izba edukacyjna potrzebę opatrzenia wojsk usposobionemi lekarzami, a zatem założenia w Warszawie szkoły, w którejby się rodacy do téj posługi sposobić mogli. Szczupłość funduszków wystawiała do przedsięwzięcia tego nie małą trudność, ułatwi-

ła ją gorliwość zacnych w téj stolicy lekarzów, którzy, obywatelskie usługi swoje w kształceniu młodzieży, dla dobra ojczyzny i ludzkości, Izbie edukacyjnej oświadczyli i te dotąd gorliwie bez żadnej *pieniężnej* nagrody wypełniają, ciesząc się tą, która z szacunku i wdzięczności współ-obywatelów i z własnego świadectwa z dopełnienia szlachetnego czynu pochodzi.

„Nazwiska tych zacnych lekarzy, którzy bezpłatnie wykładali nauki w szkole lekarskiej za księstwa Warszawskiego, godnych pamięci najdalszych pokoleń, są następujące:

*Dziarkowski*, dziekan wydziału lekarskiego, professor fizyologii, fotogenii i materji medyki.

*Celiński*, professor chemii i farmacyi.

*Wolff*, profesor terapii jeneralnej, specyjalnej i kliniki.

*Czekierski*, professor chirurgii lekarskiej, i sztuki położniczej.

*Brandt*, professor anatomii, medycyny policyjnej i prawnej.

*Zabellewicz*, professor loiki, metafizyki, psychologii i antropologii.

*Freyer*, w zastępstwie dziekana wykładał materję medyczną i formularz.

*Hoffman*, professor historyi naturalnej, miał pensyą roczną złp. 3000.

*Pan Weiss*, prosektor złp. 2400.

„Izba edukacyjna korzystając z téj ofiary, dwa domy do funduszu edukacyjnego należące, z dawnych szkół po-jezuickich, temu zakładowi przeznaczyła, a po otrzymaniu od J. K. Mości funduszu na koszt pierwszego założenia, szkołę tę na dniu 9 października 1809 roku otworzyła.

„Czuła Izba edukacyjna, jak głównym, jak świętym było dla niéj obowiązkiem, zająć się jak najtroskliwiej oświeceniem włościan, którzy ustawą księztwa Warszawskiego do równości praw obywatelskich powróceni, stać się powinni godnemi i zdolnemi do korzystania z nadanych im dobrodziejstw.

„Lecz te i wszystkie inne téj magistratury prace, do dobra powszechnego zmierzające, klęskami krajowemi przerywane były.

„Znała Izba edukacyjna, jakiej trudności rząd pruski doznawał co do szkółek wiejskich, wiedziała, jakie ją czekają. Zaprowadzić szkoły dla włościan, mimo ich chęci, której jako niepojmujący ich pożytku, mieć jeszcze nie mogą; zniewolić ich do przykładania się choć szczupłym nakładem w czasie tak trudnym i w stanie ich ubóstwa, oto są najcięższe zawady. Widziała je Izba edukacyjna, lecz widziała razem iż dokonanie takiego dzieła wymaga powolnego i ciągłego usiłowania i niczem nie zrażonej wytrwałości.

„Wydając Izba edukacyjna ustawę dla szkół wiejskich, odezwą swoją wezwała pomocy obywateli ziemskich i duchowieństwa; znalazła wspomniałych dziedziców, gorliwych i przykładowych ludu pasterzów, z których pierwsi budową lub przeznaczeniem domów na szkółki, przydaniem ogrodu, a czasem opłatą nauczycieli, szlachetną i dobroczynną do oświecenia ludu stali się pomocą; drudzy, namową, zachęceniem, osobistem nauczaniem i z własnych przychodów ofiarą, dopełniają właściwego sobie przeznaczenia.

„Skutek tych usiłowań jest następujący:

„*W departamencie Warszawskim*, przybyło, szkółek elementarnych w miastach 8 we wsiach 48. *W departamencie Poznańskim*, w miastach 42, we wsiach 53. *W departamencie Kaliskim* w miastach 34 we wsiach 162, *W departamencie Płockim*, w miastach 3, we wsiach 20. *W departamencie Bydgoskim*, w miastach 14, we wsiach 32. *W departamencie Łomżyńskim* w miastach 18, we wsiach 60. Razem 494.

„Zajęło Izbę edukacyjną troskliwe staranie aby żadnej szkole wyższej niebrakowało potrzebnych do uczenia sposobów, to jest: aby w bibliotekę, maszyny i narzędzia, bez których, nauczanie mało pożyteczném się stało, każda szkoła opatrzoną była. Ale za najważniejszą poczytała potrzebę, utworzenie i przepisanie szkołom dzieł elementarnych.

„Czem są narzędzia sztukom, tém są instrukcyi publicznej dzieła elementarne. Dzieła te, przepisując rzecz, jej układ, sposób dawania i granice uczenia, prowadzą samych uczących, kształcą ich, sposobią, a tém samém ułatwiają największe trudności początkowego zawodu.



„Do zajęcia się tak ważną i użyteczną pracą wezwała Izba edukacyjna mężów, którzy znajomość nauk i wysokięj sztuki kształcenia młodych uczniów, nie z samęj posiadają teoryi, lecz doświadczeniem strawionego w trudnych nauczycielskich pracach życia i nabytą znajomością, zdołają ogólne przepisy stwierdzać i do najzupełniejszego pożytku stosować.

„Oznaczyła Izba edukacyjna następujące stopniowanie szkół, zgodne z naturą rozmaitego obywatelów zatrudnienia, z rodzajem i celem prywatnej i publicznej ich użyteczności. Najprzód, *szkoły dla wiejskiego ludu*, zajmują wiadomości pierwszej potrzeby, nie przechodzące, że tak powiem, granic rolniczej zagrody i domowego obejścia; *też szkoły początkowe w miastach*, podają skromne wiadomości, przemysł domowy wspierające i podniecające; *szkoły podwydziałowe*, podnosząc nauki do stopnia, jakiego oświecenie i usposobienie ogólne do użyteczności sobie i innym wymaga, podają te wiadomości, bez których znaczniejszego gospodarstwa, obszerniejszego handlu prowadzić, lub do sztuk i rzemiosł pożytecznie przykładać się nie można,

ani też jak należy dopełnić w swoim okręgu, obowiązków publicznej usługi.

„*Szkoły wydziałowe*, obejmując już wszystkie umiejętności i nauki potrzebne, nie przechodzą jednak stopnia rzetelnej w życiu użyteczności.

„*Szkoły departamentowe*, podając uczniom zasady wszystkich nauk, prowadząc je do stopnia który tam się kończy, z kąd się doskonalenie umiejętności w szkole Głównej zaczyna, służą do rozwinięcia w młodym, wszelkich władz umysłowych, do postawienia go w tym stanie żeby mógł wybrać tego rodzaju umiejętność, do której go przyrodzenie więcej usposobiło.

„Czuła Izba edukacyjna, iż byłoby z jej strony w połowie tylko dopełnieniem obowiązków, w czuwaniu nad instrukcją publiczną, gdyby nie zwróciła uwagi i starań swoich, na drugą połowę narodu, na wychowanie tej płci, której ukształcenie i przymioty, tak wiele wpływają do najbliższego, bo domowego szczęścia ludzi, a której usposobienie, wiele do ogólnego oświecenia przykładać się może.

„Co się tycze szkół wyższych i nauk, płeć ta nie ma i mieć nie może ustanowionych do instrukcyi swojej, tak licznych i wysokich jak płeć męzka, instytutów publicznych, a jako jęj przeznaczenie i obowiązki, zatem umiejętności i przymioty, mają za cel szczęście szczególnych familij i osób, a przeto i powszechne dobro, tak i wychowanie jęj, jest bardzięj domowe, niż publiczne. Nie masz dla nięj akademii, liceów, gimnazyów i t. d. Udoskonalenie osób tęj płci, do celu, do którego przeznaczyła je natura, nie wymaga tak wiele zachodu; dom rodzicielski najlepszą i najpożyteczniejszą jest dla nich szkołą, a matki właściwemi ich nauczycielkami. Lecz gdy częstokroć, niemożność udzielania w domu własnym córkom swoim tych wiadomości i nauk, a nawet przyjemnych talentów, które potrzebnemi się stały, skłania matki do zlania najdroższych praw i obowiązków swoich na osoby, trudniące się zawodem nauczycielskim: wtedy oddają je pod dozór i bacznąć rządową; ta nad ochmistrzyniami czuwać i one w prowadzeniu młodzieży kierować powinna.

„Osądziła Izba edukacyjna, iż dozór ten nikomu właściwiej powierzonym być nie może, jak szanownym téj saméj płci osobom.

„W tym celu, pierwszym w kraju i w każdym departamencie zamieszkałym obywatelkom, znanym z wychowania dobrego własnych dzieci matkom, poruciła Izba edukacyjna baczność nad instytucjami naukowemi dla płci żeńskiej tak w stolicy jako i w różnych częściach kraju, od szczególnych osób założonemi, ażeby te nie stawały się z czasem celem przemysłu i przedmiotem szczególnego zysku, bardziej niż dobra osób u nich wychowujących się i żeby matki powierzające im dzieci swoje, koily troskliwość, wiedząc że nad niemi rząd czuwać nie przestaje.

„Ułożony od osób wezwanych do rady dozorczej szkół płci żeńskiej, w departamencie Warszawskim, regulamin dla szkół i pensyi, zamykający przepisy utrzymywania domowego i nauk téj płci właściwych i potrzebnych, a szczególnie wychowania moralnego, Izbie edu-

kacyjnej podany, od niej potwierdzony i na cały kraj przepisany został.

„Wspomnę teraz o funduszach edukacyjnych.

„Izba edukacyjna w ciągu pięcioletnim urzędowania swego, miała wprowadzić dekretami J. K. Mości, na niektóre potrzeby wyznaczone cząstkowe wsparcia, lecz nie tylko tych, z powodu tak mnogich i naglających skarb publiczny wydatków i potrzeb, w zupełności odebrać nie mogła, ale nawet z funduszków pod jej zarządzenie oddanych, znaczne, bo do złp. 547 719 zaległości przyszłej dyrekcyi edukacyjnej zostawia, których niedobór, nie jest zaiste jej zaniedbania, lub słabego dopominania się winą.

„Ztąd okazuje się, iż edukacja mniejszy jeszcze niżeli za rządu przeszłego miała przychód i że najmniej z swojej strony w terażniejszych okolicznościach, innym krajowym potrzebom odjęła. Przecież, z temi tak szczupłemi w jej ręku złożonemi sposobami, tym się szczyścić może starań i rządności swojej owocem, to zyskać od wszystkich instytutów edukacyi poświęconych, a od siebie utrzymywanych świadectwo, iż nie masz żadnego, którego by stan

polepszonym nie był. Może śmiało w tych sześciu departamentach odwołać się do nauczycieli i emerytów; którzy pobierali opłaty z funduszków pod jej zarządzeniem będących, czy którego zasłużona nie doszła nagroda, a nawet czy długo zaległa została?

„Mimo tego jednak, zdołała, nietylko ulepszyć szkoły, ale nowe i znaczne ponieść wydatki, na utworzenie tylu brakujących instytutów, na sposobienie młodzieży za granicą, na napisanie ksiąg elementarnych i utrzymywanie w tym celu uczonego towarzystwa, na zakupienie modeli sztuk pięknych, na pomnożenie biblioteki, muzeum i t. d.

„Izba edukacyjna, kończąc urzędowanie, chciała zostawić dowód troskliwości o przyzwoite umieszczenie nauk w stolicy i znalazła sposób przeznaczenia pewnej oszczędzonej summy, na wyporządzenie w tym celu pałacu Kazimirowskiego, gdy żadnego własnego miejsca nie mając, ani się trwale mieścić, ani się dość wygodnie urządzić mogły.

„Wniepomyślnych okolicznościach, pod względem funduszków, objęła Izba edukacyjna rząd



instytutów, w czterech nowych departamentach przyłączonych od Galicyi, te bowiem nawet przychody, które rząd austriacki na edukacyą przeznaczył, dojść jęj w zupełności nie mogły.

„Trudno jest wystawić smutny stan, w jakim Izba edukacyjna znalazła wszystkie instytuta edukacyi publicznej, w tych czterech nowych departamentach. Słusznie powiedzieć można, iż nie Szkołę Główną w Krakowie ale etat na nią sporządzony odebrała. Nie w lepszym znalazła stanie ulotne dla nauk pomoce, muzea i zbiorry, ogród botaniczny i bibliotekę.

„Chciała ukończyć urzędowanie swoje wznieśieniem na rok idący niektórych w kraju instytutów i sprowadzeniem z zagranicy znakomitej biegłości nauczycieli. Zamówieni zatem i wezwani zostali do ważnych nauk w Szkole Głównej krakowskiej i w Liceum warszawskiem, z akademii niemieckich znani z nauk mężowie.

„Co się tycze zaprowadzenia nowych instytutów, za nieodbitą osądziła potrzebę, wyniesienie na stopień szkoły departamentowej dotychczasowych szkół w Lublinie. Podniosła szkołę podwydziałową w mieście Łomży, tegoż sto-

pnia nową założyła w Hrubieszowie. Nakoniec na miéjsce dawnéj od księży Benonów w Warszawie utrzymywanéj szkoły, wzniosła wydziałową, tak potrzebną dla licznych w stolicy uczniów, którzy zbyt napelniali niższe klasy w Liceum i w szkole księży Pijarów.“

Z tego zdania sprawy, przekonać się możemy, że Izba edukacyjna w epoce księztwa Warszawskiego położyła pierwsze zasady edukacyi w kraju naszym. Postęp czasu, dobroczynność monarchów, wypadki krajowe, zrzędziły w téj organizaeyi liczne ulepszenia i zmiany. Lecz nie mniejsza wdzięczność należy się od następnych pokoleń, pierwszym naczelnikom publicznego oświecenia.

*Ministeryum skarbu.* Najcięższym i najprzykrejszym w owéj epoce był urząd ministra Skarbu. Wydatki były większe od przychodów, zatamowane zostało źródło bogactwa krajowego, przez zamknięcie portów morza Bałtyckiego. Trzeba było nakładać coraz to nowe i coraz to większe podatki, a nie poprzestając na tem, wybierać w naturze produktu dla utrzymania wojska nieuchronnie potrzebne; który to kontyn-

gens liwerunkowy, wybrany został za księztwa Warszawskiego i w dwóch po nim latach 1813 i 1814, za kilkanaście lat z góry. Administracya żywności, przy takim nawale potrzeb, nie mogła być dobrze prowadzoną i zdarzały się liczne przykłady gorszących nadużyć. Skarb nie miał kredytu i teoria pożyczek publicznych umarzanych potem częściowo przez długie lata, była jeszcze w kolebce. Bez tego środka, który ciężary obecne na daleką przyszłość rozkłada, nie można było niczem zastąpić niedoboru w bieżących podatkach. Było wielu z pomiędzy szlachty, którzy tego pojąć nie mogli, iż powinni płacić podatki i to coraz to większe, kiedy za dawnych czasów oni i ich ojcowie nic nie płacili. Woleli więc nadrabiać z różnemi urzędnikami, tracić na nich, ale nie płacić. Ta okoliczność spowodowała ustanowienie kar dosyć wysokich, bo przewyższających najcięższą lichwę żydowską, od podatków nieopłacanych w terminie.

Z pomiędzy działań ówczesnego ministerstwa skarbu, wymienię znaczniejsze:

Ustanowiono kommissyą likwidacyjną celem

obrachowania i zapłacenia z czasem, nadzwyczajnych ciężarów wojennych. Czynność tej kommissyi trwała długie lata, prawie aż do dni naszych. Jedne pretensye odesłano do rządu francuzkiego i z tych nikt nic nie dostał, pretensye za dostawy dla wojsk cessarsko-rossyjskich, austriackich i naszych krajowych, zapłacono certyfikatami, które stopniowo przyjmowano w zaległych podatkach, umorzono i wykupiono.

Wyszło urządzenie wekslarzy i zakaz wywożenia z kraju srebra i złota, w dniu 10 listopada 1808 roku. Otworzono mennicę waszawską w dniu 19 czerwca 1810 r. i oznaczono stopę monety pieniężnej; zaprowadzono dyrektorów skarbu we wszystkich prefekturach; urządzono ekspedycye towarów i wydano przepisy co do ich tranzytu i remissy. Wyszedł dekret aliewiacyi, czyli zawieszenia albo darowania podatku w razie klęsk nadzwyczajnych, zwłaszcza gradobicia i pożaru. Urządzono administracyą dóbr i lasów narodowych. Ustanowiono monopolium tytoniu i tabaki, wskutek prawa sejmowego roku 1811. Nie potrzebuje rozwodzić

się nad tém, że każde prawo podatkowe uchwalone na sejmie, pociągało za sobą rozporządzenie ministerstwa skarbu, dotyczące się jego wykonania.

Dwa przedmioty godne uwagi naszój, zostawały także pod kierunkiem ministerstwa skarbu. Pożyczka 4,500,000 złp. i summy zwane Bajońskimi.

Przed sejmem 1809 r. stosownie do postanowienia Monarchy, Rada Stanu wydała dekret otwierający pożyczkę na zakup żywności dla wojsk francuzkich stojących w kraju: widziano, że niepodobna dalszemi rekwizycjami obarczać mieszkańców, a skarb nie miał na to żadnych funduszków. Na uiszczenie téj pożyczki, którą we dwa lata z procentem po sześć od sta spłacić miano, przeznaczono na sprzedaż część dóbr narodowych i miano oddać dochód z nich pod zarząd wierzycieli, na pewność procentu. Lecz obok gwarancyi skarbu, odwołano się do gorliwości obywateli, żeby ci zapisali dla tem lepszego bezpieczeństwa pożyczki, kaucyą na majątkach swoich, albo w gotowiźnie wnieśli pieniądze. Takich zapisów i skła-

dek, zebrało się przeszło na trzy miliony złotych polskich. Wtedy rząd wszedł w układy z kapitalistami warszawskimi i obcemi. Układ ten podpisali jako pełnomocnicy wierzycieli, ksiądz Bohusz, Mikołaj Geritz i Samuel Frenkel. Gdy pożyczka ta bardzo powoli wnoszoną była, zrobiono jęj repartycyą na miasta i powiaty, a tak pożyczkę dobrowolną zamieniono w przymusową, którą w największej części wybrano zbożem. W miarę takiego wybierania, wydawano obligacye. Jednakże ilość ich nie doszła do całkowitej summy pół-pięta miliona i tylko w kurs puszczo 2,550,000. Na pokrycie tego długu, sprzedano dóbr rządowych i z dzierżawy potrącono złp. 907,500; na rzecz rządu Księstwa Poznańskiego odrachowano 655,000 złp. Resztę tego długu spłacono z mocy ukazi Najjaśniejszego Pana dnia  $19/31$  sierpnia 1828 roku, listami zastawnemi podług ich nominalnej wartości.

W samym zawiązku tego interesu, to zasługuje na szczególną uwagę, że gdy teraz, kredyt rządowy daleko silniej stoi niżeli prywatny i obligacye rządowe mają powszechne zaufanie,



to w epoce księstwa Warszawskiego, obywatele ziemscy, kredytem swoim, to jest kaucyą hipoteczną na dobrach, przychodzili w pomoc ówczesnemu rządowi.

Za rządu pruskiego, rozmaite kassy pruskie, banki, a nawet i prywatni kapitaliści, pożyczali pieniędzy z największą łatwością właścicielom dóbr ziemskich, w prowincyach przyłączonych do Polski. Pożyczki te wzrosły do summ bardzo znacznych. Taksy majątków zastosowano do chwilowych wysokich cen zboża, bez względu na dawniejszy stan rzeczy, a nawet stosowano je do wartości ziemi w Niemczech. Ztąd wynikło, że wiele majątków obciążono długiem wyczerpującym ich wartość. Może takie obdłużenie szlachty naszej, pochodziło z celów politycznych. Po ustąpieniu rządu pruskiego, summy te pozostały przez rok bez właściciela i prawie każdy mniemał, że ani procentu, ani kapitału płacić nie potrzeba. Lecz konwencją zawartą w Bajonie w dniu 10 maja 1808 roku, summy te odstąpione zostały Francyi, na poczet kontrybucyi wojennéj, należącój się rządowi francuzkiemu, a Francya oddała je skar-

bowi księztwa Warszawskiego, jako wynagrodzenie za dostawę dla armii Napoleona uczynione. Rząd zatém zaczął upominać się o nie, jako o swoją należytość. Ale w owych latach wojennych, nikt nie myślał o płaceniu procentów, a tém bardziej kapitału. Bieżące dochody i zboże szły na podatki i na furaz dla wojsk; kto miał to dać ile tylko można było wziąć od niego; nie mający, zalegał. Kilkokrotne wezwania do obywateli, którzy byli dłużnikami summ Bajorńskich, pozostały bez skutku. Daremnie czyniono ulgi i rozkłady w wypłacie kapitału i procentu, grożono sekwestracją i sprzedażą. *Z pustego dzbanka i Salomon nie należy.* Sprawdziło się to przysłowie na dłużnikach summ Bajorńskich. I w takim zawieszeniu dotrwały aż do epoki Królestwa Polskiego. Wtedy, skutkiem kilkokrotnych układów, wróciły na własność skarbu królestwa Pruskiego. Przez lat kilkanaście, rząd ten układał się z dłużnikami; kapitały najbezpieczniej i najwyżej ulokowane, zbywał ze znaczną stratą, żeby tylko subhastacyi nie potrzebował prowadzić, z której najczęściej żadnej nie miał korzyści. Resztę tych kapitałów od-

przedał naszemu skarbowi, który je nabył na wyraźny rozkaz Monarchy i ich windykacją Bankowi Polskiemu poruczył. Wiele bardzo summ spadło z hypoteki, gdy sprzedano majątki za długi wyżej stojące, resztę zrealizowano jak było można.

Już w 1812 r. ułożony został projekt spłacenia summ Bajonńskich, przez wypuszczenie listów zastawnych, tam gdzie ich lokacya nie wyczerpuje  $\frac{3}{5}$  części ceny szacunkowej majątku. Wyznaczono w tym celu deputacyą; lecz koleje wojny 1812 roku i powrót summ Bajonńskich do skarbu pruskiego, projekt ten usunęły. Widać w tym pomysle, pierwszy zaród instytucyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

*Ministryum Wojny.* Formowanie i powiększenie wojska, było głównym celem prac téj władzy. Na końcu 1811 r. liczba wojska księstwa Warszawskiego, wynosiła około 80,000. Skutkiem, czyli rachuby politycznej, czyli nieufności Napoleona, wojsko nasze tak było porozdzielane i poprzyłączane do rozmaitych korpusów francuzkich, niemieckich i austryackich,

iż samo nie stanowczego działać nie mogło, ani wywrzeć wpływu na kraj zajmowany przez wojska francuzkie. Zawczasu myślano o kształceniu zdatnych oficerów i w tym celu utrzymmano i ulepszono dwa zakłady edukacyjno-wojskowe, czyli kadetów; w Kaliszu i w Chełmnie, założone za rządu pruskiego. W Warszawie założono wyższą szkołę artylleryi i inżynieryi. Te zakłady zostawały pod wspólnym dozorem izby edukacyjnój i ministeryum wojny.

Postanowieniem Monarszém urządzono opiekę nad inwalidami, nad wdowami i dziećmi wojskowych. W prawie o zaciągu do wojska, oznaczono, komu i jakie wyłączenia służyć mogą, od téj ogólnej powinności obywatelskiej. Żydów za opłatą 700,000 złp. corocznie wnoszoną, uwolniono od służby wojskowej. Prawo to ułożone było łącznie z Kommissyą spraw wewnętrznych. Też same dwie władze ogłosiły w końcu 1812 roku surowe przepisy przeciw zbiegostwu i naznaczyły kary pieniężne na wójtów i burmistrzów, w razie, gdyby się wykazało, że zbiegły ukrywał się w gminie, a przez niepilność albo pobłażanie, ujęty nie został.

Trzecie przewinienie tego rodzaju pociągało za sobą odpowiedzialność osobistą.

\* \* \*

Takiego to ogromu prac dokonali nasi dziadowie i ojcowie, przy urządzaniu wszystkich gałęzi administracyi kraju. Może w tym ogólnym poglądzie, opuściłem nie jedno mniej ważne, lecz użyteczne postanowienie. Prawo i administracya kraju, nie może być doskonałe od razu. Zmienia się i poprawia w miarę doświadczenia i nowych potrzeb społecznych. Lżejszą atoli i łatwiejszą pracę mają następcy, którzy od poprzedników swoich odbiorą w spadku rzucone fundamenta gmachu i pierwsze jego ściany wzniesione w górę.

Administracya, skarbowość i prawodawstwo księstwa Warszawskiego, były z początku celem wielu narzekań, docinków i przygan. Forma centralizacyjna rządu, na wzór francuzki, odnosząca wszystkie czynności do monarchy, wymagała rozgałęzienia hierarchii urzędniczej,

do której nie nawykli byli nasi przodkowie. Kilka wieków obywali się oni bez administracyi i skarbowości, nareszcie smutną katastrofą zapłacili za to obywatelstwo tak swobodne i niekosztowne. Znany wierszopis okolicznościowy, Marcin Molski, tak się wyraża o tém rozgałęzieniu służby publicznej:

Przeraża strachem urzędników lista,  
 Tu konserwator, tam pan archiwista  
 Szef z podszefem stoi w parze,  
 Za pisarzem, podpisarze.  
 Stół z kałamarzem i piórem,  
 Nie jest stołem, tylko biurem.

Więcej jest w tém dowcipu jak prawdy, bo dla nieprzerwanego biegu służby publicznej, muszą być w pogotowiu zastępcy. Czas i doświadczenie, ów najlepszy cenzor czynów ludzkich, wskazuje coraz to bardziej, jakie czynności administracyjne, trzeba powierzać miejscowym obywatelom, bo własny interes skłania ich do gorliwego wykonania przepisów zwierzchności, jakie zaś zostawać muszą pod wyłącznym kierunkiem centralnej władzy.



W tym przeciągu lat sześciu, których zarys skreśliłem, postradał naród znakomitych mężów. Przeżyli oni lata panowania Stanisława Augusta, następną dolę kraju i doczekali się pierwszej zorzy. Umarł w owym czasie Stanisław Małachowski, były marszałek Sejnu czteroletniego, prezes kommissyi rządowej w 1807 r., a następnie prezes rady ministrów; Ludwik Gutakowski, b. podstoli koronny, członek kommissyi rządowej, prezes rady stanu; Ignacy Potocki i Kołłątaj, dwaj mężowie stanu i znamienici pisarze: Chreptowicz Joachim, niegdyś kanclerz W. księstwa litewskiego, który pierwszy obdarzył wolnością włościan swoich i pierwszy podał myśl utworzenia oddzielnéj kommissyi edukacyjnéj; dwaj ministrowie nowego rządu, Jan Paweł Łuszczewski i Tadeusz Dembowski.

Z liczby uczonych i literatów, umarli: F. Dmochowski tłumacz Iliady, Jan Albertrandy, prezes towarzystwa przyjaciół nauk, Drozdowski, pisarz dramatyczny, Adamczewski tłumacz Gazety Warszawskiéj. Z wojowników naszych, poległ na placu bitwy pod Raszynem, Cyprian

Godebski dowódca pułku ósmego, razem literat i żołnierz, generał Fiszer, szef sztabu księcia Poniatowskiego, Marcei książę Lubomirski; umarł w dobie życia Włodzimierz Potocki, dowódca pułku artylleryi konnej, który własnym kosztem wystawił.

\*

\*

\*

Nie uzupełniłbym tego zarysu, gdybym zamilczał o Towarzystwie przyjaciół nauk. Towarzystwo to składające się z mężów znakomych wówczas w zawodzie naukowym i posłudze kraju, odbywało publiczne posiedzenia swoje dwa razy do roku, a nawet częściej, w razie jakich ważnych wypadków. Tam obchodzono pomysły dla kraju naszego koleje; tam Osiński wznowił pamięć Kopernika; tam Woronicz czytał wyjątki z poematu Lechiada; tam nareszcie oddawano cześć zasługom zgasłych pisarzy, byłych członków Towarzystwa. Lecz nie poprzestało zgromadzenie na mowach i poezyach, jednocześnie zwracało uwagę na

dzieje narodu, na jego zabytki, na ważne kwestye społeczne i gospodarskie. Ogłaszało w tym celu konkursy do rozpraw, przeznaczało nagrody w medalach złotych. Może kiedyś przebiegnę wszystkie roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk, i skreślę obraz jego działalności od 1801 do 1830 r. Rzuciwszy okiem na listę członków tego zgromadzenia i na listę wyższych urzędników w senacie, radzie stanu i w ministeriach ówczesnych, ujrzymy też same nazwiska: Woronicz, Staszyc, Prażmowski, Potocki Stanisław, Mostowski, Wybicki, Matuszewic, Koźmian, Surowiecki, Lipiński, Feliks Łubieński, Jan Paweł Łuszczewski, Linde, Kopczyński, Gliścieński, Szaniawski Józef, Niemcewicz, Plater, ksiądz Szaniawski Ksawery, Bandtkie i wielu innych, stali na czele administracyi, skarbu i oświecenia krajowego, a krótkie chwile wytchnienia poświęcali ojczystej literaturze. I dla tego to, młodzież ówczesna z uszanowaniem spoglądała na nich, jako na ojców narodu. Nikomu wówczas, kto tylko znał ich obywatelstwo i zasługi, nie przyszło na myśl obrzucać szyderstwem ich literackie prace i znajdować

w tém jakąś dziką przyjemność i chlubę, że ludzie zasłużonych i czczonych w narodzie, usiłuje strącać z ich wzniosłego stanowiska, tém bardziej, gdy nie ma innych, którychby na ich miejscu postawić można. Na to, trzeba było późniejszych czasów i dziwnego zwrotu w wyobrażeniach, uczuciach i sądzie.

---

# MOJE WSPOMNIENIA.

## CZEŚĆ DRUGA.

### I.

Marzenia młodości.—Wjazd Najjaśniejszego Cesarza ALEXANDRA I-go do Warszawy.—Pierwsze prace wierszem.—Uniwersytet.—Profesor Feliks Bentkowski.—Ksiądz Ciampi.—L. Osieński.

Po tych wyliczeniach praw, postanowień, narad, posiedzeń rozmaitych władz i zgromadzeń w epoce Księztwa Warszawskiego, przystępuję do moich lat młodocianych, najpiękniejszych w życiu człowieka, kiedy wszystko widzi w błogim świetle nadziei i powodzenia; kiedy chlubiąc się z otrzymanych tryumfów szkolnych, mniema, że cały świat stoi dla niego otworem, że ten, który na publicznym popisie otrzymał książkę w czerwony safianowy papier oprawną,

z wyzłacanemi ozdobami, powinien być od wszystkich powitany, przy wejściu na świat, jako chluba i nadzieja społeczności i kraju. Któż z was, czytelnicy moi, nie roił sobie takich nadziei, takich marzeń, a cóż znalazł w rzeczywistości? Gorzkie zawiedzenia, ciężką pracę uczucie własnej niewiadomości i nicości. Szczęśliwy ten, komu na wstępie w zawód życia podano rękę przyjazną, kto chociaż pozbawiony rady i pomocy ojcowskiej, zachęcony był i wspierany od przyjaciół zmarłego rodzica. Do tych szczęśliwych mogę się policzyć. Jeszcze tkwiła w umysłach współziomków, pamięć ojca mego. Jeszcze wiedziano, że był współpracownikiem Ignacego Potockiego i Kołłątaja w zawodzie publicznym, że przez kilka lat pobytu za granicą, wydał w języku francuzkim pisma, które dały poznać cudzoziemcom ostatnie dzieje i stanowisko kraju naszego; że powróciwszy do Warszawy, zbogacił piśmiennictwo nasze tłumaczeniem Homera, Wirgiliusza, Horacego, Miltona i Junga; że pięcioletniem wydawaniem pamiętnika, utrzymał i rozpowszechnił w kraju zamiłowanie w czytaniu książek ojczystych;



że nareszcie, jako jeden z założycieli Towarzystwa przyjaciół nauk, stworzył naukowe ognisko dla wszystkich rozproszonych i rozdzielonych dzieci jednójże matki. O tém wszystkiém wiedziano i pamiętano wówczas; a ta dawna życzliwość, była dla mnie droższą i pożyteczniejszą puścizną, nad szczątki własności gruntowej, zniszczonej w czasach wojennych.

Pod piękną wróżbą rozpoczynała się młodość moja i moich rówienników. Najjaśniejszy Cesarz ALEXANDER I, okazywał dla narodu naszego, co raz to większe dowody życzliwości i łaski. Wracali jeńcy wojenni z wyprawy 1812 roku. Garstka, która aż do upadku Napoleona dotrwała przy nim, najdobrotliwiej przyjęta przez Monarchę, wróciła do Warszawy, a za nią przybyły zwłoki jój wodza, księcia Józefa Poniatowskiego. W 1815 r. w dniu 9 maja, zawiadomił Monarcha własnoręcznym listem Tomasz hr. Ostrowskiego, wojewodę prezesa Senatu, że byt naszego kraju jest ustalonym i Królestwo Polskie przywrócone; na Jego rozkaz zaczęła się reorganizacya wojska, a ogłoszona ustawa rządowa i wkrótce po niej wydane

statuta organiczne, nadały nową formę rządowi naszemu, dość podobną do téj, jaka była za Księstwa Warszawskiego, ale daleko swobodniejszą i bardziej sprzyjającą postępowi i rozwijaniu się oświaty, przemysłu i rolnictwa. Czterdzieści i dwa lat upłynęło od czasu jak Najjaśniejszy Cesarz ALEXANDER I wjechał po raz pierwszy do Warszawy, po ukończeniu powtórnej wojny przeciw Napoleonowi, zakończonej, jak wiadomo, przywróceniem Ludwika XVIII na tron francuzki, a upadkiem sławnego wojownika i wywiezieniem go na wyspę ś-tęj Heleny.

Obraz wjazdu Najjaśniejszego Cesarza i Króla, żywo w pamięci mojej dochowany, tak skreśliły ówczesne gazety nasze:

„Niecierpliwie oczekiwania narodu naszego, spełniły się nakoniec w pamiętnym dla Polaków dniu 12 listopada. Najjaśniejszy Pan, przybywszy do Mokotowa o godzinie 11-téj z rana, po przebraniu się tam, wsiadł na konia, a mając obok siebie J. C. M. W. Księcia Konstantego, otoczony wodzami wojsk obojga narodów, ulicą Ujazdowską zbliżył się do bramy tryum-

falnej, na wstępie miasta dla Niego wystawionej. Komuż bowiem te pyszne oznaki potęgi należą się słuszniej, jeżeli nie zwycięzcy, pokojo-dawcy Europy, nowemu założycielowi Królestwa Polskiego? Oczekiwały w tém miejscu na Monarchę, rada municypalna, wszystkie władze départementowe, sądownicze i administracyjne; dalej stały cechy z rozwiniętymi chorągwiami, przy nich starsi Izraelici. Powitał w tém miejscu Najjaśniejszego Pana, prezydent miasta i oddał Mu klucze. Dzwony wszystkich kościołów stolicy słyszeć się dały. Zaczawszy od Nowego Świata aż do dziedzińca Saskiego, stały po obu stronach uszykowane wojska, powiewały orły białe nad pułkami polskimi. Zajęte ulice ludem, domy ozdobione makatami, wieńcami laurów i kwiatów otwarte okna napełnione tłumem nadobnej płci żeńskiej, sprawiały wejrzenie wspaniałe i tkliwe. Widok Monarchy najpiękniejszej postaci, ubiór Jego wojsk polskich, ozdoba orła białego, nade wszystko myśl, że ten to jest ALEXANDER, któremuśmy winni imię i ojczyznę naszą, podniosły serca Polaków do najtkliwszych uczuć. Napełniały powietrze

okrzyki żywój radości i wdzięczności. Wśród tych okrzyków, udał się Najjaśniejszy Pan na dziedziniec Saski, gdzie wojsko Rossyjskie i Polskie w paradzie przechodziło przed Nim, Monarcha raczył oświadczyć zadowolenie swoje najwyższemu ich wodzowi i pułkom, a nadto, ostatnie obdarzył hojnie. Około godziny wpół do pierwszej, w tymże samym orszaku udał się N. Pan przez Krakowskie-Przedmieście do zamku; miejsce to umyślnie zostawione wolne od wojska, tłumniej jeszcze napełnione było od ludu. Tu Król zastał zebranie wszystkich stanów; wielu sędziwych kapłanów wznoszących ręce swe do Nieba i błogosławiących Mu; korpus weteranów, którzy zapomnieli kalcetwa i blizn swoich, patrząc, że mają Króla własnego; młódź płci obojga uczącą się w szkołach, tém żywiej poddającą się radości, im dłużej ma nadzieję zostawania pod berłem tak dobrego Monarchy; nakoniec, grono opuszczonych sierot, równie jak kraj cały, patrzących na ojca swojego. Zewsząd radosne wznosiły się do Nieba życzenia: „*Niech żyje Król nasz Alexander I.*“ Przy wschodach powitany był

Najjaśniejszy Pan od władz rządowych; po mszy ś-tój i odśpiewaniu przy huku dział *Te Deum*, dał N. Pan posłuchanie wodzom i rycerstwu; po czém w gabinecie swoim przyjął J. W. wojewodę Ostrowskiego, prezesa senatu i senatora. J. W. wojewoda powitał Monarchę w imienieniu mieszkańców Królestwa Polskiego, na co N. Pan w pochlebnych i najłaskawszych dla narodu naszego wyrazach, odpowiedzieć raczył.

„Wieczorem dane było bezpłatne widowisko w teatrze narodowym; gmachy publiczne i miasto całe, jak najwspaniałej były oświecone.

„Wychodzący z tak długich klęsk kraj naszej stolica, nie mogły okazać w tém uroczystém przyjęciu Monarchy swego, téj wspaniałości i pompy, z którą go inne zamożne przyjmowały stolice; my okazaliśmy to, w co jesteśmy bogaci: wdzięczność i najszczerwsze uczucia.

„Najjaśniejszy Pan do późna w nocy pracował w gabinecie swoim.

„Tak się zakończył dzień ten, na zawsze w dziejach naszych pamiętny; stał się on nowym kamieniem węgielnym, na którym budo-

wa ojczysta już trwale spoczywać będzie. Długo Polak w bojach tylko i zwycięzcach pokładał jedyne nadzieje swoje; pokazały mu nieba w panującym ALEXANDRZE, że do powrócenia mu istności trwałej, potrzeba było zwycięstw i cnoty. Pierwsze odzyskują i bronią państwa, drugie nadają narodowi pomyślność i niewzruszoną trwałość."

\*

\*

\*

Prawie każdy uczeń dorastający, gdy mu w wyższych szkołach dadzą poznać skarby starożytnych i teraźniejszych poetów, zaczyna pisać wiersze i zdaje mu się że jest poetą. Jakże to łatwa a razem niebezpieczna droga, odwołująca od gruntownych nauk, od pożytecznej pracy, lecz zarazem jak pochlebna próżności i miłości własnej młodzieńca! Od lat dziecinnych, karmiony, że tak powiem, wierszami i do ich pamiętania szczególną łatwością obdarzony, zabrałem się do pisania wierszy, gdy jeszcze był uczniem klasy piątej. Nie miałem dosyć śmiałości do oryginalnych utworów i ograni-



czyłem się na skromnym zawodzie tłumacza. Przekład kilku pieśni Horacyusza, był pierwszym owocem tak zwanéj muzy mojej. Po tém nastąpiły rozmaite wyjątki z dramatycznych autorów fruncuzkich. Ośmieliwszy się wreszcie, napisałem początek poematu *oryginalnego*, o Władysławie Jagielle. Wszystkie te *dzieła poetyczne*, w trzy lata potém, podarłem na kawałki i wymierzyłem im zasłużoną sprawiedliwość.

W jesieni 1817 roku wszedłem do uniwersytetu, który z woli Najjaśniejszego Cesarza ALEXANDRA ostatecznie uzupełniony i urządzony został. Wiemy bowiem, że już od epoki księstwa Warszawskiego istniała szkoła lekarska, szkoła prawa i administracyi: były to dwa wydziały, akademickie do których przydano wydziały : teologiczny, filozoficzny, oraz oddział sztuk pięknych. Rektorem uuiwersytetu wybrany został i zatwierdzony przez najwyższą władzę, ksiądz Szwejkowski, zasłużony od lat dawnych w zawodzie nauczycielskim. Nie wszystkie katedry były od razu obsadzone. W roku drugim bytu tego najwyższego zakładu naukowego, Ludwik Osiński objął katedrę litera-

tury ogólnej, a już po mojem wyjściu z uniwersytetu, w roku 1822, Kazimierz Brodziński został professorem literatury polskiej. Najliczniejszym był wydział prawa i administracyi; kursa w nim wykładane najwięcej wzbudzały zająć. Kiedy uczony Jan-Wincenty Bandtkie, przytłumionym i słabym ale wyraźnym głosem, wykladał nam prawo polskie, a wykazując jego źródła, z stanu narodu, z jego wyobrażeń i potrzeb, z jego przeszłości wynikające, dotykał żywotnych kwestyi dziejów naszych i odsłaniał przed umysłem młodzieży, tę wielką prawdę, że nie same opisy klęsk lub tryumfów wojennych stanowią historią narodu, lecz stan jego prawodawstwa, obyczajów, oświaty, daleko więcej znaczy w zdaniu historyka-filozofa, to najgłębsza cisza panowała w gronie przeszło stu dwudziestu słuchaczy i słyszeć tylko było lekki szmer piór biegających po papierze. Wszyscy bowiem uczniowie notowali za professorem treść jego prelekcyi. Byli nawet tacy, którzy tak szybko pisali, że zdążyć mogli za mówiącym i dosłownie wszystko zapisać. Takie zapiski, niezbędnie były potrzebne do

zdawania egzaminu. Codziennie słuchaliśmy przynajmniej czterech kursów, jako to: prawa polskiego, prawa rzymskiego, kodeksu cywilnego, kodeksu postępowania, nauki administracyjnej i kursu historyi. Uczniowie zapisani na prawo i administracyą, obowiązani także byli słuchać kursu chemii, fizyki i nauk przyrodzonych. Przechodząc zatem z kursu na kurs i słuchając wykładu tak różnorodnych przedmiotów, czyliby można było zatrzymać je w pamięci i porządną całość z nich ułożyć, gdyby nie było zapisków? Gdy się zbliżał czas egzaminów w porze letniej, zbieraliśmy się po kilku lub więcej, przynosiliśmy nasze zapiski, uzupełniali je jednymi drugimi, czytali je razem i tym sposobem gotowaliśmy się do odpowiedzi na pytania, jakie nam professorowie zadawać mogą. Oprócz tego, w ciągu wykładu swego, każdy z professorów wymieniał dzieła znakomych uczonych o tym samym przedmiocie traktujące i do nich po objaśnienie odsyłał. Biblioteka uniwersytecka codziennie przez kilka godzin stała otworem, a pilniejsi uczniowie nie omieszkali z niej korzystać.

Najliczniej uczęszczano na kurs historyi powszechnéj, professora Feliksa Bentkowskiego. Obowiązującym on był dla uczniów niemal wszystkich wydziałów. Obszernie wykladał professor, tak zwaną propedcutykę historyczną, obejmującą zarys nauk niezbędnie historykowi potrzebnych, jako to chronologią, numizmatykę, wiadomości o najdawniejszych dyplomatach i zabytkach piśmiennych, heraldykę i t. d. Potém dawał ogólne wyobrażenie dziejów starożytych i nowożytnych i wskazywał cechy głównych epok w historyi. Przeważającą w jego wykładzie była ta myśl, że w każdym wypadku dziejowym, widzimy działanie Przedwiecznego, który całą ludzkość do coraz wyższego postępu prowadzi, a klęski i wstrząśnienia zdarzające się w biegu wypadków, są jak przelotne burze, po których ziemia, nowéj żyzności, nowego życia nabiera.

Professor Feliks Bentkowski, nie zbyt dawno umarł na attak cholery, w 1852 r. dożywszy sędziwego wieku. Posiadał w 71 roku życia wszystkie siły umysłu i ciała. Aż do chwili zgonu, pełnił obowiązki naczelnika głównego

archiwum krajowego. Zaledwie życia dokonał jeszcze jego małżonka śmiertelnie uderzona niespodzianą stratą, dogorywała na łożu boleści, a już w Gazecie Warszawskiej ogłoszono zyciorys zmarłego. Gdyby ten artykuł był tylko pierwszym hołdem oddanym pamięci zasłużonego profesora i literata, wynurzeniem żalu przyjaciela, to byłby właściwym i stosownym. Lecz jego autor chciał być zarazem sędzią pism, zdolności, a nawet i charakteru Bentkowskiego, a niechętnie jego pióro usiłowało wystawić go w dość niekorzystném świetle. Któż nie uczuje, jak nietrafném, jak nieludzkim było takie postępowanie? Ktokolwiek odznaczył się w jakim-bądź zawodzie, ulega sądowi potomności; ale przecież sąd ten wydawany bywa po pewnym przeciągu czasu, kiedy już oschną łzy rodziny, kiedy ukoji się jój żal pogrobowy. Tu inaczej się stało. Rodzina Bentkowskiego przeczytała przy łożu konającej matki, artykuł usiłujący wykazać, że jój ojciec w długoletnim swoim naukowym i nauczycielskim zawodzie, nie powodował się myślą publicznego dobra, lecz tylko widokiem osobistój rachuby i korzyści.

Biograf Bentkowskiego, nie umiał ocenić tego człowieka, może nawet osobistość i stronność powodowała jego sądem. Ja, który od 1817 do 1821 r. byłem jego uczniem, a potem miałem z nim stosunki zażyłej znajomości przez lat trzydzieści, szczerze powiedzieć mogę, że profesor Feliks Bentkowski, posiadał ważny i szacowny przymiot, jakiego właśnie nie dostaje bardzo wielu osobom; posiadał bowiem uczucie powinności, jakie sam na siebie przyjął, lub jakie na niego nałożone zostały. Jakiegokolwiek czynności podjął się, usiłował wykonać ją dokładnie i sumiennie i dla tego to, w długim zawodzie swoim, był użytecznym i powszechnie poważanym. W jego akademickich kursach, nie było polysku i polotów genialnych, ale była systematyczność, porządek, korzystanie z najlepszych historyków dawnych i nowoczesnych, a tém samém był rzeczywisty pożytek dla uczniów. Toż samo powiedzieć należy o jego redakcyi pamiętnika Warszawskiego i o spisie bibliograficznym dzieł polskich. W rozmaitych posługach obywatelskich, czy jako sędzia poko-



ju, czy jako opiekun, albo członek rady rodzinnej, gorliwie chodził około dobra małoletnich, lub interesantów swoich i zadosyć uczynił zaufaniu w nim położonemu. W rodzinném życiu, nikt mu zarzucić nie zdoła najmniejszego usterku lub skazy. Dał wzorowe wychowanie licznej rodzinie, w wydatkach zachował ścisłą oszczędność i rachubę, obok przyzwoitego utrzymania domu, i tak powoli, przez lat czterdzieści, zebrał, prawie grosz po groszu, pomierne majątek, którego podstawą był posag żony. Takie to postępowanie, nazywa jego biograf chęcią zysku i ubieganiem się za materyalnemi korzyściami. Uwielbiamy poloty geniuszu, dziwimy się śmiałym, chociaż częstokroć bezowocnym zapędom, lecz dla dobra ogółu, dla dobra społeczności, chcielibyśmy jak najwięcej mieć ludzi, tak praktycznym rozsądkiem, taką prawością zalecających się, jak był professor Feliks Bentkowski.

Do nauk filozoficznych sprowadzono z zagranicy dwóch professorów: Zinserlinga Niemca i księdza Ciampi Włocha. Przyznawano Zinser-

lingowi głęboką znajomość starożytności rzymskich i greckich, ale wykład jego był taki przerywany, twardy, niemiły, tak nie umiał wzbudzić zajęcia w słuchaczach, iż ci tylko uczęszczali na jego kursa, którzy musieli. Oprócz tego, nie raz odzywał się temi słowy: — „Byłoby jeszcze wiele do powiedzenia w tym przedmiocie, ale ja o tyle mówię i uczę, ile mi płacą.” Oburzający był to cynizm w profesorze, który podał swoje warunki, a po ich przyjęciu przez Kommissyą Oświecenia, przybył do naszego kraju.

Ksiądz Ciampi był gładszym w obejściu swoim, ale dosyć powierzchowny. Jego wykładaniu towarzyszyły miny i gesta Włochom tylko właściwe. Pewnego razu, wykladał Wirgiljusza i doszedłszy do tego miejsca, gdzie rozhukane wichry rozniosły flotę Eneasza, przytoczył te dwa wiersze:

Interea magna misseri murmure positum,  
 . . . . . sensit Neptunus . . . .

Nagle schował się w katedrę tak, że go widać nie było, a wymawiając słowa poety o Ne-

ptunie, który z głębi Oceanu wychylił głowę i spojrzał na zamęt po wodach rozpostarty: *Caput extulit unda*, i nasz starożytnik wychylił głowę z katedry, chcąc nam dać uderzające wyobrażenie piękności tego wiersza Wirgiliusza. Niezmiernie zdziwił się i obraził ksiądz Ciampi, gdy słuchacze, powszechnym śmiechem odpowiedzieli na tę mimikę. W ogólności, nie było w kursie księdza Ciampi wyższego poglądu na przedmiot; zwyczajem wszystkich filologów, więcej przywiązywał się do słów, niżeli do gruntu rzeczy.

Zajmujące były kursa, professora nauk administracyjnych i finansów, Dominika Krysińskiego. Angielski ekonomista Szmidt i francuzki Say, byli główném źródłem jego wykładu. Dowcipne i często docinkowe uwagi nad administracją, podobały się młodym słuchaczom.

Professorowie Engelke i ksiądz Ksawery Szaniawski, wykładali kodeks cywilny i kodeks postępowania. Ksiądz Szaniawski nie tyle miał żywości i ogólnego poglądu, lecz nie mniej był użytecznym. Wykład swój opierał na *Powodach*

do kodeksu francuzkiego, ogłoszonych drukiem w Paryżu. Są to najcelniejsze rozprawy nad kodeksem, gdy jeszcze był dopiero projektem, roztrząsanym w radzie stanu państwa francuzkiego, w trybunacie i w izbach prawodawczych. Ich czytanie rzuca bardzo wielkie światło na ducha każdego artykułu prawa.

Najświetniejszym w pierwszych latach uniwersytetu warszawskiego, był kurs literatury powszechnój, przez Ludwika Osińskiego czytany. Uczęszczała nań, nie tylko młodzież z wydziału nauk pięknych, dla których ten wykład był obowiązkowym, lecz i młodzież z wszystkich wydziałów, uczniowie z klass wyższych i mnóstwo słuchaczy różnego wieku i stanu. Płeć piękna ozdabiała te kursa obecnością swoją. Odbywały się raz w tydzień, w sobotę, od godziny czwartej do piątej po południu. Zwykłą rzeczą ludzkich koleją, Osińskiego kurs literatury, jak z początku był wynoszony pod niebiosy, tak teraz za nadto potępiany i lekceważony, a głównie przez tych, którzy go ani słyszeli, ani czytali.

1

Jeżeli w nauczaniu młodzieży, ten główny ce

na uwadze mieć trzeba, żeby umysłem, bezustanku rozrywany najróżnorodniejszymi przedmiotami, słuchającym w jednym dniu i chemii i nauki finansów i prawa rzymskiego i historyi powszechnej i wykładu starożytności rzymskiej i kursu botaniki lub zoologii, dać ogólne zarysy nauki, wskazać źródła samodzielnego kształcenia się w dojrzałym wieku i obudzić w nich zajęcie i zamiłowanie wykładanego przedmiotu: to zaiste nikt z profesorów lepiej nie dosięgnął tego celu, jak Osiński. Deklamacya miła i dźwięczna, jakiej dotąd w czytaniu nikt nie dorównał, styl jasny, potoczny, trafność w wykazaniu piękności autora, albo téż jego usterków, wszystko to wzbudzało zajęcie; a nieraz, gdy mówił o Iliadzie, Enejdzie, o Raju utraconym, o Jerozolimie Wyzwolonój, gdy kreślił zarys tych poematów i znamienite wyjątki przytaczał w przekładzie polskim, gdy wykazywał piękności znajdujące się w celujących trajedyach Kornela, Rassyna i Woltera, wymowny głos jego wzbudzał powszechne współczucie i uniesienie;— a kto zdoła wzruszyć i przeniknąć massy słuchaczów, te-

go talentu i pracy, żaden rozsądny człowiek lekce ważyć nie może.

Rozmaicie zapatrywano się na literaturę. Pierwszy pogląd i bardzo naturalny, był taki, że po wydobyciu z przepaści zapomnienia, arcydzieł klassycznych Grecyi i Rzymu, rzucono się do ich naśladowania i oceniano wartość nowych utworów, porównywając je z tém, co uważano za najwyższy typ doskonałości ludzkiej. Taki pogląd długo przeważał. Podług niego, La Harpe napisał kurs literatury; téj saméj drogi trzymał się Osiński. W jego kursach, czyli w rozprawach o poezyi bohaterskiej, dramatycznej, lirycznej, o bajkach i satyrach, o wymowie i stylu, znajdujemy zdrowe i trafne przepisy smaku; lecz bardzo mało zwraca uwagi na wpływ, jaki na piszących i na ich dzieła wywarły dzieje, stan cywilizacyi i charakter narodu. I dla tego to, właściwie Osiński nazywał kurs swój: *Porównawczym wykładem literatury*. Widzimy zatém, że tylko skreślił jedną stronę obrazu. Może téż, względy nie zależne od niego, wstrzymały go od zapuszczania się w sferę dziejów i stanu politycznego naro-



dów, nad których literaturą czynił uwagi. Słuchałem kursów Osińskiego, czytałem pozostałe po nim rękopisma i mam to nieuprzedzone przekonanie, że mimo niedokładności stanowiska, z którego Osiński zapatrywał się na przedmioty, kursa jego są pięknym pomnikiem ówczesnej literatury; że daleko są wyższe od wykładu La Harpa, którego niewolniczym naśladowcą nie był: o czém terazniejsi krytycy głośno twierdzą; że mogą być zbawiennym wzorem czystości i harmonii języka naszego, który pod piórem terazniejszych naśladowców niemczyzny, tak się wyradza, iż trzecie pokolenie może już nie będzie rozumiało pisarzy z końca XVIII-go i z pierwszych lat XIX-go wieku.

---

## II.

Pustoty akademickie. — Walka z niedostatkiem. — Lista uczniów. — Wiersze za kratą. — Gospoda.

Pierwsze dwa lata po utworzeniu uniwersytetu, przeszły cicho. Uczniowie z różnych szkół wojewódzkich przybyli, nie znali się z sobą i nie zabrali bliższej zażyłości. Każdy, po wysłuchaniu obowiązkowych godzin, wracał do siebie i przestawał na towarzystwie dwóch lub trzech dawnych kolegów szkolnych. Twardy był zawód uniwersytecki dla większej części uczniów. Obierali go dla zapewnienia sobie przyszłości, a nadzieja otrzymania za czasem posady w sądownictwie, administracyi, medycynie lub nauczycielstwie, dodawała im siły. Synowie niezamożnych, a nawet i zupełnie ubogich rodziców, dzielić musieli czas swój na na-

ukę i pracę dla utrzymania życia, dopóki po skończeniu kursów i po odbytej aplikacyi, nie uzyskali jakiej posady rządowej. Jedni dawali lekcyę na godziny: Boże zmiłuj się, za jaką zapłatę! Drudzy byli korrepetytorami w domach prywatnych; inni pracowali jako dependenci i kopiści przy obrońcach sądowych, rejentach lub komornikach; a tymczasem rok przechodził za rokiem i kończył się mozolny czas, owego że tak powiem, nowicyatu naukowego. Iluż to zasłużonych i znakomitych w kraju urzędników, we wszelkich gałęziach służby publicznej, tę drogę pracy i niedostatku przebyło!

Młodość, nadzieja, czerstwe zdrowie, wesołość, uprzyjemniały im te chwile, i nie jedna psota, nie jeden figiel akademicki, przyjdzie na myśl dziś już osiwiiałym sędziom, radzcom, nauczelnikom, lub obywatelom, gdy sobie przypomną młodzieńcze lata swoje. Namienię o niektórych.

Na najwyższém piętrze kamienicy Starego Miasta, czterech uczniów uniwersytetu, zajmowało pokoik o dwóch oknach, wychodzących na rynek. Sami sobie byli panami, sami słuğa-

ni. Lokal nie kosztował drożej nad dziesięć dukatów rocznie, co obliczając na tygodnie, wychodziło po półczwarta złotego na tydzień. Ponieważ płacili tygodniowo, gospodarz podniósł im cenę do czterech złotych; każdy zatem co tydzień musiał z ubogich swoich swoich dochodów odłożyć złoty na komorne. Obiad i wieczerza, bywały lepsze, albo gorsze, stosownie do stanu kassy.

Pewnego rana w niedzielę, gdy nasi przyszli sędziowie, radzcy, mecenasi, nie potrzebowali zaraz od świtu wybiegać za robotą, która im dostarczała sposobu do życia, posłyszeli przez otwarte okno, wołanie żydka handlującego staryzną.

— Handel! handel! wołał żyd.

— Pójdź tu, — krzyknął jeden z akademików, wychyliwszy głowę na ulicę. Żyd przyszedł, trzymając pod pachą buty, kamizelkę, surdut i t. d.

— Co tam nosisz? rzekł jeden z nich i wmgnieniu oka już każdy trzymał w ręku i oglądał jakieś ubranie.

— Żydzie, przynieś nam wody, zawołał pan Ignacy M....

— Nu, za co ja mam przynosiwać wodę? Dla czego mam przynosiwać? a co mi z tego przyjdzie?

— Przynieś ośle i nie sprzeczasz się, odezwał się pan Antoni C....

— Albo ja to jestem waspanów sługą? zawołał żyd jeszcze zuchwalszym tonem. Chcecie waspanowie kupić, to kupcie; a nie, to sobie pójdę. Czego mam czas tracić?

— Uważaj, rzekł Władysław Z..., mrugając na swego kolegę; te suknie są bardzo podobne do tych, które skradziono naszemu koledze.

— Kubek w kubek, odpowiedział kolega.

— Ale patrz bracie, te buty mają cechę tego samego majstra, od którego zawsze bierze nasz kolega, co go to skradziono do nitki. Trzeba będzie tę rzecz wyświecić.

Młodzi pustacy trafili nie źle, strzelając na wiatr.

Żydek zmieszał się i załękł. Widać że nabył

te rzeczy nie bardzo prawym i bezpiecznym sposobem, gdyż odpowiedział pokorniej.

— Co téż to za żarty trzymają się wielmożnych panów! Ja kupiłem te suknie od bardzo pewnego i porządnego jegomości.

— Co nam w to wchodzić. Żydzie! weź konewkę i przynieś wody.

— Nu, to ja już wody przyniosę, tylko niech wielmożni panowie nie robią niepotrzebnego głupstwa.

Gdy przyniósł wody, kazano mu przynieść drzewa, napalić w piecu, wychędożyć buty i suknie. Wszystko to nie obyło się bez sprzeczek i targów ze strony żyda, a pogróżek ze strony akademików.

Nareszcie dali mu pieniędzy na bochenek chleba i na pięć kieliszków prostej wódki: takie było zwyczajne śniadanie téj młodzieży. Jako rękojmia, towar tandetowy pozostał w ich ręku.

Wytrzymawszy go w ten sposób dłużej jak godzinę, poczęstowali nareszcie kieliszkiem wódki i kawałkiem chleba, oddali rzeczy i pozwolili odejść.



W miesiąc, lub później trochę, znowu usłyszawszy wołanie: handel! handel! chcieli tancerza dostać do siebie na taką samą posługę, lecz zawiedli się w rachubie, bo to był ten sam żydek.

Stał przed kamienicą, a zadarłszy głowę do góry, zawołał na nich:

— Ny! co mi za handel! To ja mam pójść do wasanów na czwarte piętro, wodę nosić, w piecu palić, buty chędożyć, suknie czyścić, a to wszystko za kawałek suchego chleba i kieliszek wódki. Aj waj! aj waj! tam nikt nie pójdzie, ani ja, ani żaden tancerz.

Wieczorami zbierali się w jakim kącie na dubeltowe piwo, bo nie jeden, choćby pragnął użyć wyższej rozrywki, to fundusze i biedna garderoba na to nie pozwalały.

A przecież, ile pamięcią zasięgnąć mogę, żaden z tych uczniów uniwersytetu, którzy tak twardą szkołę pracy i biedy przebyli, nie zniechęcił się, nie opuścił rąk, wszyscy wyszli na ludzi prawych, światłych, użytecznych krajowi.

Nie jedna taka psota wylęła się w głowie młodzieży i tak np. gdy jeden z profesorów zastępców (już oddawna nie żyjący) postrzegł, że na jego kurs, chociaż obowiązkowy, bardzo mało słuchaczów uczęszcza, polecił jednemu z uczniów, żeby mu ułożył listę swoich kolegów. Przyczyną nieuczęszczania było to, że profesor, nie mówił z pamięci, lecz czytał swoją prelekcję, a mając wzrok bardzo słaby, przeskakiwał z kommatu do kommatu, z perjodu do perjodu tak, że go niemożna było zrozumieć. Uczeń przyniósł żadaną listę, a profesor, przed zaczęciem wykładu, zaczął ją czytać, dla sprawdzenia obecnych i nieobecnych.

Pan Baranowski czy jest? Jest, odpowiedziano. Pan Kozłowski? nie ma. Pan Wołowski? jest. Tu już głośny śmiech przerwał czytanie. Po Wołowskim nastąpił Cielecki, Owczarski; dalej Wilczyński, Lisiecki, Niedźwiedzki, Zajączkowski, Królikowski, Szczurowski, Myszkowski, zgolała cała klasa czworonogów. Po nich szli: Ptaszyńscy, Gąsiorowscy, Kaczorowscy, Wróblewscy, Czyżewscy, Karasińscy, Linowscy, Okońscy, Żabicy i tak dalej, aż nareszcie



skończyło się na Robakiewiczu i Gliszczyńskim, Lista ułożona była podług systematu Linneusza. Professor doniósł rektorowi o tym postępkach ucznia, który za tę nierozważną pustotę otrzymał ostrą nagane i karę czterogodzinnego aresztu.

Drugi znowu, wiersze kolegi do jakiegś pięknej ukochanej Leoni, wsadził za kratę, gdzie były ogłaszane postanowienia Kommissyi Oświecenia i Rady uniwersytetu. Mnóstwo uczniów zebrało się dla czytania arcydzieła poetycznego, które zaczynało się od słów:

„Droga Leoniu, duszo mojej duszy,  
Niech cię kochanka ciężki smutek wzruszy. . .

a na końcu było podpisane imię i nazwisko autora. Pedel, czyli burgrabia uniwersytetu, wpadł do rektora, donosząc mu o zbiegowisku uczniów i o jakichś wierszach, które powszechny śmiech wzbudzają i muszą być bardzo drażliwe. Rektor, z dziekanem wydziału i sekretarzem, przystrojeni w togi i berety, w te znamiona dostojności akademickiej, przybyli na miejsce i przeczytali z podziwieniem nie małym



miłosne pienia ucznia wydziału prawa i administracyi. Usłyszał naganę, najprzód poeta, jakim prawem wiersze swoje tam umieszcza, gdzie są ogłaszane rozporządzenia rządowe, a następnie sprawca téj psoty, który chciał tym sposobem rozgłosić poetyczną chwałę swego kolegi.

W końcu 1818 r. wszedł do uniwersytetu Adam Zamojski, syn zamożnego obywatela z Galicyi. Był on poprzednio w jednym z uniwersytetów Niemiec północnych, nie pamiętam w którym. Za pozwoleniem zwierzchności uniwersyteckiej, założył między uczniami wydziału prawa i administracyi towarzystwo naukowe, którego celem było czytanie dzieł pożytecznych w naszym i obcym języku, pism peryodycznych i zdawanie sprawy z ich treści na posiedzeniu co tydzień odbywajacém się, oraz czytanie rozpraw i uwag, napisanych przez członków towarzystwa. W parę miesięcy potem wezwano do tego grona kilku uczniów z wydziału filozoficznego i teologii. Posiedzenia odbywały się porządnie i nie bez wpływu na rozwinięcie umysłu i wprawę w styl, aż do końca maja 1819 roku.

Rada uniwersytecka pozwoliła jednój z sal i rektor, albo który z dziekanów, bywał obecnym na sessjach.

W czerwcu 1819 r, wniósł Adam Zamojski, żeby na wzór niemieckich uniwersytetów, zrobić ogólne połączenie uczniów, którego celem będzie kształcenie się w naukach, jak w towarzystwie już istnjącém, oraz wsparcie uboższych, mianowicie chorobą dotkniętych i obmyślenie takiego miejsca, gdzieby młodzież uniwersytecka, nie potrzebując uczęszczać do publicznych kawiarni, a tem bardziej do piwiarni, znalazła przyzwoitą rozrywkę i mogła tam czytywać pisma perjodyczne, krajowe i obce. Młode umysły skwapliwie uchwyciły się tego wniosku. Zaczęto organizować owe zebranie, sprzeczać się obok tego rozprawiać i hałasować. W kilka dni potem wyszło postanowienie komisji edukacyjnej, zabraniające takich zebrań, jako odwodzących od zajmowania się naukami i będących powodem niespokojności i dysput. Wkrótce Adam Zamojski wyjechał do Galicyi. W następnym roku akademickim, 1819 na 1820, urządzono ze składek, po dwa złote na

miesiąc, gospodę w domu Faliniego, przy ulicy Koziój, gdzie dziś jest hotel Saski. Tam były trzy pokoje średniej wielkości, w nich zbierała się sama tylko młodzież uniwersytecka, miała własne gazety, szachy i herbatę. Fajki, karty, piwo i billard, były surowo wyłączone. Uczęszczało tam od trzydziestu do czterdziestu uczniów, mogących i chcących składkę opłacać. Gospoda ta ustała w maju 1820 r. i odtąd żadne stowarzyszenie lub zbieranie się, podobne do tych jakie są w uniwersytetach niemieckich, nie istniało.

---



### III.

Tygodnik polski.—Bruno Kiciński.—Józef Brykczyński.—Kazimierz Brodziński.—Starsi pisarze.—Antoni Gorecki.—Nowy Parnas.—Stanisław Regulski.

W pierwszym roku moich kursów uniwersyteckich, wzmogła się we mnie chętka do pisania wierszy i przez nią opuściłem nie jedną godzinę obowiązkowych prelekcyi. W owym czasie, wszyscy wierszopisowie byli tłómaczami, a w oczach powszechnego sądu, prawie równali się oryginalnym autorom; tak jest zawsze, gdy wyżej stojące literatury obce, panują nad krajową. Cześć tym, którzy pierwsi zerwą pęta naśladownictwa i tłómaczenia. Wpadły mi do ręki dwa poemaciki Leguwego: *Wspomnienie* i *Melancholia*. Naśladowałem pierwsze, a przetłómaczyłem drugie. Mała jest bardzo wartość tych dwóch dydaktycznych utworów; jednakże

widać w nich pewien odstęp od czczości i oschłości, w którą wpadła francuzka literatura, w drugiej połowie ośmnastego wieku. Autor znać musiał, chociażby w tłómaczeniu, płody znakomitych poetów Anglii i Niemiec. Pracowałem usilnie nad poprawą i ogładałem tych moich tłómaczeń i nareszcie dałem je do Tygodnika Polskiego, który wychodził wówczas pod redakcją Brunona Kicińskiego.

Kiedy dziś, po trzydziestu i ośmiu latach, odczytuję tę pierwszą pracę moją, oceniam jej nieudolność, a mianowicie ton deklamacyjny i brak myśli żywotnej, który nie tłómacza lecz autora jest winą, a który tak nisko stawia w sądzie naszym, twory Delila i jego naśladowców. Jednakże, zdaje mi się dziś jeszcze, że są tam miejsca i obrazy zasługujące na uwagę, a które zyskały mi życzliwość ówczesnych czytelników. I tak naprzykład, o wspomnieniach dawnego Rzymu, tak się wyraża autor w moim przekładzie:

Tu Rzym, gdy żądzą władzy, żądzą zwycięstw płonął,  
Zapraгнаł włoskich krain i w siebie je schłonał,  
Lecz wprzód, cztery wieki wiódł bój nieustanny.  
Jezioro Trazymenu, Trebii i Kanny,

Cóż mi przypominają?—Mordercze tam klęski,  
 Od Annibala poniósł Rzym dotąd zwycięzki.  
 Tam, Cyncynnaty mieniać oręż na pługi  
 Szlachetnie dopełniwszy krajowej posługi,  
 Mając blizny na piersiach, a wieniec na czole,  
 Wracali orać skromne ojców swoich pole,  
 I z niego znówu biegli do wojennej pracy....  
 Stał niegdyś pośród Rzymu, na szczycie tej skały,  
 I w niebo dachy wznosił, Kapitol zuchwały;  
 Na nim to, rozszerzając władzy swojej brzemię,  
 Rzym zwycięzki, wprzągł w jarzmo przełęczoną ziemię.

Wspomnienia chwały Francyi, zastąpiłem oj-  
 czystemi.

Młodzian, szanownych ojców nie odrodne plemię,  
 Co wprzód własną niż obce pragnie poznać ziemię,  
 Niech ujrzy, zagłębiony w ukraińskie stopy,  
 Krwią ojców zardzewiałe pohańców oszczepy;  
 Widząc zaś ludów obcych przepych i wspaniałość,  
 Serce jego ogarnie tęsknota i żałość.  
 Nie polskie go powietrze otacza do koła,  
 Nie są to polskie grody, nie są polskie sioła,  
 Nie zbożo-pławną Wisłę, płynie woda czysta,  
 Nie nasze to zwyczaje, mowa nie ojczysta !

Zacni czytelnicy z drugiej połowy dziewię-  
 tnastego wieku! Raz jeszcze odkopałem te wy-  
 jātki pierwiastkowej pracy mojej, które pozo-  
 staną zagrzebane, a zapewne i zatracone w od-  
 wiecznych starych Tygodnikach i Wandach.

Wiersz ten wprowadził mnie do grona ówczesnych młodych rymopisów i wydawców, to jest do towarzystwa Brunona Kicińskiego, Brykczyńskiego Józefa, i Morawskiego Teodora. Byli oni starsi odemnie o lat kilka; już pracowali w rozmaitych wydziałach służby publicznej, a nie bardzo zajęci biórowemi pracami, oddawali się literaturze. Bruno Kiciński dał się poznać z wyjątków tłumaczenia Przemian Owidyusza i założył pismo perjodyczne pod tytułem Tygodnik Polski.

Współpracownikiem jego był Józef Brykczyński. Nie była to pomyślna epoka dla redaktorów. Jeżeli dziś uważają się na obojętność czytelników, na bardzo mały odbyt książek, w stosunku do ludności polskiej, to wówczas było dziesięćkroć gorzej. W 1815 r. zaczął wychodzić Pamiętnik Warszawski, nakładem księgarzy Zawadzkiego w Wilnie, a Węckiego w Warszawie, którzy w mieście naszym spółkową założyli księgarnię. Redaktorem tego pisma był Feliks Bentkowski. Przedsiębiorcy zyskali z początku, nie tracili później, dołożyli w końcu i pismo po siedmioletniem istnieniu, upadło w roku

1821. Wszyscy starsi pisarze utrzymywali pracami swemi *Pamiętnik Warszawski*. Redaktor chętnie przyjmował także prace młodych pisarzy. Tam Brodziński Kazimierz zamieścił pierwsze płody swojej rzewnej ojczystej liry, tam są pierwsze bajki i pieśni Góreckiego, pierwsze przekłady z Szyllera, przez F. Morawskiego, Minasowicza i Brodzińskiego dokonane. Znajdziemy w tém piśmie wiele ważnych rozpraw historycznych i literackich, a mianowicie rozprawę Brodzińskiego o Klassyczności i Romantyczności, która z początku nie bardzo głośna, z czasem zyskała wziętość i stanowczo wpłynęła na zmianę wyobrażeń o poezyi w kraju naszym. Brak oryginalnych tworów, zastępowały artykuły z cenniejszych pism literackich francuzkich i angielskich tłómaczone.

Tymczasem dorosło młode pokolenie piszących; tych ogniskiem było pismo Brunona Kiścińskiego. Górecki i Brodziński przenieśli się do niego z swemi poezyami i te były ich najcelniejszą ozdobą. Proza składała się z mało znaczących powiastek, zarysów humorystycznych, po większej części tłómaczonych. Czasem

nasunęła się jaka krytyka teatralna, albo literacka sprzeczka.

Gorecki Antoni, dziś jeszcze żyjący, bardzo wiele utworów swoich, mianowicie bajek i poezylirycznych umieścił w Pamiętniku Warszawskim i Tygodniku od roku 1815 do 1819. Znamieniem tego pisarza jest dowcip, naturalność, łatwość, czasem i tkliwość; mocy, zwieżłości i poprawności klassycznej nie dostawało jego poezyom i to właśnie ściągnęło na niego pociśki, o których wkrótce wspomnę.

Jednocześnie z Pamiętnikiem Warszawskim zjawiały się i ustawały, dla braku prenumeratorów, rozmaite pisma, jako to: Pamiętnik Zagraniczny i Gazeta Wiejska: krótko one trwały i nie wywarły żadnego wpływu na piśmiennictwo nasze.

Starsi wiekiem, już słynni w kraju pisarze z epoki księztwa Warszawskiego, jako to: Koźmian, Osiński, Wężyk, tworzyli osobną koteryą; do niej wszedł cokolwiek młodszy od nich Franciszek Morawski, wówczas pólkownik b. w. p., potem jenerał, dotąd żyjący. Jenerał Morawski, który daleko później, bo już w terażniej-



szej epoce, ogłosił zbiór poezyi rzeczywistą wartość mających, a mianowicie: *Domek mojego dziadka*, obraz na wzór Tadeusza Mickiewicza i gawęd Pola napisany, dał się poznać w owym czasie z jednéj ody, z przekładu Andromaki Rasyna, trzymanego w rękopiśmie, o którym wiele mówiono i z kilku bajek, zręcznie i dowcipnie napisanych. Nie podobał się tym mentorom literatury, najazd na Parnas, wykonany przez młodych wierszopisów, z których jeden za drugim drukował w Tygodniku utwory muzy swojej. Wypadł piorun z ręki bezimiennego satyryka. Tytuł wiersza tego, był Nowy Parnas, oto jest jego zaczęcie:

„Cóż to, czy mało cudów widzieliśmy jeszcze?  
 Całaż to młodź sarmacka zamieni się w wieszczę,  
 I wieczny cios zadając prozie Słowianina,  
 Najpospolitszą nawet, rymem poprzecina?  
 Młodzi polska, nie dziwisz mnie twoim zapalem,  
 Zawsze laur najtrudniejszy twoim był udziałem.  
 Niechaj innych narodów Muza ujarzmiona,  
 Dziwi się starym bredniom Hemera, Marona,  
 Lub dawnym ziemi swojej omamiona wzorem,  
 Tassów, Popów, Kornelów, zapuszcza się torem:  
 Ty zrodzisz nowy dowcip, nową polską mowę,  
 Nowy gust, nowe rymy, nawet głoski nowe,

I by całkiem odmienić ten wiek dziewiętnasty,  
 Już się nie w laury stroisz, ale w bujne chwasty.  
 Ale któż nad wszystkiemi zwycięstwo odnosi?  
*Gorecki*, ciebie pierwszym Nowy Parnas głosi!  
 Tyś wielkie imię twoje, w samym lat twych kwiecie,  
 Szeroką sławą swoją rozgłosił po świecie;  
 I gdzie nigdy nie dosiagnął *Koźmian* i *Osiński*,  
 Tam ciebie z chmarą wierszy wzniosł twój zapal *Piński*,  
 Spiesz się, w twoim zawodzie obfity *Antoni*,  
 Patrzaj, ilu poetów za twą sławą goni.  
 Lecą całą obławą zziąbane autory;  
 Jakież to arcydzieła, jakie niosą wzory,  
 Prześcignawszy prócz ciebie każdego rywala,  
 Pędzi szumny *Pustelnik* z tryumfem *Kinała*;  
 Z okropnym pojedyńkiem *Chotomski* go ściga;  
 Leci za nim *Brykczyński*, ciężkie wiadro dźwiga,  
 Co chwila się potyka, przecież nie ustaje;  
 Biegnie, *Plichcie* się nawet wyprzedzić nie daje.  
 Lecz nie dość jeszcze na téj tyło-licznój rzeszy,  
 Straszliwy *Kożuchowski* z swym ucinkiem spieszy,  
 Biegną tkliwe amorki czułych *Helikonek*,  
*Majkowski* z tryoletem, z kwiateczkiem *Leonek*.  
 Co widzę? jakaż się to kurzawa rozlega,  
 Jakiż hufiec zajadły w pomoc im przybiega?  
 Pędzi z Wołyńskich krain *Marcinkowski* dzielny,  
 Lecisz i ty z twój Rusi *Molu* nieśmiertelny.  
 Spieszą się dzieci *Baki* na wspólne gonitwy,  
 Spieszą wszystkiemi drogi z Korony i Litwy;  
*Wybranowski* z Lublina, *Ozajkowski* z Krakowa,  
 I cała nawet z Płocka zgraja szaradowa.  
 Nakoniec waszą zazdrość i rozpacz poeci,  
 Z półmilionem wierszy stary Jacek leci.“

Nie przytaczam dalszego ciągu téj satyry wymierzonej głównie przeciw Goreckiemu, przesadnej, niesprawiedliwój, a przez to samo żółcią tylko nie zaś dowcipem tchnącój. Gorecki bardzo dotkliwie uczuł to niezasłużone szyderstwo; spalił już wydrukowany zbiór swoich poezyi i przez lat dziesięć nie wziął pióra do ręki. Tak więc, najpiękniejsze lata jego męskiego wieku, stracone zostały dla literatury ojczystej.

\*            \*            \*

W tym właśnie czasie, w 1818 roku, zapoznałem się z Stanisławem Regulskim, także literatem i tłumaczem, o lat dziesięć starszym ode mnie.

Stanisław Regulski, był synem naczelnika mennicy za króla Poniatowskiego, znakomitego rzeźbiarza kameów i postaci w płasko-rzeźbie wydanych, z kamienia lub słoniowój kości rytých. Posiadał po ojcu znakomity zbiór obrazów, rycin i innych dzieł sztuki. Mając lat dwadzieścia kilka, podpadł chorobie oczu, naj-

cięższej, bo nieuleczonej i zwolna wzmagającej się, którą czarną kataraktą lekarze nazywają. Z każdym dniem skracał się i zaciemniał jego horyzont widzenia. Kiedym go poznał, jeszcze mógł rozróżnić osoby, widział jak przez mgłę obrazy zawieszone na ścianach, albo domy na ulicy. Wszystko to zacierało się zwolna i nareszcie nic nie pozostało, prócz słabego wrażenia światła i ciemności, po którym mógł dzień od nocy rozróżnić. Literatura i wierszopisarstwo były jedyną jego rozrywką. Służącego swego, młodego chłopca, wyuczył czytać po francuzku i niemiecku, przynajmniej tak że go zrozumieć zdołał. Odwiedzałem go w chwilach wolnych i przynosiłem mu nowości literackie. On był krytykiem pierwszych moich tłumaczeń i wpoił we mnie zasady czystości języka i gładkości stylu, które cechowały ówczesnych wyznawców szkoły francuzkiej. Regulski umarł w 1831 r. na cholere. Przełożył trajedyę Szekspira, *Machbet*, z niemieckiego przekładu. Sztukę tę bardzo często wystawiano na teatrze Warszawskim, a rola ledy *Machbet*, zwłaszcza gdy w śnie somnabulicznym obmywa ręce, nie-

gdys krwią własnego monarchy i gościa zbroczone, była tryumfem pani Ledóchowskiej. W Pamiętniku Warszawskim znajdujemy jego wiersz pod tytułem: „*Niepodległość poety*,” przekład z francuzkiego. Są w nim piękne myśli i dobre wiersze.

---

#### IV.

Nowa dążność, nowy rodzaj literatury. — Tymon Zaborowski.  
— Tragedya Maryusz w Minturnie i komedye Moliera. — Nasze  
kółko redaktorskie. — Brodziński na obiedzie w ogrodzie Szucha.

Epoka od 1815 do 1821 r. na pierwszy rzut wydaje się jako najuboższa w literaturze, a zwłaszcza w poezyi naszej. Już wspomniałem o powszechnym popędzie do tłómaczenia i naśladownictwa; tłómaczenia wyrabiano z usilnem staraniem i mazołem. Pamiętam, ile sobie zadawano trudów, na wierne oddanie jakiego dwójwiersza, nad którymby terazniejsi pisarze, albo się nie zastanawiali, albo téż schwyciwszy myśl główną, napisaliby po swojemu. Takie usiłowania, miały tę przecież zaletę, że tłómaczów wprowadzały do walki z oryginałem i do sumiennego wykonania przedsięwziętej pracy.



Wystawiono w teatrze warszawskim, w owej epoce, oryginalne tragedye, Ludgardę, Barbarę, Bolesława Śmiałego i Żółkiewskiego pod Cecorą; a z tłumaczeń, Machometa tragedya Woltera przez Kantorbereggo Tymowskiego; Tankreda tegoż autora, przez Tymona Zaborowskiego, Andromakę Rassyna przez F. S. Dmochowskiego; dziewicę Orleańską Szyllera, i inne których już nie pamiętam.

Lecz obok tłumaczeń z francuzkich poetów, zwolna zjawiali się pisarze oryginalni, albo też tłumacze poetów Niemiec i Anglii. Nie od razu, z rozgłosnem uniesieniem, lecz stopniowo wzrastała sława Brodzińskiego. Duch rodzinny jego pieśni, coraz bardziej był cenionym i ukochanym. Nikt nie odezwał się z przyganą lub szyderstwem, któreby zrazić mogły cichego i skromnego śpiewaka i zwrócić go z obranej drogi. *Żal za polskim językiem*, wiersz umieszczony w Pamiętniku Warszawskim, rozpowszechnił jego imię, a sielski poemat *Wiesław*, pozyskał mu powszechnie współczucie. W dwa lata potem, objął katedrę literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, został człon-

kiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Była to najwyższa i najpiękniejsza nagroda, jaką w owym czasie mogli osiągnąć literaci i poeci. Brodziński tłomaczył także niektóre poezye Szyllera, a w tym względzie miał współzawodników w Minasowiczu, Franciszku Morawskim, Brunonie Kicińskim i Janie Nepomucenie Kamińskim, dyrektorze teatru Lwowskiego. Kazimierz Brodziński poprawił ostatecznie i dał do teatru trajedyą Szyllera *Dziewica Orleańska*, przełożoną wierszem przez jego brata Andrzeja, poległego w kampanii 1812 r. Wystawienie to jest pewną epoką w historyi teatru naszego, był to bowiem pierwszy utwór szkoły nie *francuzko-klasycznej*, wierszem przełożony. Utwory tego rodzaju nie były przecie zupełnie obce publiczności, bo już od lat kilku, grywano *Machbeta* Szekspira, *Fieska*, *Intrygę* i *Miłość* Szyllera, — o przeobrażeniach z *Ducisa* przełożonych, *Otella* i *Królu Lirze*, nie ma co mówić. Drugiem zjawiskiem był przekład pani Jeziora, przez Karola Sienkiewicza. Przekład ten, jest po większej części prozą, a w celniejszych miejscach wier-

szem wykonany. Wiersz silny, pełen nowych i śmiałych wyrażen, wielkie uczynił wrażenie, nie tylko na mnie samym, ale i na całej czytającej publiczności warszawskiej. Poznaliśmy, że są innego rodzaju piękności, inne obrazy, niżeli te, któremi dotąd cieszą się w gładkim i poprawnym Delilu, lub w poematach jemu podobnych. Prawie wszyscy wierszopisowie, dotknięci w Satyrze Nowy Parnas, ucichli, został tylko Bruno Kiciński i Brykczyński Józef. Obadwa, wspólnie z Teodorem Morawskim, zaczęli wydawać Gazetę Codzienną. Kazimierz Brodziński był przyjacielem Brykczyńskiego, któremu piękny wiersz poświęcił przy jego wyjeździe do Włoch i Brunona Kicińskiego; lecz nie był ich stałym pracownikiem i ważniejsze utwory umieszczał w Pamiętniku Warszawskim, do którego redakcyi należać zaczął od r. 1819. Jak teraz, tak i wówczas, były koterye literackie. Starsi pisarze, jeszcze czasów pruskich i księstwa Warszawskiego zasięgający, żyli ze sobą i obojętnie a nawet z szyderczą wyższością poglądali na młodszych. Warszawscy młodzi literaci, zbierali się u Kicińskiego.

Wychowawcy Czackiego z gimnazyum Krzemienieckiego przybyli, składali osobną koteryą i niejaka oziębłość panowała między niemi a Warszawianami. Założyli osobne pismo peryodyczne p. t. *Ćwiczenia Naukowe*, na dwa oddziały podzielone, literatury i umiejętności matematycznych i fizycznych. Pismo to wychodziło przez dwa lata 1818 i 1819: w drugim roku nazwano je Pamiętnikiem. Znamienitsi między Krzemieńczanami byli, Tymon Zaborowski, Karol Sienkiewicz i Józef Korzeniowski, do dziś dnia tak obfity i lubiony pisarz powieści i dramatów. Do nich przydać trzeba Teodozego Sierocińskiego, nie dawno zmarłego profesora emeryta. Tymon Zaborowski zmarł w kwiecie młodości; bardzo był uprzejmym i łagodnym; cerę miał niezmiernie białą i rumianą, czoło wypukłe. W *Ćwiczeniach Naukowych* zamieścił sześć początkowych pieśni poematu o Bolesławie Chrobrym; miał to być utwór w rodzaju Aryosta. Tymon Zaborowski posiadał więcej łatwości i imaginacyi, niżeli uczucia; wiersz jego był gładki, rymy dobrane, a częstokroć wy-

szukane i trudne. Przełożył także Tymon Zabrowski trajedją *Tankred* na wiersz polski, o czem już wspomniałem. Sztuka ta osnowana na tle rycerskiem i chrześcijańskiem, mocne wzbudziła zajęcie w publiczności, pomimo zbyt ciasnej formy klassyczności francuzkiej. W lat dwanaście potem, wyszły z druku *Dumy Podolskie* tegoż poety, dziś już bardzo rzadkie i będące jego najlepszym utworem.

Z naszego kółka, Józef Brykczyński najwięcej miał talentu i byłby wykształcił się na znamenitego pisarza wierszem i prozą, gdyby go wczesna śmierć nie wydarła literaturze i przyjaciółom. Nadzwyczajne posiadał objęcie i łatwość. Cztero-miesięczna praca, wystarczyła mu na przygotowanie się do egzaminu akademickiego z trzech-letnich kursów. Stał do nich prawie nieznany profesorom i z wszystkich przedmiotów otrzymał celujące stopnie. Pozostało po nim tłumaczenie komedyi *Pieniacze* Rassyna; jedna scena z *Mitrydata*, trajedyi tegoż autora, kilka pieśni z *Ossyana* i zajmujący artykuł o pieśniach ludowych u rozmaitych

narodów dawnych i nowo-żytnych, zbogacony przekładem wielu piosnek.

I ja także w połowie 1819 roku, odważyłem się dać na scenę tragedya, z francuzkiego wierszem przełożoną, pod tytułem Maryusz w Minturnie. Jój autor pan Arnault, napisał ją dla jednej tylko sceny, znanėj w historyi Rzymu, gdy ten trybun pokonany przez Sylłę, schronił się w okolicę miasta Minturny, a tam schwytany i osadzony w więzieniu, jedném spojrzeniem i kilku słowami, wytrącił żelazo z ręki barbarzyńcy Cymbra, któremu polecono go zabić.

— Śmieszże ty Cymbrze zabić Maryusza?  
rzekł do nadchodzącego mordercy.

#### CYMBER.

Jakiż głos i spojrzenie i postać straszliwa!  
Jakaż go przed mym ciosem potęga zakrywa?  
Trwogą nicpokonaną zdjęta moja dusza,  
Nie, ja nigdy nie zdołam zabić Maryusza.

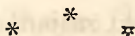
*(rzuca sztylet i ucieka).*

Oto są jedyne pięć wierszy, które mocne wrażenie uczyniły na słuchaczach. Gra Szymanowskiego (Maryusza) i Kudlicza (Cymbra)



powszechnie zyskała oklaski. O całej sztuce, będącej zbiorem dość wątych rozmów, nie ma co mówić więcej.

Za Maryuszem w Minturnie, nastąpił przekład wierszem dwóch komedyj Moliera, *Natréty* i *Urojona Niewierność*. W tymże czasie otrzymałem udział w redakcyi Tygodnika. Piśmo to wydawca jego B. Kiciński, *Wandę* przeważał, a dla przywabienia prenumeratorów, okrasiał Momusem, to jest zbiorem żartów, conceptów i anegdot, przez Aloizego Żółkowskiego wydawanym. Jednocześnie z tém zatrudnieniem, otrzymałem posadę zastępcy nauczyciela w Liceum warszawskiém. Wykładałem język polski i historję w klassie pierwszej, drugiej i trzeciej. Bez próżności mogę to powiedzieć, że udało mi się w moich młodocianych uczniach, wzbudzić zamiłowanie do czytania i na egzaminie publiczném w 1821 roku, bardzo pięknie wystąpili, z własną i moją chlubą. Z liczby moich ówczesnych uczniów, wymienię Dominika Magnuszewskiego i Konstantego Gasińskiego, chlubnie znanych potem w liczbie naszych tegoczesnych pisarzy.



Kazimierz Brodziński był bardzo łagodny, cichy, a nawet lękliwy nieco. Nie cierpiał żadnych sporów i krytyk literackich i nigdy się do nich nie mieszał. W 1820 r. około 20 maja, Bruno Kiciński wniósł, żebyśmy, ówcześni redaktorowie Wandy, Orła Białego i Tygodnika Muzycznego, pojechali na obiad do ogrodu Szucha, leżącego przy téj alei, która prosto z Marszałkowskiej ulicy do rogatek Mokotowskich wychodzi. Była tam wówczas dobra restauracya. Chętnie przyjęliśmy ten projekt, a jeden z nas rzekł, że trzeba Brodzińskiego zaprosić.

— Zgoda! zawołali wszyscy.

— Ale zaprosiny do poety, muszą być wierszem: przydał Kiciński.

— Niech i tak będzie. Piszmy każdy po jednym wierszu, zobaczymy, co się z tego złoży, rzekłem.

— My nie piszemy wierszy, rzekli Morawski i Kurpiński.

— No, to wy podyktujecie dwa wiersze początkowe, a my dorobimy następne z końcówką.

Teodor Morawski zasiadł do pisania i zrobiła się z tego następująca składana improwizacya, w której, każdy wiersz jest utworem innego autora.

Gdy już przeminał czas ostry i zmienny,  
Zebrane kółko młodych literatów,  
Chce razem spędzić pierwszy dzień wiosenny,  
Wśród lip cienistych i wśród woni kwiatów.

Lecz bez śpiewaka Wiesława,

Poszłaby na nie zabawa.

Więc pan Kazimierz niech prośby wysłucha  
I w dniu jutrzejszym, dorożką, czy pieszo,  
Na skromny obiad przybędzie do Szucha,  
Gdzie z wierszopiską połączy się rzeszą.

Co wyraziwszy

Każdy będzie najszczęśliwszy

Jeżeli od niego dozna tój łaski.

(podpisano,) Dmochowski, Morawski,

Lisiecki, Kurpiński

I Bruno Kiciński. —

Gdy przyszło położyć adres na liście, uchwalono, że i ten musi być także wierszami, choćby nawet częstochowskiemi napisany i na kopercie położono:

„Do wielmożnego Brodzińskiego

Pamiętnika Warszawskiego

Światłego współ-redaktora

I poezyi profesora.“

Mieszka ten poeta  
 Przy ulicy Freta  
 Wszedłszy w kamienicy wnętrze  
 W podwórzu na pierwszym piętrze.“

Nazajutrz stawiał się Brodziński na wezwanie.

— Szanowni koledzy, rzekł do nas podczas obiadu, o małym nie stracił sposobności zabawienia się z wami.

— A to dla czego? zapytaliśmy się.

— Dziwaczny adres waszego listu tak mnie zraził, że wziąłem go za szyderstwo, a rozumiejąc, że we środku znajdę jakie krytyki i żarty gorsze jeszcze, nie chciałem go czytać. Lecz na szczęście, wasz posłaniec poprosił o odpowiedź. A od kogo ty jesteś, zapytałem się? Od hrabiego Kicińskiego odpowiedział. Tam w pokoju przy drukarni panowie śmieli się, pisali, wyprawili mnie z tém pismem i kazali przynieść odpowiedź.

Domyśliłem się że to jest jakaś wasza pustota, a wiedząc że nie zrzadzicie mi żadnej przykrości, przeczytałem i jestem w waszém towarzystwie.

— Nie trzeba tak być drażliwym na recenzją lub naganę, rzekł Kiciński; a cóżbym ja zrobił, który ciągle muszę to bronić się, to nawzajem napastować Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia i Gazetę Warszawską.

— To zależy od usposobienia odpowiedział Brodziński. Ja nie jestem przeznaczony do walk piśmiennych. Cicha praca, gruntowna ile tylko moja zdolność pozwoli, wyśpiewanie tego co z serca pochodzi, oto jest mój zawód.

— I ten ci zjedna powszechne współczucie ziomków i stałych przyjaciół, zawołaliśmy jednomyślnie.

— Łatwiej zyskać sobie nieprzyjaciół, jak przyjaciół, rzekł Brodziński. Onegdaj znowu zniechęciłem dla siebie jednego, bez złej woli i myśli, a za to jeszcze porządną burę usłyszałem.

— Jak to było? jak to było?

— Znacie majora K..... literata amatora, tego co wytłómaczył Marzenia Tassa?

— A napisał żale Elwiry i każdemu je czyta, i myśli je drukować.

— Znamy go wszyscy.

— Otóż: mówił dalej Brodziński: przyniósł mirekopism swoich Żalów i oddał go pod *światło moje zdanie*: to były jego słowa. Przeczytałem owe Żale i w nie małym byłem kłopotcie, co powiedzieć autorowi. Chwalić i gadać grzeczności wbrew mojemu przekonaniu, nie zdołam: to jest tak przeciwne mojemu charakterowi, że wyrazy nie chcą wyjść z piersi. A tu rzecz czcza, płonna, same wykrzykniki i kropki, bez żadnej myśli, bez żadnego uczucia.

— Pozwól, panie Kazimierzu, przerwałem: nasi towarzysze nie znają Elwiry, ja byłem nią nakarmiony, więc mogę wam powtórzyć kilka frazesów z tego arcy-dzieła.

— Powtórz, rzekł Brodziński, winszuję ci, ale nie zazdroszczę, że mogłeś spamiętać wyjątki z Żalów Elwiry.

— A więc słuchajcie! Elwira ubolewa po swym kochanku Albinie. „Gdzie jesteś Albinie! (szesć kropek, znak zapytania i wykrzyknik). Czy umarłeś?(kropki) Czy mię opuściłeś?(kropki). Nie, ty nie umarłeś... ty żyjesz... Ja ciebie widzę.....Tu na promieniu księżycy.... schodzisz do mnie...Nie...nie na promieniu...Tam



nad brzegami strumienia ... Między gałęziami  
płaczącej wierzby... cień twój przesuwają się ...  
Albinie .....

Koniec końcem, przeczytasz całe dzieło i nie  
więcej z niego nie wyciśniesz.

Brodziński mówił dalej:

— Nie śmiejąc wprost powiedzieć mego  
zdania autorowi, rzekłem: że teraźniejsza epo-  
ka jest zanadto poważna, spekulacyjna, mate-  
ryalna, a więc nie jest właściwa do takich unie-  
sień i marzeń i nie potrafi ich ocenić. Na te sło-  
wa, zachmurzyło się oblicze pana K.... a cho-  
wając rękopism, rzekł do mnie:

— Pan Osiński czytał ten rękopism i po-  
chwalił go; czy pan rozumiesz mnie? pan Osiński!  
To rzekłszy, zmierzył mnie pogardliwym wzro-  
kiem, kiwnął głową i wyszedł.

Dotknięty tą sceną, pomyślałem: znowu mi  
przybył jeden nieprzyjaciel, mnie, którybym  
pragnął kochać wszystkich i być od nich kocha-  
nym. Na domiar nieszczęścia, spotykam Osiń-  
skiego.

— Z łaski pana, rzekłem do niego, obrazi-  
łem pana K.....autora Żalów Elwiry. Pochwa-

liś mu jego utwór i bardzo wziął za złe moją radę, żeby tych Załów nie drukował. Powołał się na zdanie pana. Jakże mogłeś chwalić tak biedny utwór?

— A po cóż miałem ganić? odpowiedział Osiński. Kto nie umie sam być sędzią własnej pracy, temu nie przyda się żadna krytyka. Niech drukuje; wszakże są jeszcze gorsze książki; a ty panie Kazimierzu jesteś nie trafnyin, nie znasz ani świata ani ludzi.

Tak więc moi przyjaciele, wylajany zostałem i od pana K..... i od Osińskiego. Czyliż więc nie mam powodów lękać się listów nadsyłanych do mnie, a zwłaszcza z takim dziwnym adresem?

— Na zakończenie téj sprawy: odezwał się Kiciński: wypijmy duszkiem za zdrowie kochanego Kazimierza. Szczęśliwszy on i szanowniejszy jest z swoją prostotą, niżeli drudzy z dworszczyzną i dowcipem.

Wkrótce potem, wydał Brodziński zbiór poezyi swoich w dwóch tomach, przekład trajedyi Renuarda, p. t. *Templaryusze*; tłumaczenie traje-

dyi Szyllera: *Dziewica Orleańska*, dzieło jego brata Andrzeja, przez niego poprawione, tłumaczenie romansu Götego, *Cierpienia Werbera* i komedyjki wierszem pod tytułem: *Wolny Mularz*. Wszystkie te prace, jak najlepiej przyjęła ówczesna publiczność, a redaktorowie, do których i ja należałem, oddali im sprawiedliwość.

Bruno Kiciński, dobrym był tłumaczem i gładkim wierszopisem; główną jego zasługę w literaturze naszej, stanowi przekład *Przemian Owidyusza*. Z kilku tomików wierszy, które wydał około 1840 roku, w epoce już nie stosownej do tego rodzaju utworów, wybraćby można piękne przekłady z niemieckich poetów i dołączyć do *Przemian Owidyusza*. Taki wybór, zapewniłby Kicińskiemu zasłużone miejsce w rzędzie naszych pisarzy. W wydawnictwie nie małe położył zasługi i obudził ruch piśmienniczy w kraju naszym. Po ustaniu *Gazety Codzienniej*, wydał dziesięć tomów pisma zeszytowego, trzy razy na tydzień wychodzącego, p. t. *Orzeł Biały*. Prozą pisał gładko i czysto.

W kwietniu 1820 r., po wyjeździe Brykczyńskiego do Włoch, objąłem wyłącznie z Dominikiem Lisieckim redakcyą Tygodnika Polskiego, później nazwanego Wandą. Dominik Lisiecki równy mi wiekiem, dał się poznać przekładem *Nieszporów Sycylijskich*, trajedyi Kazimierza Delavigne, która zyskała wielkie powodzenie we Francyi, nie tyle z powodu jęj literackiej wartości, lecz że umiała pochwlebiać duchowi czasu. Jest to bowiem sztuka, tak jak prawie wszystkie trajedye francuzkie, pełna deklamacyi i scen efektowych, lecz bez kolorytu wieku i miejsca, bez głębszej myśli. Lisiecki dobrym był wierszopisem i tłómaczem, a wiadomo, że w owęj epoce, już to wystarczało do pozyskania pewnej literackiej wziętości.

W tymże czasie, Ignacy Humnicki, kolega nasz w uniwersytecie Warszawskim, napisał trajedyą *Żołkiewski pod Cecorą* i dał do teatru; publiczność przyjęła ten utwór z najżywszemi oklaskami.

Nasze towarzystwo młodych redaktorów i wierszopisów, pomnożył Franciszek Grzymała, który w lipcu 1820 r., zaczął wydawać pismo po-

lityczne i literackie pod tytułem *Sybilla Nadwiślańska*. Poprzednio mieszkał czas niejaki w Wilnie i tam pisał artykuły do Wiadomości Brukowych. Starszym był odemnie o lat kilka, miał zdrowy i prawy sąd o rzeczach: styl czysty i piękny; umiał wyszukać i wybrać artykuły do swego pisma, lecz niczem nie mógł przezwyciężyć wady opieszałości. Po wydaniu jednego tomu Sybilli, zaczął wydawać *Astreję*. Pismo to było bardzo lubione od publiczności; jest w niem wiele ważnych i zajmujących artykułów; lecz na nieszczęście, nigdy nie wyszło na czas oznaczony. Dwanaście numerów z całego roku, ciągnęły się przez lat dwa i więcej; że zaś regularność i porządek jest równie ważną rzeczą dla powodzenia dziennika, jak jego wewnętrzna dobroć, *Astreja* nie mogła utrzymać się, gdyż znudzeni i zniechęceni prenumeratorowie, porzucili ją prawie wszyscy. *Astreja* zjawiała się od czasu do czasu, aż do 1825 roku.

Zadłosyć czyniąc żądaniu redaktora, o przysłanie mu jakich wierszy do jego dziennika, napisałem dla niego następującą powiastkę, która jednakże w *Astrei* umieszczoną nie była.

## HISTORYCZNE ODKRYCIE.

Zawszeż wystawiać będziem Jowiszą z Muzami?

Już to czyniono mało razy dwieście,  
Zbyt długo naśladowcy, zdobądźmyż się wreście,  
Coś stworzyć sami. . . . .

Blisko Kalisza, wśród odwiecznych lasów,  
Pod granitowym zachowano głazem,  
Za pogańskich Mieszka czasów,  
Księgę z przeszłości obrazem.  
Ktoś co tamtędy drogę poprowadził,  
Głaz ten wyruszył i prochem rozsądził,  
A ta Sławiańska kronika zbutwiała,  
Słoneczne światło ujrzała.

Możeby jaki badacz się zapytał,  
Skąd ją dostałem, jakim ją wyczytał?  
Jéj prawdziwości łatwo mogę dowieść,  
Lecz przedewszystkiém wypiszę tę powieść.

Gdy już pogaństwu groziła zagłada,  
Strwożonych bożków zebrała się rada,  
Świst-Poświst, Łada, Marzana,  
Lelum-Polelum, Dziedzilja, Dziewana,  
Ponury, Perkun, mniejszych bożków wiele,  
I stary Jessa na czele.

Jessa łzawemi odezwał się słowy:  
„Wisi grom zguby nad naszemi głowy;  
Tak Przeznaczenie ogłasza:  
Wkrótce zgaśnie wiara nasza;



Padną posągi, ołtarze, świątynie,  
A każdy z nas w powietrzu, jak dźwięk płonny zginie.“

Rzekł: myślącemu o smutnej przygodzie,  
Łzy się obfite puściły po brodzie,  
I całe bożków zasępia się koło.  
Jeden Lelum-Polelum spogląda wesoło,  
I rzecze: „Mam ja sposób nieśmiertelnym zostać,  
Zachować imię moje, a nawet i postać.

W lat prawie tysiąc wśród murów Warszawy,  
Zjawi się pisarz światły, miły, prawy;  
Piękno oceni, duch wieku zrozumie,  
Tylko się z czasem rozliczyć nie umie;  
A nie zważając na powszechne żale,  
W rok nie wydaży, co ma wyjść w kwartale.  
Ja się tym czasem w dąbczak młody skryję,  
I w słoju drzewnym sto wieków przeżyję.  
A potem imię odradzając moje,

W jego naturę się wpoję.  
On, swe projekta rozgłaszając wszędzie,  
*Lelum - Polelum* wszystko robić będzie;  
A tak przez niego w Sarmackiej krainie,  
Bożek *Lelum-Polelum* na nowo zasłynie.“

Co tam zrobiło grono bożków całe  
Nie można wiedzieć,— bo karty zbutwiały.  
Lecz tobie bracie, winienem niezwłocznie  
Objawić, bożków Sławiańskich wyrocznie.  
Na wszystkie ciosy, krytyki, zawiści,  
Po cóż dzielniejszej szukać odpowiedzi?  
Czyliż redaktor w słowie się uści,  
Gdy bożek *Lelum-Polelum* w nim siedzi?

## V

Kawa pod Kopciuszkiem — Artyści dramatyczni. — Aloizy Żółkowski. — Dola teatru Narodowego.

Współpracownictwo w redakcyi *Wandy*, oraz przełożenie trzech sztuk dramatycznych, do których w 1821 r. przybył przekład Andromachi trajedyi Rasyne, zapoznało mię z ówczesnymi artystami dramatycznymi. Miejscem zbierania się ich, oraz młodszych literatów, była kawa, pod znakiem Kopciuszka, otworzona przed dwoma laty w domu Baldego przy ulicy Długiej, gdzie jest teraz zakład litograficzny pana Tajansa. Tam niemal co wieczór przychodził: Ludwik Osiński, Kazimierz Brodziński, Bruno Łęczyński, Brykczyński, Dmuszewski późniejszy wydawca Kurjera, Aloizy Żółkowski, Kudlicz, Manowicz, artyści dramatyczni; Kurpiński i El-

sner dyrektorowie Opery. Rozmowy były żywe i urozmaicone, toczyły się o teatrze i literaturze; czasem przechodziły do ważniejszych rzeczy. Aloizy Żółkowski, zwykle zakończył je i zwracał do innego przedmiotu, jakim pociesznym konceptem. I tak pewnego razu, Karol Kurpiński utrzymywał, że język słowiański jest najstarożytniejszym w Europie, że jest pierwotnym od którego wszystkie pochodzą, że z czasem przez zmiany litery na literę, odróżnił się jeden język od drugiego.

— Ma słuszość pan Karol, odezwał się Żółkowski. Na poparcie tego zdania przekonam was, że nazwisko Bonaparte prosto pochodzi od naszego Burczymuchy.

— A to jak? zapytaliśmy się ciekawie.

— Wyraz przerabiał się z wiekami, odpowiedział Żółkowski, litera zamieniała się na literę, aż nareszcie zrobił się z Burczymuchy Bonaparte; możecie to sami sobie ułożyć.

Na téj zasadzie i z równą gruntownością w rozumowaniu, tylko że napisaném na prawdę, wyszło niedawno dziełko udowadniające pier-

wotność języka polskiego i rosyjskiego; szkoda że go nie dożył ś. p. Aloizy Żółkowski.

Momus, zbiór conceptów Żółkowskiego, po większej części już jest nie zrozumiany dla dzisiejszych czytelników, opierał się bowiem na ówczesnych okolicznościach. I tak na przykład: napisał Żółkowski, że Austriacy nie chętnie idą do Włoch, gdyż boją się żeby sobie nie posmogli mundurów. Stosowało się to do politycznego towarzystwa węglarzy, wówczas rozgałęzionego w całych Włoszech i do barwy białej mundurów austriackich.

Były też i takie concepta, które dziś z większym jeszcze powodzeniem zastosować się dadzą, jako to: „Natura ciągnie wilka do lasu. Na wczorajszej reprezentancyi spadła z paradyżu krymka żydowska i nakryła w krzesłach głowę, na której przed kilkulaty ulubione miała siedlisko.“

Aloizy Żółkowski, jako aktor, nie ma dotąd równego sobie. Jego syn, teraźniejszy artysta, przewyższa ojca swego sztuką, lecz nie dorównywa mu naturalną wrodzoną komi-

cznością. Natura tak obdarzyła Aloizego Żółkowskiego, że dosyć było spojrzeć na niego, a każdy ruch jego twarzy, pobudzał do śmiechu. Jakakolwiek była rola, chociażby mierna i nudna, on ją ożywił, w niej bawił i rozśmieszał. Tryumfem tego artysty były role w małych sztukach jedno - aktowych, oryginalnych, z francuzkiego tłumaczonych, lub spolszczonych, w rodzaju ludowym czyli gminnym. „Kasperek w nieszczęściu, Kasperek w szczęściu, Bankructwo partacza, Asmodeuszek, Płaksa i Wesołowski, Szkoda Wąsów, Talizman niewidzialności, Nasze przebiegi, Widowisko, któremu trudno dać nazwisko, i mnóstwo podobnych sztuk, jemu wyłącznie winne były powodzenie swoje. Lecz Żółkowski, kiedy chciał to i w komedjach wyższego rzędu był wielkim artystą. Wcześniej dostał mocnej otyłości, bo też w jedzeniu nie żałował sobie, a ulubionym jego napojem było dubeltowe piwo Warszawskie, którego nad miarę używał. Na trzy lata przed śmiercią, nagle zaczął chudnąć, wywiązała się konsumpcya i pomimo wszelkich starań lekarskich i podróży do wód, zabrała go z tego

świata w 47-mym roku życia. Momusa pisał właśnie w epoce słabości swojej, przed wyjazdem do wód zagranicznych. Bywałem u niego z powodu stosunków redakcyjnych, jako współwydawca tygodnika Wandy. Gdym go pewnego razu zastał słabego, siedzącego w szlafroku, chciałem dodać mu serca i rzekłem, że jeszcze będąc w sile wieku, prędko przyjdzie do zdrowia.

— Panie Dmochowski! odpowiedział mi na to: ja jestem stary, bardzo stary, to już mi się nie wiele należy na tym świecie.

— A wieleż lat pan sobie liczysz? rzekłem.

— Dziewięćdziesiąt dwa, odpowiedział pan Alojzy.

— A to jak?

— Dwa razy tyle jadłem, piłem, używałem co drudzy, to moje lat czterdzieści sześć życia, liczą się za dziewięćdziesiąt dwa. Widzisz więc pan, że sztuka lekarska, nic mi nie pomoże.

Żółkowski Alojzy nie tylko w dorywczych odpowiedziach lub uwagach, lecz jako tłumacz i autor wielu sztuk dramatycznych, zwłaszcza mniejszego rozmiaru, okazał znamienity do-



wcip. Gdybym miał pod ręką zbiór piosneczek wydanych przed czterdziestu i kilku laty, albo różne komedyo-opery, których on był autorem, tłumaczem, lub przerabiaczem, mógłbym przytoczyć nie jedną piosneczkę jego utworu. Zatrzymałem w pamięci parę tylko zwrotek, między innemi z piosnki *Utracyuszek*:

Jeszcze drobném był dziecięciem,  
A już wojaż przedsięwziąłem;  
Lecz kto wyjechał *cieleciem*,  
Ten pewnie powróci *wołem*:

Daj Boże! aby przy co raz to liczniejszych podróżach, nie sprawdziły się te słowa.

W innéj śpiewce, opisując różne ulice Warszawy, tak się wyraża o pałacu sądowym:

Święte bóstwo, Sprawiedliwość,  
Do Miodowój (ulicy) stoi czołem,  
Chceszli zyskać jój życzliwość,  
Musisz chodzić Krzywém Kołem.

Albo w innéj, gdzie mówi, jakieby szylldy należało dać rozmaitym zajezdnym domom:

Pan co siebie ma na celu,  
Co rzadko z bliźnim rozmawia,  
Niech zajeżdża do hotelu  
Pod *indyka* albo *pawia*.

Damulki z niestałym smakiem,  
 Nakształt przemiennój jesieni,  
 Niechaj stawają pod *szpakiem*,  
 Pod *dudkiem*, męże zwiedzeni.

W ostatnich latach dramatycznego zawodu Alojzego Żółkowskiego, bardzo był lubionym od publiczności Józef Zdanowicz, komiczność jego, była w innym rodzaju, nie tyle naturalna, więcej w karykaturę wpadająca. Doskonale grywał role niedołęgów, głuptasów, jako to w *Familii Szwajcarskiej*, w *Operze Włoskiej w Podróży*, a gdy chciał, to umiał wznieść się do prawdziwej komiczności.

Bonawentura Kudlicz, znamienity artysta dramatyczny, sławę swoją winien był pracy i dokładnemu poznaniu sztuki scenicznej. Role wielkie same z siebie, umiał oddać należycie, a mniejsze podnieść grą swoją. Zarówno był dobrym artystą w komedyi jak w trajedyi. Tryumfem gry jego w rodzaju komicznym, była rola skąpcy w komedyi Moliera; lubionym był także w *Dwóch Roztargnionych*, w *Ślubach pańieńskich Fredry* i w mnóstwie komedyj i dramatów; w trajedyach zaś, w *Cydzie*, *Horacyu-*

szach, Ludgardzie, Barbarze, w rolach ojców, które objął po dawnym dyrektorze teatru narodowego, Bogusławskim.

Szymanowski i Werowski, dwaj artyści, w rolach poważnych i namiętnych, w drammatach i trajedyach, posiadali znakomity talent. Szymanowski zalecał się pięknnością deklamacyi, Werowski żywością akcyi. Utrzymała się w nich tradycya dawniej podwyższonej deklamacyi francuzkiej, od której wolnym był ich następca Piasecki.

Czyliż mógłbym zamilczć o Nestorze sceny naszej i jej dyrektorze przez długie lata, Wojciechu Bogusławskim, którego pamiętam w ostatnich czasach jego dramatycznego zawodu? Postawą, głosem, akcyą, był wyższy, od współczesnych artystów i zdaniem znawców stał na równi z najznamienitszymi aktorami Europy. Te zalety był winien sobie samemu, własnym usiłowaniom, doświadczeniu, nie zaś zagranicznym wzorom. Nie widziałem go w młodszych rolach, lecz w Cydzie i w Horacyuszach Kornela, w królu Lirze Szekspira, w Zairze Luzyniana, rolę ojców grał niezró-

wanie, a Kudlicz jego następcą, gasł przy nim. Wiadomo osobom obznajmionym z literaturą naszą, że Bogusławski znaczną liczbę dzieł dramatycznych przełożył lub naśladował, wielu był współ-pracownikiem; znaczniejsze są Krakowiacy i Górale, Szkoła obmowy, i t. d.

Nie brakowało wówczas teatrowi naszemu na znamienitych artystkach. Najznamienitszą z nich była Ledóchowska; grywała najpierwsze role w trajedyach; posiadała wszystkie przymioty doskonałej artystki, kibić wzniosłą, rysy piękne, organ głosu tak czarowny, tak przenikający, że kto chciał poznać całą piękność języka naszego, ten musiał go słyszeć z ust Ledóchowskiej; przy tém, z niezrównanym talentem umiała oddać wszystkie odcienia najgwałtowniejszych namiętności i najtkliwszych uczuć. Ona to była wzorem dla swój następczyni panny Żuczkowskiej, (pani Halpert), która z początku z tryumfem występowała w rolach traicznych, później zaś także była wielką artystką w dramatach i wyższego rzędu komedjach. Nie mogę pominąć panny Nacewiczównę, która dość prędko opuściła zawód dramatyczny.

Oprócz tych głównych artystów i artystek, liczył teatr nasz wielu dobrych i zajmujących aktorów. Z mężczyzn wymienić winienem: Dmuszewskiego, Damsego, Aszpergera; z artystek: panią Aszpergerową, Kurpińską, Dmuszewską, a przed niemi jeszcze panią Szczurowską, w roli matek komicznych. Opera ówczesna, nie wykwiłtna, nie bogata, wystawiała sztuki z muzyką łatwą, miłą, a przytém posiadającą wiele komiczności. Takimi były Śpiewaczki Wiejskie Hilary, Opera Włoska w podróży, Szarlatan, Pałac Lucypera, Kopciuszek, Alina Królowa Golkondy, Jadwiga, Władysław Łokietek, Westalka, a później Rossyniego Włoszka w Algierze, Sroka złodziej, Cyrulik Paryzki, Turek we Włoszech, Tankred i t. d. Najpierwszym śpiewakiem był Szczurowski, który do późnego wieku zachował głos mocny i czysty. Po nim tenorzysta Kratzer. Z śpiewaczek najcelniejsza była pani Elsner, a po niej zaś Aszpergerowa, Mejerowa, Dmuszewska, a co do śpiewaków, posilkowano się artystami z komedyi, Zdanowiczem, Damsem i Dmuszewskim.

Pomimo tak licznych i pięknych talentów,

pomimo pięknego doboru sztuk, bo oprócz arcydzieł teatru francuzkiego i kilku sztuk oryginalnych, wystawiono mnóstwo komedyi trajedyi i dramatów z niemieckiego przełożonych, ówczesna publiczność nie miała zamięłowania w teatrze. Nowość sprowadzała widzów na pierwsze wystawienie; na drugiem już nie było nikogo. Kiedy Horacyusze, trajedyja Kornela, arcydzieło między tłumaczeniami z obcych języków, podniesiona grą starego Bogusławskiego i pani Ledóchowskiej, powszechny zapal wzbudziła, tak, że tłumacza jój, Ludwika Osińskiego, obnoszono na ręku, jeden z wierszopisów napisał następujący epigramat:

Jakże to wzniosła sztuka, jak wielki Horacy,  
Z uniesieniem, ze łzami wołali Polacy!  
Dziwili się i zdaniu i czuciom i myśli,  
Klaskali, ale jednak drugi raz nie przyśli.

Bogusławski, założyciel i dyrektor teatru narodowego, lat kilkanaście łamał się z wszelkimi przeciwnościami i zaledwie zdołał zaspokoić długi zaciągnięte na utrzymanie sceny. Ludwik Osiński, objąwszy po nim przedsiębiorstwo teatru, nie lepszej doli doznał, chociaż na pod-



niesienie i ozdobę sceny, nie szczędził ofiar, i jemu winni jesteśmy okazalsze ubiory, dekoracye i maszyny. Machabeusze, Dziewica Orleańska, Westalka, były wystawione z okazałością, którejby się nie powstydziły teatry innych stolic europejskich.

Rząd królestwa przyszedł mu w pomoc z coroczną dopłatą, lecz nareszcie musiał wziąć scenę pod naczelny kierunek, gdyż pokazało się, że w ręku prywatnego przedsiębiorcy, utrzymać się nie zdoła.

---

## VI.

Krytyka teatralna. —Ixowie.—Ówczesne Gazety. — Zwrot do nowego rodzaju literatury.— Lamartine.— Wzrost Warszawy.

Kiedym już tak się rozpisał o teatrze, nie opuszczę ówczesnej krytyki teatralnej. Od roku 1815, grono starszych literatów, zamieszczało w gazetach, uwagi nad sztukami i grą artystów, podznaczone literą X. Z téj przyczyny, nazwano ich towarzystwem Ixów. Do tego grona należał Tadeusz Mostowski, książę Adam Czartoryski, Niemcewicz, Lipiński, Wyszkowski, Morawski Franciszek, Koźmian, Osiński. Szczególniej surowymi byli na sztuki przerbione z niemieckiego lub z francuzkiego, niezręcznie powleczone barwą narodowości, dla przyciągnięcia widzów, albo zyskania oklasków. Wykazywali także błahość i nicość tych sztuk,

w których tkliwości wielkość sytuacji dramatycznych, usiłuje autor zastąpić spowszedniałymi morałami i przechwałkami. Adam Mickiewicz, w piśmie swojem O krytykach i recenzen-  
tach warszawskich, tak się wyraża o Ixach: „Je-  
żeli który z Ixów, zastanawiając się nad traje-  
dyą, wzniósł się do wyższych spekulacyi, do  
rozpraw o trzech jednościach i pokazał, że wje-  
dnój lub drugiej brakuje w sztuce, że mię-  
dzy sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł  
że w téj lub w owéj scenie, trzeba sobie wyo-  
brażać przedsiomek, zamiast sieni, zdumiewano  
się nad talentem lub wiadomościami takowego  
Ixa.“ Mimo najwyższego uwielbienia dla poety-  
cznego geniuszu Mickiewicza, ceniąc prawdę  
nad wszelkie względy, powiedzieć muszę, że  
Mickiewicz ze słyszenia tylko dał takie zdanie  
o krytykach Ixów, i zapewne, ich artykułów,  
porozrzucanych w Gazecie Warszawskiej, od  
1815 do 1821 roku, nie mógł mieć pod ręką,  
gdy o Ixach zdanie swoje w Petersburgu wy-  
rażał. Ixowie, krytykowali sztuki szkoły fran-  
cuzkiej, podług jéj zasad, a sztuk z angielskiego  
lub niemieckiego przełożonych, nie mierzyli

na skalę klassyczności francuzkiój. O Hamlecie, trajedyi Szekspira, tak pisze jeden z Ixów:

„Ilekroć sztuki Szekspira zdarzyło mi się widzieć na scenie naszój, różne o nich zdanie sły-  
 száłem. Jednych imaginacyi podoba się ta nad-  
 zwyczajność charakterów i stylu, to obcowanie  
 z nadzmysłowemi istotami, ta dzika i przeraża-  
 jąca wielkość; w nieforemności nawet samój te-  
 go olbrzymiego obrazu znajdują pewną cechę  
 nadzwyczajnego geniuszu. Z drugiej strony, sły-  
 szę wołania: *plód barbarzyński, bez gustu, prawi-  
 deł; same niepodobieństwa, jakież to monstrum  
 angielskie!* Nie dziwi mię wyrok tych ostatnich.  
 Jak wszystkie literatury, za ledwie powstające  
 ze swojój kolebki, tak i nasza dramatyczna,  
 pierwszy swój zawód zaczyna naśladowaniem  
 obcych form i wzorów. Obraliśmy drogę staro-  
 żytnych, czyli raczej francuzką, a więc nawykli  
 do symetryi *Kornelów, Rasynów i Wolterów*,  
 z oburzeniem spoglądamy na dzieła tymże wzo-  
 rom w swych układach przeciwne. Daleki je-  
 stem od obalenia tych prawideł, chociaż po czę-  
 ści przesadzonych. Konieczne są prawidła. Naj-

dzielniejszy nawet geniusz potrzebuje ostrożności, potrzebuje oznaczyć sobie pewien układ i zakres, aby go nie wstrzymywała w pracy bojaźń obłąkania się, aby pewniej i z większą wolnością mógł działać w tym wielkim obrębie, który sobie zakreslił; inaczej, bowiem, wrodzona mu dzielność, w cząstkowych tylko wysili się obrazach, lecz zginie w całości niedość związanej. Ależ dla tego, że dzieła starożytnych i ich naśladowców tak są dokładne, mająż być jedynymi wzorami? Czyliż, nie poznawszy może w ich oryginalnym języku, literatur innych narodów i co o nich powiedziano, będziemy je sądzić tak śmiało, a nawet potępiać? Jestże sztuka tragiczna, ta sztuka, która najdalej zasięga w przestrzeniach imaginacyi, tak ciasną i ubogą, aby jeden tylko rodzaj przypuszczała, a więc i jedne prawidła? Czyliż różność przedmiotów, różność klimatów, różność natury geniuszów, wolność myślenia, nareszcie stopień imaginacyi poetycznej ludów, żadnego nie mająć wpływu na kierunek i formę tworów poetycznych? Czemuz Hiszpanie i Anglicy, chociaż (jak to dostatecznie dowiedziono), nie wie-

dzieli o wzajemnej swojej literaturze tragicznej, tyle jednak w dążeniu swoim mieli podobieństwa, i tak gorejąca południa, jak i ponura północy imaginacya, przy jednym zbiegały się celu i utworzyły rodzaj nowoczesny, tak nazwany *romantyczny*? Powtarzam raz jeszcze, iż oddaję hołd winny geniuszom Greków, ale mnie mam, iż nie można nakładać *monopolium* na sztukę poezyi, przez przychyłność dla pewnego wieku i ludu. Do nas Polaków, którzy jeszcze nie mamy literatury tragicznej, cechą narodowości oznaczonej, a więc bez miłości własnej, bez uprzedzenia wyrok dać mozem, do nas mówię, należy sądzić niepodległe o tém wielkim sporze, który dziś zajmuje tylu pisarzy. Niebezpiecznym jest ten zawód nowoczesny; nie łudźmy powabem świetnych jego marzeń, zaczynające talenta; nie wprowadzajmy każdego pisarza na to najrozleglejsze pole, na które nadzwyczajnym tylko geniuszom wstąpić jest wolno bezkarnie, abyśmy nie oszpecili naszej literatury, dziełami podobnemi do tylu dramatów niemieckich, których autorowie, nie mając geniuszu Szekspirów,



Kalderonów, Szyllerów, śmieli się puścić ich kierunkiem; lecz z drugiej strony, nie potępiajmy tego zawodu dla tego, że jest oddzielnym od starożytnych i oryginalnym. Nie są to nowe myśli, które tutaj w krótkości rozwinać pragnę, owszem, powtarzam tylko, co sławni tego wieku krytycy, już nawet i niektórzy francuzcy, w téj mierze pisali, a zwłaszcza Niemiec *Szlegel*. Rozróżnił on dostatecznie, rodzaj starożytny, czyli tak nazwany klassyczny, od rodzaju romantycznego. Pierwszy, sięga tylko do pewnego zakresu wyobrażeń ludzkich; drugi, obejmuje nawet i to wszystko, co jest dziwnem, czarującym, i wyższém nad pojęcie (*le monde merveilleux*) to nawet przed zmysły nasze wystawia. Pierwszy naśladuje tylko naturę w jej dziełach najdokładniejszych, w jej porządku i zgodności; drugi obejmuje nawet całą jej sprzeczność moralną, całą jej różnorodność. Przedmioty najprzeciwniejsze między sobą, niskość, wielkość, ironiczne przekąsy, powaga, najgórnijsze dociekania, przeciwne im uczucia; najrozmaitsze tony wysłowienia, wszystko co jest ziemskim i nadziemskim, powiązane skry-

temi węzłami, łączy się i spaja w tym wielkim obrazie. Pierwszy, jako w ciaśniejszym zamknięty obrębie, prędziej może zbliżyć się do dokładności; drugi, jako bardziej dążący w nieskończoność, nie tak łatwo téjże dokładności dosięgnąć zdoła i to jest, co uniewinnić powinno błędy Szekspira; ale że wyżej i śmielój się wznosi, dla tego przynosi nam śmielsze, a zwłaszcza nowe piękności. Możnaż więc dwa rodzaje tak różne od siebie, jednemi ścieśniać prawidły i tę samą narzucać im formę? Czyliż różne osnowy stosownie do różniącej ich natury, nie przynoszą już w zarodzie swoim, pewnej, że tak powiem organicznej formy, podług której też przedmioty rozwinać potrzeba? Naturę wszędzie za wzór wskazujemy; pójdźmyż więc do tego podobno najpierwszego artysty i patrzmy w jak rozmaitych formach rozwija się tam życie i czyli nie stosownie do natury tworów? Wreszcie, gdyby Szyller swoją Dziewicę Orleanu, był ścieśnił w jedności czasu i miejsca, czemżeby była cała sztuka? Gdyby expozycyą swego *Wilhelma Tella*, był uczynił podług prawideł francuzkich, byłżeby tak nagle przeniósł na-

szą imaginacyą w obyczaje Szwajcarów i w ich piękne i wolne siedliska? *Szekspir* w *Hamlecie* mógłżeby silniój podbić uwagę widzów, jak prze-  
 rażając ich na pierwszym wstępie tém okrop-  
 ném zjawiskiem, które całą jest sprężyną sztuki i w ciągu jej wszystko stanowi. Nie kładę ja  
 tego dzieła (to jest *Hamleta*) na jednéj szali  
 z *Machbetem*; więcej ma błędów, działanie powol-  
 niejsze i nie tak obfite. Oziębłość jego wzglę-  
 dem *Ofelii*, w której wzniecał miłość, oziębłość  
 na jęj obłąkanie, na jej śmierć nareszcie, zaled-  
 wie da się wytłómaczyć. Cały charakter *Ham-*  
*leta* zdaje się być na pozór zbiorem tylu śmiesz-  
 ności i wielkości razem; ale baczniejsze oko do-  
 strzeże w téj sztuce wiele zapewne zakrytych  
 zamiarów, wspartych na głębszej jeszcze zasa-  
 dzie. Z tego to stanowiska należy uważać *Ham-*  
*leta*. Autor, w jego osobie umieścił nadzw-  
 yczajną śmiałość w przedsięwzięciach i tyleż nie-  
 pewności w działaniu. Co chwila najposepniej-  
 sza wątpliwość względem cnoty, przeznaczenia  
 człowieka, względem przyszłego życia, zachmu-  
 rza jego myśli. Winowajcy nie w skutku swoich  
 zbrodni; lecz losem jedynie zasłużoną otrzymu-

ją karę, tak, iż zdaje się, że autor miał na celu, rzucenie téj wielkiéj zagadki do odgadnienia śmiertelnym, i okazanie, że namysł i rozwaga osłabia siły moralne i ostudza całą dzielność duszy. Sądzę tu *Hamleta* angielskiego, a nie tego, którego nam wystawiają tłómaczonego z tłumaczenia i przerobienia.“

Proszę uważać, że Ixowie ogłosili także zdanie w roku 1816, w ten czas, kiedy niebyło jeszcze rozprawy Brodzińskiego o klassyczności i romantyczności; a wszyscy nasi późniejsi poeci romantyczni, albo teoretycy romantyczności, byli jeszcze w szkołach, lub w pieluszkach. Niech to zarazem posłuży za odpowiedź na zarzut uczyniony przez Mickiewicza literatom warszawskim, że *chcieli wyciągnąć kordon zdrowia, żeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy.*

\* \* \*

Ówczesna publiczność nazwyczajona do *Gazety Warszawskiej* i *Korrespondenta Warszawskiego*, wychodzących spokojnie dwa razy co tydzień, nie czuła potrzeby pism codziennych i bardzo to było dla niéj obojętną rzeczą, czyli

się o jakim wypadku dowiedziała o cztery dni pierwój, albo później. Co się stało to się nieodstanie, myśleli wszyscy; a cóż nam przyjdzie z prędszych albo późniejszych wiadomości? O obrotach handlowych, przemysłowych, giełdowych, żaden z obywateli nic nie wiedział, a kilku handlujących odbierało doniesienia z zagranicy pocztą, albo sztafetą w ważniejszym razie. Jakże było wygodne powołanie ówczesnych redaktorów obudwu gazet warszawskich! Cóżby oni zrobili, gdyby tak jak teraz, musieli krzątać się za wiadomościami na wszystkie strony, wybijdować gwiazdki, kwadraty, trójkąty i Bóg wie jakie tam znaczki, a co najgorsza, płacić za to wszystko, nie od artykułu, nie od stronnicy, ale od każdego wiersza?

Gdy w 1811 r. pokazała się na niebie kometta, do dziś dnia pamiętna suszą która jój towarzyszyła, nie wspomnieli o niej ani ówczesni redaktorowie gazet, ani żaden z warszawskich matematyków, (astronoma nie mieliśmy wtedy). Dopiero przy artykule wytłumaczonym z niemieckiej jakiejs gazety o komecie, doniesiono nawiasem: (a jest téż i u nas widzialna ta ko-

meta, już od kilku tygodni), i na tém koniec. Ach! któryż z terażniejszych gazeciarzy nie powtórzy razem z poetą :

Świeć się, świeć się wieku złoty!

i nie doda drugiego wiersza

Gdzie nic nie ma do roboty!

Gazeta Codzienna Kicińskiego, zaczęła sprzeczkę i rozprawy z Gazetą Warszawską, dotknęła kilku drażliwych kwestyi i ustała w maju 1819 r. Uczyniła przynajmniej tyle dobrego, że podbudziła obie starsze gazety do wychodzenia cztery razy w tydzień, zamiast dwa. W lat kilka potem, każda gazeta, ulegając potrzebie czasu i coraz to większym wymaganiom czytelników, zamieniła się w pismo codziennie wychodzące.

Po Gazecie Codziennój i kilku zeszytach Kroniki wieku dziewiętnastego, rozpoczął Kiciński wydawanie *Orła Białego*, o którym powyżej wspomniałem. Po jedenastu miesiącach wydawania *Orła*, Redaktor zaprzestał go i utworzył w to miejsce pismo tanie, popularne, dla średnich i niższych klass społeczeństwa. Zaczął



wydawać Kuryera warszawskiego. Współpracownikiem jego był Ludwik Dmuszewski. Zrazu Kuryera drukowano na jednej ćwiartce, w trzech szpaltach, drobnym drukiem; lecz, czyli format się nie podobał, czyli téż, że jeszcze się nie poznano na użyteczności i potrzebie takiego pisma, przedsiębiorstwo nie szło pomyślnie. Kiciński zawarł związki małżeńskie, wyniósł się na wieś, a drukarnią wraz z tytułem i prawem własności Kuryera Warszawskiego, odstąpił Ludwikowi Dmuszewskiemu, który potrafił podnieść i upowszechnić to pismo, a przez pojęcie ducha publiczności warszawskiej i przez zastosowanie się do niego, uczynił je nieuchronnie potrzebném.

Około 1821 r., nie tylko u nas, ale i we Francyi, która w literaturze ciągle była przewodniczką naszą, wszyscy pragnęli jakiejś zmiany, wszyscy wyglądali jakiego pisarza, któryby nową drogą poszedł. Téj to potrzebie nowości, przypisać należy nadzwyczajne powodzenie dwóch dzieł ówczesnych: *Dumań poety*, Lamartina i *Samotnika* pana d'Arlincourt. Pierwszy, opiewał harmonijnym wierszem, pełnym śmia-

łych zwrotów, najważniejsze kwestye. Bóg, wieczność, nieśmiertelność, przyszłość człowieka, były przedmiotem jego pieśni. Dumania poety wślawiły go na zawsze i nie przewyższyło ich żadne późniejsze dzieło tegoż autora. Arlin-court pozawracał głowy *Samotnikiem*, podobnie jak w dwadzieścia lat potem, pan Sue *Tajemnicami* Paryża. Kobięty unosiły się, drżały na każde słowo *Samotnika*, to jest Karola Zuchwałego księcia Burgundyi, gubiły się w odmęcie obrazów, porównań, uniesień i wykrzykników. Byłem tak szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem, że z pod pióra mego wyszły pierwsze przekłady tych dwóch autorów. *Dumanie Lamartina* o nieśmiertelności, zamieściłem w *Wandzie* z 1821 roku. I w rzeczy samej, były tam głębokie myśli językiem poetycznym wydane, które tylko do *Nocy Junga* porównać możemy. Naprzykład, tak wyraża się poeta o duszy ludzkiej:

Duchu, nieznany gościu, niech się spytam ciebie,  
 Powiedz, w jakimże pierwój zamieszkałeś niebie?  
 Powiedz, kto cię tu zesłał; jakaż to potęga,  
 Ciebie i ciało nasze skrytym węzłem sprzęga?  
 A gdy w końcu porzucisz jego martwe brzemie,  
 Dla jakiegoż pobytu, opuścisz tę ziemię?

Czy o wszystkiém niepomny, za bramą grobową  
 Na rozkaz Stworzyciela, istność weźmiesz nową,  
 I znowu będziesz w troskach wiódł doczesne życie?  
 Czy téż na łonie Boga, w pierwotnym pobycie,  
 Tak, jak na toś zasłużył występkiem lub cnotą,  
 Będiesz wiecznie wyklętą, lub szczęsną istotą?

A kiedy po upływie lat trzydziestu i sześciu, przeczytałem kilka stronnic tłumaczenia *Samo-tnika*, nie mogłem wstrzymać się od pustego śmiechu, myśląc, jakim sposobem można było unosić się, nad tak nadętym w słowach, a pustym co do rzeczy utworem. Chciano nowości, chciano pozbyć się pani Genlis, pani Cottin, Delila i całej ówczesnej literatury. Lecz jednocześnie zjawił się Walter-Scott i Bajron w Anglii, poznano poetów i prozaików niemieckich, nie dawno zgasłych lub żyjących jeszcze i w literaturze tak naszej jak francuzkiej, nowa era nastąpiła.

\*            \*            \*

Na zamknięcie tej drugiej części moich Wspomnień, skreślę ogólny zarys przemian, jakim zaczęła ulegać Warszawa.

Po zawarciu pokoju, gdy z kraju naszego i ze stolicy ustąpiły wojska wszystkich niemal narodów, bardzo smutnie wyglądało nasze miasto. Większa część pałaców stała pustkami, jako to: Feliksa Potockiego i Radziwiłłowski, (dziś gmach Rządu Gubernialnego przy ulicy Miodowej), Sapieżyński przy ulicy Zakroczymskiej, Jabłonowski i Mniszkowski na Senatorskiej, Ogińskich i Zielińskich (tam gdzie jest teraz Bank i Kommissya Skarbu), Ordynackie na Nowym Świecie. Pałac Sułkowskich leżał w gruzach i popiele; oficyny od gmachu Kazimirovskiego także stały się pastwą ognia. Ludność miasta spadła na sześćdziesiąt i kilka tysięcy i cała skupiła się, jak krew do serca, do murów Starego i Nowego Miasta, do ulicy Długiej, Miodowej, Senatorskiej i Krakowskiego-Przedmieścia. Nalewki, Leszno, Nowy Świat, pełne były domków drewnianych, na pół w ziemię wrosłych, a przy głównych ulicach było ich niemało. Dzisiejszy ratusz, po wyprowadzeniu lazaretu z jego sal, stał otworem każdemu; studenci grywali tam w piłkę i gonili się z pokojów do pokojów. Toż samo powie-

dzieć można o innych spustoszałych gmachach. Ponury Marywil, w czworobok zbudowany, z małym kościółkiem na środku i ledwie w trzeciej części zamieszkały, zajmował znaczną część placu teatralnego i samą siedzibę Teatru. Na dalszej przestrzeni, stały klitki na pół walące się, starym Pocijowem zwane.

Było to niegdyś siedlisko drobnego kramarstwa i handlu starzyzną, dopóki żydów nie wydłono, najprzód na Królewską, a potem na Franciszkańską ulicę. W odległych stronach, zaczawszy od Dzieciątka Jezus, aż pod rogatki Mokotowskie z jednej, a pod Wolskie z drugiej, stały tu i owdzie browary, gorzelnie i młyny, a pomiędzy niemi chaty słomą kryte, ogrody i pola zasiane zbożem. Na Faworach, gdzie teraz Cytadella, były jeszcze domki sławnych marnotrawców i rozpustników z czasów Stanisława Poniatowskiego, także przez nikogo nie strzeżone. Pewnego razu, poszedłem tamtędy do Marymontu, wraz z drugim współlucznikiem, a znalazłszy drzwi otworem, weszliśmy najprzód do ogrodu zarosłego chwastem, a potem do pokojów. Niedźwiedź kamienny, lecz prawdziwą

niedźwiedzią skórą oblepiony, z pazurami rzeczywistemi, ze szklanemi świecącemi oczyma, siedział przy wnijsciu i był jedynym stróżem tego domku. Jeden pokój był wyłożony pięknemi muszlami, zamiast obicia lub malowania, których mnóstwo powydzierano, drugi był nigdyś cały zwierciadlany, lecz już w niém tylko były szczątki potłuczonych tafli. Powązki, nigdyś willa Księcia generała ziem Podolskich, jeszcze przedstawiały ślad tych piękności, których pamiątkę zostawił Trembecki w wierszach swoich. Stał jeszcze amfiteatr, parę domków w parku, groty z kamieni ułożone, kępa oblana wokoło wodą, z mostkiem już bardzo wątłym, i piękny zwierzyniec w guście angielskim. Było to ulubione miejsce naszych przechadzek, najdogodniejsze dla uczniów mieszkających po większej części na ulicy Świętego Jerzego i Nowém Mieście. Cóż mam jeszcze dodać? Chyba to, że większa część ulic była niebrukowana, a zamiast rewerberów paliły się przed domami biedne latarnie. Porównajmy ten ogólny obraz z teraźniejszym stanem miasta i oceńmy, jaki



postęp, zrządził pokój, przeciąg czasu i troskliwa opieka Rządu.

Jeszcze wtedy stał dawny ratusz na Starém Mieście, i dwie starożytne bramy, Krakowska i Nowomiejska. Placu przed Zamkiem nie było kamienice i oficyny zamkowe, dochodziły do teraźniejszego rogu ulicy Podwala, aż do pałacu zwanego *Pod Blachą*, który dziś odsłonięty stoi czołem do posągu króla Zygmunta. Brama Krakowska i kamienica Minasowicza, tuż obok niej stojąca, zaledwie o dwadzieścia łokci odległe były od tego pomnika. Za Krakowską bramą, wązka uliczka prowadziła do rogu ulicy Święto-Jańskiej. Wszystkie te domy, zakupiono na Skarb, zwalono i zrobiono plac przed zamkiem, jaki teraz widzimy.

W środku rynku Starego Miasta, stał czworoboczny ratusz, w około którego były zabudowania niższe, a w nich rozmaite kramy. Na boku stała klatka żelazna: pamiętam, że w niej widziałem zamkniętą przekupkę warszawską: takiej karze podlegały one, podług starego zwyczaju, za kłótniwość i miotanie obelg.

Jak to w sercach ludzkich tkwi przywiązanie

do dawnych zabytków, pomników i zwyczajów! Chociaż zrzucenie ratusza dodało światła i powietrza zacieśnionym domom Starego Miasta przecież nie podobało się staro - miejskim obywatelom. W rok po uprzątnieniu placu, wystawiono tam okrągłą szopę dla widowiska panoramy. Właśnie wtenczas przyszedł do mnie z obuwiem majster szewcki, prawdziwy syn staréj Warszawy.

— Wielmożny panie, rzecze do mnie, co się téż to dzieje, co się dzieje! Już chyba koniec świata nastąpi. Już nie wiem, czego te utrapione Farmazony nie wymyślą.

— Co takiego stało się, panie majstrze? zapytałem.

— A czyż to się godziło zrzucać takiego szanownego ojca, całej Warszawy, taki stary ratusz, co Bóg wie, jak długie wieki stał na miejscu nietknięty! I po co jeszcze, po to, żeby na jego miejscu skleić jakąś psią budę.

Pan majster rozumiał w prostocie ducha, że owa psia buda, to jest szopa dla panoramy, na zawsze tam pozostanie. Uspokoilem jego tro-

skliwość i przedstawiłem mu, że bez starego ratusza jest piękniej i zdrowiej. Nie dał się przekonać.

— My zawsze w Starém Mieście byliśmy zdrowi, odpowiedział, bo żyjemy skromnie, pobożnie i pracowicie, a ten nowomodny plac nie pomoże nam do lepszego zdrowia i dłuższego życia.

---

# MOJE WSPOMNIENIA.

## CZEŚĆ TRZECIA.

---

### I.

Wyjazd z Warszawy. — Pobyt w Kujawach. — Usiłowania go  
spodarskie. — Obraz Kujaw. — Rodzina obywatelska. — Ignacy  
Leszczyński. — Wyjazd z Kujaw. — Wzmianka o Konstantym  
Świdzińskim. — Powrót do Warszawy.

Zatrudnienia moje literackie i nauczycielskie,  
przerwała konieczność opuszczenia Warszawy  
na czas niejaki. Wspomniałem na początku  
tych zarysów, że po ojcu moim została się ma-  
jętność w Kujawach, opustoszała i znacznym  
długiem obciążona. Po wojnach Napoleońskich,  
trafił się dzierżawca i wziął kontrakt dziewię-  
cioletni. Okoliczności zrzędziły, że w czwartym  
roku dzierżawy, zniewoleni byliśmy odebrać tę

majątność. Inny dzierżawca się nie trafiał; nie podobna było spuszczać się na rządcę. Majątek bez inwentarza, wymagał całej zabiegłości właściciela. Młodemu umysłowi mojemu, podobala się zmiana trybu życia i zatrudnień. Bywałem dosyć często w Kujawach i zachowałem życzliwe stosunki z sąsiedztwem. Zdawało mi się, że potrafię podźwignąć majątek ojczysty i przy nim się utrzymać. Bez żalu zatem opuściłem i wiersze i prozę i kółko literackie, a kupiwszy na Pradze czwórkę fornalskich koni i bryczkę tak zwaną końską, wyjechałem z Warszawy w pierwszych dniach lipca. Matka moja miała przyjechać do mnie za kwartał, jak cokolwiek dom urządzą.

Roboty zastałem zupełnie opóźnione, tak co do sprzętu, jak co do uprawy roli. Do majątności Swiesza należało trzydziestu i dwóch kolonistów niemieckich, na wieczystém prawie i bardzo miernym czynszu osadzonych. Do nich udałem się o pomoc. Niemcy, częścią bezpłatnie, przez życzliwość dla młodego dziedzica, częścią za ofiarowany podarunek, po parę sztuk drzewa na krokwy i żerdzie, przybyli z pługami,

zorali grunt, potem dopomogli do sprzętu siana i żniwa, tak, iż z końcem sierpnia wszystko było w stodołach, a na Ś-y Michał siew ukończony. Pszenica nie najgorzej płaciła. Żydzi z pobliskiego miasteczka Piotrkowa, zapłacili z góry za kilkadziesiąt sążni drzewa; tak więc nad wszelkie spodziewanie, mogłem nie tylko potrzeby opędzić, lecz zapłacić półroczny procent od ciężarów hypotecznych. W wolnych chwilach od gospodarstwa, a jakże ich jest wiele, zająłem się czytaniem poważniejszych dzieł historycznych i naszych autorów klasycznych, w które zaopatrzyłem się w Warszawie.

Dwór spustoszały i grożący zawaleniem się, w jednej części zabezpieczyłem od upadku i miałem nadzieję, że go wyporządzić zdołam. Na jesieni, gdy już prace około roli nie były tak naglące, wyjeżdżałem w sąsiedztwo o dwie lub trzy mile. Matka przyjechała z Warszawy przy końcu listopada.

Z mojego pobytu w tej części kraju naszego, skreślę wam obrazek, nakształt rodzinnej powiatki, za którego wiarogodność zaręczam.



Wszystko tam jest rzeczywistością, prócz nazwisk, które zmieniłem.

### RODZINA OBYWATELSKA.

Kujawy, znane od dawna z żyzności gruntu, dzieliły się na *polne* i *leśne*. Było tak przed czterdziestu laty; bo dziś przez wyniszczenie lasów, wszystkie zamieniły się w *polne*. Lecz właściwe *polne* Kujawy słynęły żyznością ziemi, której chyba część Gostyńskiego wyrównywa, a samo tylko Hrubieszowskie przewyższa. Liczne zatem były w Kujawach wioski i dwory, na obszernych czarnoziemiach rozsypane. Nie ma tam lasów, bo ziemia za nadto jest dobra, aby ją pod las przeznaczać można. Wielkie lasy pod Toruniem, po drugiej stronie Gopłai w tak zwanych leśnych Kujawach, ze strony Koła i Sępólna dostarczały opału. Oprócz tego, nasi przezorni i rozsądni ojcowie, przy każdej niemal wiosce, zostawili piękny gaj dębowy, kilkanaście morgów a czasem i włókę roli obejmujący. Taki gaj dostarczał drzewa porządkowego, chłodu w upał, schronienia przed

śłotą, mile urozmaicał jednostajność dalekich łąnów, a biednemu ludowi udzielał skromnego, ale niezbędnego opału. Późniejsi posiadacze powycinali te gaje, przez co bardzo wiele wdzięku odjęli téj okolicy. Lud dorodny, ochoczy do pracy i do zabaw, pierwsze miejsce po Krakowiakach zajmował. Znane są ich piosenki i tańce. Zdaje się nawet, że jakaś wspólność plemienia łączyła przed wiekami Kujawiaków i Dobrzyńiaków z Krakowiakami; ślady tego, pozostały dotąd w wysmukłym wzroście, w żywości temperamentu i w popędzie do mściwości za doznane krzywdy.

Obywatele, to jest szlachta Kujawska, oddaleni od Warszawy, długo zachowywali dawną szczerłość i prostotę. Jeszcze za moich lat młodocianych, w bardzo wielu porządnym i zaможnym domach, nie było zbytku, ani w powozach ani w pomieszkaniu i meblach, ani w przyjęciu gościa. Nieraz po obiedzie, rozmawiając to o gospodarstwie, to o tak licznych i ważnych wówczas przemianach politycznych, zawodach i nadziejach, odwilżaliśmy usta nasze, smaczném wytrawném domowém piwem.

O winie mało kto pomyślał, a jeżeli niém częstowano, to francuzkiém, sprowadzaném z Bydgoszczy i Torunia, bez opłaty cła i kosztujacém po sześć złotych *garniec*. Ale już zbytki zaczynały się szerzyć. Za pruskich czasów, gdy obywatele przestali zajmować się sprawami politycznemi, a do naukowego zajęcia mało mieli żywiołów, zaczęli bawić się i tracić na zabój. Szalonym marnotrawcom Berlin otworzył kassy swoje. Wojny Napoleońskie zaskoczyły zadłużonych i nie mających zasobu. Ciężary wojenne wtrąciły obywateli Kujawskich w bardzo przykre położenie i może w żadnej części kraju naszego, nie nastąpiło tak zupełne niemal przejście majątków w inne ręce, jak w Kujawach. Mógłbym kilkanaście wiosek wyliczyć, gdzie bywałem w młodocianych latach moich, których właściciele wyprzedali swoje majątki i przenieśli się w inne strony: lecz to nie należy do mojego obrazu i nie chcę zresztą, dla ich potomków, obudzać bolesnego wspomnienia.

Przed czterdziestu i sześciu laty, to jest przed wojną 1812 i 1813 roku, było w Kujawach obok domów na pół-arystokratycznych i marnotra-

wnych, nie mało zaczęj szlachty pomiernego stanu. Z jedną taką rodziną, matka moja już owdowiała, połączona była zrazu sąsiedzką znajomością, a potém ścisłą przyjaźnią.

Otóż więc, tuż przy samėj terazniejszej granicy pruskiej, (w epoce księstwa Warszawskiego, granica ta szła daleko za Bydgoszczą), jest wieś obszerna i ludna: nazwę ją Brodowem, bo wspominając o wypadkach nie tak dawnych, muszę zmienić nazwiska.

Ta wieś od wielu lat należała do pani wojewodziny Dąb.... osoby już w późnym wieku, która większą część majątku wypuściwszy synowi, zostawiła Brodowo dla siebie. Od wielu lat dzierżawił ją pan Miłowieski, obywatel zaszczytny, rządny, prawy. Chodził po polsku, pamiętam go dobrze, twarz okrągła, rumiana, pogodna, żupan piaskowy, wzrost mierny, tusza nie zła, lecz nie zbyt otyła, czyniły go typem owęj naszej starodawniej szlachty, której obrazy czytamy z takim upodobaniem, w powieściach naszych znamienitych pisarzy. Gospodarował po dawnemu, bez wielkiego wysilenia i mozolów. Rodzina jego, składała się z sześciu synów

i ośmiu córek. Najstarszy syn już był w wojsku i poległ w kampanii 1812 roku, dwaj młodszy pomagali ojcu w gospodarstwie, a trzech jeszcze było niedorostków. Toż samo stopniowanie zachodziło i pomiędzy córkami. Hoże, przystojne, piękne nawet dziewice, były czystym prawdziwym wzorem dawnego plemienia polskiego, dziś już tak wyrodzonego. Przy tak liczнім rodzeństwie, nie było tam zbytku i wystawy. Dzierżawca wioski, chociaż jednéj z najpiękniejszej w Kujawach, nie mógł ani pomyśleć o zrobieniu majątku. Za to dziękowano Bogu, że nie było niedostatku, że rok za rokiem zapłacono dzierżawę, zaspokojono wydatki domowe i łożono na skromną lecz pobożną i uczciwą edukacją tak licznego potomstwa. Rodzinę państwa Miłowieskich, łączyło rzadkie ogniwo jedności i pomocy braterskiej, a cechą wszystkich, tak ojca i matki, jak córek i synów, była skromność, łagodność i pobożność. Nikt nie odosobniał się, wszyscy pracowali około wspólnego dobra i to właśnie stało się ich ocaleniem, gdy przyszły na nich dni ucisku i niedoli.

Średni z braci Miłowieskich był młodym

człowiekiem, bardzo uprzejmym. Szczególne miał zamiłowanie w pszczółnictwie i nikomu tak dobrze nie wiodły się pszczoły jak jemu. W Brodowie, u rodziców swoich, zaprowadził pasiekę, która koło dwóchset rojów liczyła. Roje trzymał w słomianych ulach, czyli koszkach, jak je zwykle nazywają. Wdzięczne robotnice, wynagradzały hojnie młodemu pszczolarzowi, starania koło nich podejmowane. Tak znaczna pasieka przynosiła piękny dochód i nie małą była pomocą. Gdzie tylko bywał pan Piotr, a w całej okolicy był pożądanym gościem, tam wszędzie zaprowadzał pasieki, doglądał je, przyjeżdżał w porze rojenia się, opatrywał na zimę, nauczał jak się z pszczołami obchodzić. Bywając w domu naszym, podarował nam dwa roje, a z nich tak prędko wzrosła pasieka, że w trzecim roku już dwadzieścia kilka rojów liczyła. Prawda, że ogród obszerny, obsadzony wkoło wysokimi lipami i szpalerami lipowymi przecięty, dostarczał im obfitego pokarmu.

Około 1813 r., umarła wojewodzina Dąb.... dziedziczka Brodowa, w wieku bardzo sędziwym. Stary pan Miłowieski, wypłacając jej co-



roczną dzierżawę, brał od niej staropolskim zwyczajem, kwitki na kawałku papieru, podpisane tylko przez nią, bo starościna już nie była w stanie napisać całego kwitu.

Jéj syn, wojewodzie, posiadał obszerne dobra w rozmaitych stronach kraju naszego. Był to człowiek dziwaczny i prędko uprzedzający się, a przy tém tak uparty, że jak raz już o czém utworzył sobie wyobrażenie, to go niczém przekonać, niczém nakłonić nie można było. Do obszernych majątków swoich, potrzebował plenipotentą. Panu plenipotentowi podobiała się najstarsza córka państwa Miłowieskich, właśnie w dobie wieku i urody będąca. Nie uzyskał wzajemności panny i dostał, jak dawniej mówiono, odprawę. Ztąd powstała nieprzebragana nienawiść i zemsta. Plenipotent przełożył wojewodzie, że kwity jego matki, że przyznane i podpisane przez nią niektóre wynagrodzenia dzierżawcy, za bonifikacye i straty wojenne, są podrobione, czyli po prostu mówiąc, fałszywe, że zatém należy się od dzierżawcy około trzydziestu tysięcy złotych. Opatrzony zupełnie nieograniczoném pełnomocnictwem swego pryn-

cypała, uzyskał exmissyą państwa Miłowieskich z Brodowa, a za uroszczone pretensye, przyaresztował wszystkie inwentarze, pszczoły a nawet i część sprzętów domowych. Daremnie pan Miłowieski jeździł do jaśnie wielmożnego wojewodzica, zapewniając na sumienie swoje i na Boga, rzetelność i prawdę kwitów jego matki; daremnie chciał się zdać na sąd obywatelski; daremnie najszanowniejsi obywatele z okolicy, osobiście i listownie usiłowali przekonać wojewodzica, że ten obywatel, szanowany w całych Kujawach, nie jest zdolny dopuścić się podłości przeniwierstwa, że gotowi są zaprzysiąc rzetelność podpisu jego matki. Wojewodzie zawsze jedno powtarzał: „Ja się w to nie wdaję, wszystkie interessa zdałem na mojego plenipotentę; niech robi to, co uznaje za rzecz sprawiedliwą i zgodną z mojem dobrem. On za to odpowie Bogu i ludziom.“

Tak to głupstwo i upór doprowadza do takich samych czynów i takie same skutki zrządza, co złość i przewrotność; macie tego przykład na wojewodzicu. Może to nie był zły człowiek w gruncie serca, ale powodowany uporem

i uprzedzeniem, naraził zacząć i pocziwą rodzinę obywatelską, na ciężkie zmartwienia i prawie na ostateczny upadek.

Ciągnęła się więc sprawa. Tym czasem państwo Miłowiescy, wzięli w dzierżawę niewielką wioskę, Kąty, właśnie graniczącą z posiadłością po ojcu moim. Zaledwie tyle uratowali z całego mienia swego, że przy dobroci i względności obywatela, który im wypuścił tę wioskę, widząc ich smutne położenie, jako tako żyć mogli, przynajmniej nie o głodzie i nie bez przytułku. Lecz jedna bieda nigdy sama nie przyjdzie. Na domiar nieszczęścia, pożar zniszczył dwór w Kątach, a z nim i resztki ruchomości państwa Miłowieskich. Ten cios dobił sędziwego ojca, którego zdrowie i tak już było zachwiane zmartwieniem. „Nie tyle mnie boli, mawiał on nie raz, strata mojego mienia, co zarzut mojej sławie uczyniony. Całe życie pracowałem na to, aby sobie na pocziwe imię zasłużyć, a tu mnie obwiniają o fałszowanie podpisów mojej dawniej dziedziczki, o korzystanie z jej dobroduszości i podeszłego wieku.“ W kilka miesięcy po spaleniu dworu w Kątach, gdy ca-

ła ta zacna rodzina musiała mieścić się w dwóch izbach chłopskich, umarł pan Miłowieski, otoczony gronem dzieci, a przy zgonie przebaczył jako chrześcijanin, prześladowcy swojemu, owemu plenipotentowi, i wojewodzie, który był ślepym narzędziem złości swojego sługi. Sprawa z wojewodzie osądzona została w trybunale pierwszjej instancji, na stronę pokrzywdzonej rodziny; plenipotent zaapellował, przegrał powtórnie i odwołał się do sądu najwyższego. I tam podobnego doznał losu. Kwity wojewodziny ostatecznie sąd uznał za ważne, a rodzinę odesłał do osobnej drogi, aby w niej żądali wynagrodzenia za poniesione straty. Znowu zatem sprawa ciągnęła się przez wszystkie trzy instancje. Proces ten trwał lat ośm. Ile przez ten czas pani Miłowieska i jej dzieci strat poniosły, ile wydatkówłożyć musiały na prowadzenie sprawy, to każdy znający prawo, zrozumie i zgodzi się na moje zdanie, że ostatecznie zasądzone trzydzieści tysięcy od wojewodzica na rzecz Miłowieskich, nie wynagrodziły ani połowy strat i wydatków, a cóż mogło wynagrodzić śmierć ukochanego ojca, łzy matki i biednych sierot?

Wtenczas to, rezygnacya, pobożność chrześcijańska, przywiązanie braterskie, dopomogły téj zacnej rodzinie do zniesienia tylu ciosów.— Zmniejszyło się jój kółko. Dwaj najmłodsi synowie weszli do wojska polskiego, które formowało się z woli Najjaśniejszego Cesarza ALEXANDRA I, w 1815 r. Dwie córki poszły za mąż za urzędników powiatowych; brat rodzony pana Miłowieskiego, obywatel zamożny, zajął się losem jednego synowca i synowicy. Dwie córki bawiły się w sąsiednich domach obywatelskich. Przy matce pozostało dwóch synów i trzy córki. Pan Piotr, który chociaż trzeci z porządku, był głową rodziny, doglądał prowadzenia nie-szczęśliwój sprawy. Młodszy brat trudnił się gospodarstwem wiejskiem, na małej wiosce, którą wzięli w dzierżawę. W owym czasie, ilekroć ze szkół, a następnie z uniwersytetu przyjechałem do matki, w Kujawy, zawsze odwiedzałem dom pani Miłowieskiej i zachowałem wspomnienie ich uprzejmości i tych cichych cnót domowych, któremi osładzali dolę swoją. Gdy przecież po ostatecznej wygranej wyekwowali na wojewodzicu, najprzód część,

a potém resztę zasadzonój pretensyi, ich byt polepszył się trochę. Wzięli prawem zastawy, wioskę w Kujawach borowych leżącą i spodziewali się, że tam czas już pewien zamieszkają.

Było to w 1821 roku, gdym z Warszawy na wieś przyjechał.

Pan Piotr Miłowieski, którego znałem już dorosłym mężczyzną, gdy ja byłem jeszcze uczniem klasy trzeciój, liczył około trzydziestu lat; blondyn, średniego wzrostu, trochę już łysy; zawsze był tak miłym w towarzystwie i stosunkach obywatelskich, iż każdy kto go tylko poznał, kochać go musiał. Ustaliwszy ile było można los matki i siostr, po ukończeniu owój nieszczęśliwój sprawy z wojewodzie, umyślił ożenić się. Powziął przywiązanie i pozyskał wzajemność córki obywatela z Kujaw pruskich, mieszkającego blisko linii granicznój. Wowych czasach spokojnych, przejazd do kraju pruskiego tak był ułatwiony dla obywateli nadgranicznych, iż dosyć było, proste świadectwo wójta gminy okazać strażnikowi przy komorze. Pan Piotr Miłowieski proponował mi, abym pojechał z nim do Zakrzewa, do domu



rodziców jego przyszłej. Wsiadł na moją bryczkę, a jego siostry pojechały końmi i powozikiem swego brata. Odległość nie przenosiła dwóch mil. Był to dzień ciepły i pogodny, około dwudziestego lipca. Powiedziałem już, że gdzie tylko bywał pan Piotr Miłowieski, tam być musiała pasieka. I w Zakrzewie, już liczyła przeszło trzydzieści ulów, bo pan Piotr od lat dwóch bywał w tym domu. Przyjęto mię z prawdziwie staropolską gościnnością. Przyszła małżonka pana Piotra, była przystojną i dobrze ułożoną panienką; toż samo mogę powiedzieć o jej dwóch siostrach, czy też kuzynkach, bo tego już dobrze nie pamiętam. Siedzimy przy śniadaniu, gdy w tém wpada chłopak dozorujący pasiekę i woła:

— Proszę państwa, pszczoły się roją i to aż kilka ulów razem; trzeba je obsadzać, bo ja sobie rady nie dam.

Na te słowa, pan Piotr i wszystkie panny wybiegają przez szklane drzwi do ogrodu, gdzie na ławkach stały rzędy ulów słomianych. Roje pszczół uwijały się w koło.

— Panie Franciszku, rzecze do mnie pan

Piotr, uprzedzam cię, abys żadnej pszczoły nie zganiał i nie trącił. Choćby cię jak najwięcej obsiadło, nie poruszaj ich, a nic ci nie zrobią. Nasze panny wiedzą o tém dobrze. Pszczoła kiedy się roi, wtenczas nie kasa. Ale pamiętaj, abys której przypadkiem lub z umysłu nie zgniótł, wtedy bowiem wpadłyby na ciebie gromada. Musisz pomagać pannom do obsadzenia rojów.

Obsadzenie to odbywało się bardzo prostym sposobem. Dwie panny wzięły ul słomiany, wysmarowany wewnątrz melissą i zwracały go w tę stronę, gdzie kłęb gęsty pszczoł wyleciawszy z ula, leciał nad ziemią. Skoro tylko główna gromada, razem z matką dostała się wewnątrz słomianego ula, wtedy stawiano go ostrożnie na ławce. Mnóstwo pszczoł czepiało się jeszcze na sukniach i na włosach. Panny stały spokojnie przy ulu, a pszczoły jedna za drugą odlatywały do swój nowej siedziby. Po tém zwolna oddalano się od ula, a pszczoła za pszczołą opuszczała je: ostatnia odleciała, gdy wchodziły do pokoju. Poszedłem za tym przykładem i pomagając tak miłemu zatrudnieniu,

obsadziłem dwa roje. Pierwszy raz wtedy, a zapewne i ostatni w życiu, byłem bartnikiem. Przestroga i doświadczenie pana Piotra, sprawdziły się zupełnie. Obsadzono w tym dniu ośm rojów; nie użyto ani kapy ochronnej, ani podkadan, ani dzwonienia i nikogo żadna pszczoła nie ukąsiła. Wieczorem w noc pogodną, wróciliśmy do domu.

Może rozumiecie, że pan Piotr Miłowieski ożeniwszy się ze swoją narzeczoną, jest dziś sędziwym obywatelem, patryarchą wnuków i wnuczek? Niestety, nie mogę zakończyć tego wspomnienia, tak miłym obrazem! Ukorzmy się przed niedościgłymi wyrokami Opatrzności Bożej, która tego wzorowego syna i obywatela, powołała wcześniej do przyszłego życia, może dla tego, aby go od ciężkich prob, cierpień i zawodów uchronić. Ślub jego był naznaczony na jesieni, przed adwentem tegoż roku. Na parę tygodni przed ślubem, narzeczona zachorowała na gorączkę tyfoidalną. Pan Piotr Miłowieski, nie odstąpił jęj ani na chwilę, przez cały czas choroby. Trzy tygodnie walczyła ze śmiercią, nareszcie młodość zwyciężyła i chora

przyszła do zdrowia, lecz on wycieńczony bezsennością i zmartwieniem, dostał téj saméj choroby i w dziesięć dni potém życie zakończył.

Matka nie mogła znieść straty ukochanego syna i wkrótce pośpieszyła za nim do grobu, aby w lepszym świecie połączyć się z małżonkiem i towarzyszem swojej młodości, i z synem, który był podporą i nadzieją jéj lat sędziwych. Ogniuwa wzajemnego przywiązania nie rozerwały się ze zgonem tych, którzy byli duszą téj rodziny. Pozostali bracia i siostry, zawsze z sobą zgodni, zawsze kochający się wzajem, przebywają za wspólną pomocą, ciernistą drogę tego życia. Dziś jeszcze żyje dziewięcioro z tego rodzeństwa. Panny powychodziły za mąż i owdowiały. Bracia są już sędziwemi ojcami rodziny. Lecz zawsze duch miłości braterskiéj, ożywia ich serca i spokojnym krokiem zbliżają się do téj przystani, która nas wszystkich czeka.

Tak to jedność i miłość utrzymuje rodzinną zagrodę, przy niéj zniesiemy najsroższe ciosy, największe przeciwności; bez niéj w proch rozsypie się dostatek, a życie będzie martwém i zimném, jak głaz grobowy.

W tym to czasie, poznałem się z Ignacym Leszczyńskim, znakomitym agronomem naszym, którego niespodziewany i smutny zgon, wzbudził takie przerażenie i żalność. Od 1821 r., żalność nasza trwała nieprzerwanie, aż do kresu jego życia.

Kogokolwiek obchodzi postęp gospodarstwa w kraju, temu nazwisko Ignacego Leszczyńskiego obcém nie jest. Wszystkie pisma oddały hołd jego pamięci, wyliczały podjęte prace, położone zasługi. Chciałbym skreślić obraz jego charakteru, trudów i wpływu, jaki przykładem swoim na okolicę i na kraj cały wywierał.

Nie wielu jest ludzi, którzy czując w sobie silne powołanie do jakiego zawodu, obiorą go za cel życia całego i z niezłomnym wytrwaniem pracują. Większa część idzie za losem, dąży bez zajęcia i zamięłowania, ścieszką na którą weszła i żyje bez uszczerbku dla siebie i dla społeczeństwa, ale też bez pożytku i sławy. — Do małej liczby wybranych należał Ignacy Leszczyński. Od pierwszego niemal dzieciństwa już poczuł zamięłowanie do gospodarstwa, oddał mu się z całym zapalem lat młodzieńczych,

wytrwał w nim do lat sędziwych, z całą mocą rozwagi i doświadczenia.

W Rocznikach gospodarskich, skreślił ś.p. Leszczyński, jak ciężkie próby, zawiedzenia i straty wytrzymać musiał, jak przechodząc z jednéj dzierżawy do drugiej, nie mógł ani gospodarstwa rozwinąć, ani pocieszyć się tą myślą, że jego zachody zabezpieczą mu przyszłość. Rzeczywisty zawód gospodarczy Ignacego Leszczyńskiego, zaczyna się z nabyciem majątności Belna i Pomorzany w powiecie Gostyńskim. Tam on przeżył lat trzydziści i jeden, tam okazał, co można zdziałać na niewielkim obszarze ziemi, tam imię jego, co raz to głośniejszém się stawało, tam nareszcie dobił się powszechnego w obywatelstwie szacunku.

Gospodarstwo rolne, rozmaite cele mieć może. Dla jednych jest zabiciem czasu i polem przyjemnego, chociaż częstokroć zgubnego próżnowania i marnéj wystawności. O takich nie ma co mówić. Drudzy szukają w gospodarstwie środków zrobienia majątku; samolubstwo wyłącznie powoduje niemi; tacy, jako dzierżawcy, w ciągu swego kilkoletniego zarządu, wyssa



majątek tak, że przez długie lata podźwignąć się nie zdoła; a jako dziedzice, zapominają o włościanach, o posłudze publicznej, zgola o wszystkiém, co ożywia i wznosi życie obywatela. Inni znowu, nie chcą sobie wielkich zadawać mozolów, żyją skromnie, cicho, z dnia na dzień, nieszkodliwi, lecz i niepożyteczni i sobie i społeczności: takich podobno najwięcej.

Lecz zjawiają się ludzie, którzy gospodarstwo rolne, podnoszą do godności nauki i poświęcenia. Takich wzorem był zmarły Leszczyński i sprawiedliwie na ich czele stawić go trzeba. On umiłował gospodarstwo wiejskie bez osobistego interesu; spodziewał się wprawdzie znaleźć w niém zapewnienie bytu swego i licznej rodziny, lecz to nie było głównym jego celem. Mówię to śmiało i z przekonania, bo gdyby tylko ubiegał się za robieniem majątku, to przy tak niezłomnej woli, wytrwałej pracy, nauce, oszczędności w domowych wydatkach, przy korzystaniu z wszelkich źródeł dochodów gospodarczych, byłby, rzucając się w spekulacye, w kupna i sprzedaże dóbr, zostawił tak znakomity majątek, jak tego widzimy liczne

przykłady, niemal w każdym powiecie kraju naszego.

Lecz Ignacy Leszczyński, miłując gospodarstwo rolne, nie żałował kosztów, nie pominął żadnego odkrycia, żadnej nowój myśli, która nosiła dechę postępu; czynił doświadczenia, sprowadzał wszelkie ulepszone narzędzia gospodarskie, poprawiał rasę bydła i ówiec, a wszystkich niemal wyprzedził w zaprowadzeniu cukrowni i uprawie buraków na wielki rozmiar. Gospodarstwo zajmowało wszystkie władze jego umysłu i ciała. Nie znał wypoczynku, chwile które poświęcić musiał dla stosunków obywatelskich i rodzinnych, zastępował nocném czuwaniem. Wglądał w każdy szczegół, wszędzie zaprowadził porządek i karność, na sprawiedliwości i rozsądku oparte. Dla tego to, gospodarstwo w Belny było praktyczną szkołą rolników. Dla tego, mnóstwo młodzieży przybywało tam na praktykę. Przyjmował ich Leszczyński, obywatelskiém i ojcowskiém sercem, ale każdemu z góry oznajmił, że mu nie odmówi rady, nauki i własnego przykładu, ale że w domu swoim nie chce mieć rezydentów i amatorów, niby to praktykujących.

Co można zdziałać takim poświęceniem, takim wyrzeczeniem się samego siebie, znajdujemy przykład w Belny. Nie ogromem kapitałów, częstokroć na wiatr rzucanych, ale zwolna, dom po domie, zakład po zakładzie, wzniosły się w tej pomiernej wiosce, gorzelnia, olearnia, cukrownia z potrzebnym do niej zabudowaniem i kilkadziesiąt domów włościańskich, obejmujących blisko trzysta ludności. Rola podsycana hojnie nawozem, doszła do stopnia żyzności, jakiej żadna okolica nie posiada, a tak połączył Leszczyński dwa dotąd sprzeczne sobie żywioły, przemysł rolniczy i rękodzielny i dowiódł, że tylko takim połączeniem, można wznieść gospodarstwo krajowe.

Ignacy Leszczyński, obok takiego poświęcenia się gospodarstwu, aż do namiętności posuniętego, nie zaniechał obowiązków, które na nim, jak na obywatelu, mężu i ojcu ciążyły. Licznej rodzinie dał rozsądne, praktyczne i przyzwoite wychowanie; od posług publicznych i sąsiedzkich nie usuwał się nigdy, radą, pomocą i czynem.

I na cóż? odezwie się może któryś z czytelników

ków tego zarysu, na cóż przydały się te długoletnie trudy? Nie z bogacił się, nie zabawił, nie użył, nie błyszczał, a co gorsza, nie dospał, nie wypoczął; każdy dzień następny, nowe trudy przynosił i stawał się źródłem nowych wysileń. Cóż mi po takim życiu?!...

Lecz nie takie to samolubne odgłosy, ludzi zepsutych próżniactwem, zbytkami i dumą, sądzić będą o zasługach zmarłego. Dla innych przepych i miękkość, dla niego praca była celem życia, w niej on znajdował zadowolenie i nagrodę. Dla tego téż, cześć współziomków otaczała go za życia, a ich żal uczył jego mogiłę.

\* \* \*

Nie ziściły się moje widoki. Na majątności naszej, za wielkie były ciężary, za nadto małe fundusze do podźwignienia gospodarstwa, żeby można było spodziewać się utrzymania przy niej. Nieurodzaj, spadnięcie ceny zboża, lub jaka klęska w gospodarstwie, mogła zniszczyć początkowe prace moje. Z tego powodu, usłuchawszy życzenia matki, sprzedałem w 1822 r.

majątność Swiesz i przenieśliśmy się w okolice Brzezin w powiat Rawski, gdzie do końca 1824 r., trzymałem wraz z matką wioskę, prawem zastawném.

W tym to czasie, odnowiły się moje stosunki z Konstantym Swidzińskim, tym niezmordowanym zbieraczem pamiątek naszych, który imię swoje uwiecznił zapisem biblioteki i muzeum, na użytek współziomków.

Czasowe zamieszkanie moje w powiecie Rawskim, zbliżyło mnie do niego. Z Konstantym Swidzińskim poznałem się w 1819 r.; uczęszczał on jako gość na naukowe towarzystwo akademickie, którego założycielem był Adam Zamojski. Małego wzrostu, drobnego składu ciała, blondyn, wydawał się młodszym o lat kilka, niżeli był wistocie, i chociaż wtedy już liczył około trzydziestu lat życia, naznaczano mu za ledwie dwadzieścia. Od pierwszej młodości, namiętnie wyszukiwał i zbierał dzieła i rękopisma polskie i już w 1822 r., piękny ich zbiór posiadał. On dostarczył Kicińskiemu największą część poezyi Trembeckiego, nie objętych w wydaniu wileńskiem; zachowanie tworów

tego znakomitego poety, jemu winni jesteśmy. Odemnie do Sulgostowa było siedm mil drogi. Parę razy odwiedziłem Swidzińskiego w porze letniej. Pałac w Sulgostowie był obszerny, lecz nie zamieszkały. Pierwsze piętro stało pustkami; na dole parę pokoiów wyporządzić kazał właściciel na bibliotekę i na mieszkanie kommisarza majątku; sam zaś zajmował obszerną oficynę drewnianą. Oprócz zamiłowania w książkach, Swidziński lubił zajmować się ogrodem. Gospodarstwo rolne zdał na rządcę, którego doświadczeniu i gorliwości mógł być zaufać. On pierwszy dał mi poznać poezye Szyllera, którego uwielbiał i zachęcał mię do kształcenia się w języku niemieckim, żebym Szyllera mógł czytać w oryginale. Pod jego okiem przełożyłem dosłownie prozą, balladę Szyllera *Héro i Leander*; przekład ten miałem potem na wiersz przerobić, ale jakoś do tego nie przyszło.

Nawyknienia w młodocianych latach powzięte, ciągnęły mię do Warszawy; gospodarstwo w pomiernej wiosce i to jeszcze tylko prawem zastawu trzymanej, nie przedstawiało widoków



na przyszłość. Spieniężywszy zatém inwentarz i odebrawszy sumnę zastawną, powróciłem z matką do Warszawy.

Od 1825 r. zaczyna się mój zawód redaktora, tłómacza i wydawcy, któremu lat piętnaście poświęciłem.

---

## II.

Powrót do prac literackich. — Jak dawni literaci cenili twory Francuzów. — Biblioteka polska. — Literatura romantyczna. — Pierwszy sąd krytyczny o poezyach Mickiewicza, Odyńca i Witwickiego. — Marya Malczewskiego.

Niezwłocznie po przybyciu do Warszawy na stałe mieszkanie, zająłem się uporządkowaniem i wydaniem pism ojca mojego, z których, przekład Iliady Homera i Enejdy Wirgiliusza, Sądu ostatecznego, Junga i ułomków Raju Utraconego Milтона, już były zupełnie rozprzedane, inne zaś zostawały w rękopismach, albo w ulotnych, od dawna zatraconych dziełkach. Między temi, najważniejszym było poemat o sztuce rymotwórczej, na wzór Horacego i Boala napisany. Zacząłem od wydania *Zbioru Pism różnych Wierszem i Prozą*; przedruk Iliady i Enejdy, odłożyłem na później.

Wątpię, czyli kto z terażniejszych redaktorów pism literackich, mianowicie *Gazet*, należycie zna prace literatów z pierwszych lat naszego wieku, pospolicie klasykami zwanych, gdyż nauczył się z dorywczego sądu, przed laty trzydziestu rzuconego między młodą ówczesną generacją, że to są twory nie godne czytania i uwagi. A przecież, były to dzieła, na których wykształcili się ci sami pisarze, którzy potem nauczycielom swoim zapłacili szyderstwem. Obwiniono autorów pierwszych dwudziestupięciu lat dziewiętnastego wieku, że nie tylko nie znali poetów i estetyków Anglii i Niemiec, ale jeszcze wszelkimi siłami wzbraniali przystępu nowym wyobrażeniom, nowym dziełom.

Przytoczyłem zdanie jednego z krytyków sceny naszój, *Ixami* zwanych, wyrzeczone o Szekspirze jeszcze na początku 1816 r.; z niego przekonali się czytelnicy, jak zdrowo dawni literaci nasi, zapatrywali się na utwory powstającój wówczas szkoły romantycznój i umieli naznaczyć miejsce dla nich właściwe. Dzisiejsi sędziowie upłynionój literatury, niech rzucą okiem na *Sztukę Rymotwórczą* *Dmochowskie-*

go, którą w ostatnim roku życia znacznie poprawił i do druku przygotował, znajdują w niej następującą radę:

„Nie nałożmy talentom zbyt twardych wędzideł,  
Nie poświęćmy piękności dla szkolnych prawideł.  
A kiedy wstręt od błędu, w nowy błąd poniesie,  
Przestańmy, na tym czasie i miejsca zakresie,  
Który głównych rozumu ustaw nie zastrasza,  
A łatwo go obejmie wyobraźnia nasza.“

Któż w tych przepisach nie uzna postępowej myśli? Niech przeczytają parę okresów z mowy tegoż autora: *o potrzebie i sposobie uczenia się łaciny*, (karta 246), a znajdą tam surową nagane, wymierzoną przeciw tym, którzy lekkimi płodami literatury francuskiej, usiłują zalewać piśmiennictwo nasze, a zapominają kształcenia się na pisarzach naszej świetnej Zygmuntofskiej epoki przytaczam wyjątek:

„Nikt tego zaprzeczyć nie może, iż gdziekolwiek powstały nauki, nie inaczej, tylko przez naśladowanie powstały. Tak je Rzymianie wzięli od Greków, tak się przez naśladowanie od Greków i Rzymian, do Włochów, do Francuzów, do Anglików, do nas Polaków, przeniosły. Tą

drogą przelewają się z jednego języka do drugiego piękności: a z ich uważania, z ich uczucia, autor nowe w ojczystej mowie utwarza. Czytajmy z uwagą najlepszych naszych autorów dzieła, a przekonamy się, ile oni autorom łacińskim są winni, ilą ich bogactwami ojczystą mowę pomnożyli.

„Ale ci, którzy się nadto do *francuzczyzny* przywiązali, wszystkie te uwagi chcą jednem słowem obalić, mówiąc: iż równe albo jeszcze lepsze wzory we wszystkich literatury rodzajach, w języku *francuzkim* znajdują. Widzę, w jak trudnej zostaje okoliczności, gdy na którąkolwiek przechylając się stronę, o niedostatek oświecenia, lub gustu posądzonym być mogę. Ma zaiste literatura *francuzka* wielkich pisarzy. Już ona w przeszłym jeszcze wieku wysokiego stopnia dosięgła. Możnaż co mówić przeciw temu językowi, który dziełami swemi *Paskal, Bossuet, Fenelon, Kornel, Rassyn, Molier, Wolter, Russo*, zbogacili? Jak te są szanowne dla ludzi gust mających imiona! Uwielbiamy ich dowcip, czytamy pisma, szanujemy te nieśmiertelne wieńce, na które wielkiemi

zasłużyli talentami. Lecz w tych zapędach szacunku i uszanowania dla nich, nie zachodźmy aż do wzgardy *łacińskich* autorów. Bo zkądże ci wielcy mężowie do takiej doskonałości przyszedli? Komu laury swoje są winni, jeżeli nie dawnym autorom? Talent szczęśliwy, (a téż nie bez talentu być nie może), złączony z czytaniem i naśladowaniem dawnych, dał moc wymowy *Bossuetowi*, gust najwyższy i słodycz *Fenelonowi*; *Tomasowi* okazałość, czułość i siłę porywającą *Russowi*, *Massylonowi* obfitość, wyniosłość *Kornelowi*; *Rassynowi* przyjemność, trafność *Molierowi*, *Wolterowi* łatwość i zręczność. Wszystkich tych pisarzy dzieła, dawnych duchem są ożywione. Sami ci wielcy mężowie nie przeczą, ile się od nich starożytnym autorom należy: i gdy wszczęła się sławna sprzeczka o wartość dawnych i terażniejszych autorów; gdy *Perrolt* zkądinąd mąż szanowny, śmiało przeciwko dawnym powstawał; ci sami autorowie, którzyby jedni mogli byli walczyć o pierwszeństwo z dawnymi, stanęli w obronie swych mistrzów, i te wieńce, w których wdzięczna od wieków ozdobiła potomność,



na głowach ich utrzymali i utwierdzili. Jeżeli tak znakomici pisarze tyle starożytnym przyznawali autorom, któż im ujmować ważyć się będzie? A jeżeli oni z ich czytania tyle korzystali, myż równie z tychże skarbnic korzystać nie mamy? To samo wygórowanie Francuzów, powinno być dla nas bodźcem do zakochania się w dawnych autorach. Kogóż nam bardziej naśladować przystoi? czy tych, co byli twórcami, czy tych, co kształtnie do swego języka cudze ozdoby przenieśli? Napisał jeden głęboki literat, że dawni za pierwszym krokiem, na drogę natury trafiwszy, prosto nią postępowali; późniejsi zaś ustawicznie téj drogi szukają; a gdy ledwie na nią natrafiają, jużci znowu zbaczają. Jeżeli to zdanie jest prawdziwe, nie powinniśmy z ręki wypuszczać starożytnych autorów: chyba, że chcemy wolno imaginacją puścić, a o prawidła natury, o przepisy dobrego gustu, wcale nie dbamy.

„Lecz gdyby młodzież nasza za tém się ubiegała, co ma najlepszego język *francuzki*, jeszcze by ją po części wymówić można. Dzieła *Fenelona*, *Monteskiusza*, *Biuffona*, *Kondyllaka*, i owych

wielkich, dopiero odemnie wspomnionych pisarzów, bez pożytku czytane być nie mogą. Ale przeciwnie się dzieje: nie to ona chwyta, co gruntownością przekonywa rozum, co gust prawdziwą pięknością prostuje, lecz to, co pochlebia zepsutym skłonnościom, co serce wyszukanemi ponętami uwodzi. Romanse, romanse dzisiaj tysiącami wydawane, najwięcej młodzi smakują; temi się bawi, tym się dziwi, a zaniedbuje dzieł nie tak powabnych w czytaniu, lecz za to prawdziwém oświeceniem zdobiących umysł; nie prowadzących myśli po niepodobnych imaginacyi przestrzeniach, lecz za to gruntowną wiadomością z bogacających rozum. Ztąd idzie upadek gustu, niesmak do dzieł prawdziwie pożytecznych, a zatém fałszywy rozum, albo raczej, próżne o sobie uprzedzenie."

„Zapatrując się na gust narodu naszego, uważając w jakich sobie dziełach najwięcej smakuje, daleki jestem od przyznania mu tego oświecenia, którym się chlubnie bez przestanku szczyciemy. Wieleż jest takich rąk, któreby się *Homerem, Wirgiliuszem, Demostenem, Cyceronem*, bawiły! Wieleż takich umysłów, którychby sta-

rożytność była roskoszą? Bardzo mało. Zkąd też tak skąpo dzieł gruntownych w języku naszym wychodzi: a te lekkości, któremi nas zarzucają drukarnie, u lepiej myślącej potomności, zawstydzają nas będą. Nigdy nie zmienię przekonania mojego, iż powszechny szacunek, powszechne czytanie dzieł starożytnych, jest najważniejszym znakiem gruntownego oświecenia i dobrego gustu w narodzie: to dopóki w małej liczbie spostrzegam, za zbliżającą się Polskę do oświecenia, nie za oświeconą poczytam. <sup>1)</sup>

„Te są uwagi, które służą do przekonania wszystkich o potrzebie i szacunku literatury *łacińskiej*, a tém samém o szacunku *łacińskiego* języka: z tych przyczyn ćwiczą się w nim wszystkie oświecone narody. Lecz my Polacy mamy nasze szczególniejsze pobudki do zakochania

<sup>1)</sup> Niedobrzeby ten myśl moją tłómaczył ktoby ją za pokrzywdzającą naród osądził. Wiem ja, iż są w narodzie naszym męzowie pełni starożytności. Gust ten rozszedł się od tronu: ale ci jeszcze nie dali tonu narodowi. Zginęło nasze barbarzyństwo *łacińskie*, lecz natomiast rozszerzyła się lekkość *francuzka*. Są jeszcze wielkie przesady, tamujące drogę rozszerzeniu się prawdziwego światła i dobrego gustu.

się w Rzymian języku. Gdzież lepszych wzorów szukać będziemy? gdzie się napawać tym duchem gorliwości, cnoty, miłości ojczyzny, szlachetności umysłu, jeżeli nie z dzieł tego narodu, w którym najświetniejsze obywatelstwa przykłady jaśniały? W ich pismach widać sztukę władania umysłami, utrzymywania zgromadzenia, poruszenia serc, przekonania rozmów; w nich widać cały majestat narodu, całą jego moc i powagę.“

Nie wyprowadzam z tego żadnych wniosków nikomu wprost nie czynię zarzutów. Sąd zostawiam czytelnikom, którzy prędzej czy później do uznania prawdy przyjść muszą.

Z początkiem 1825 roku, zacząłem wydawać peryodyczne pismo literackie, p. t. *Biblioteka Polska*. Wychodziło dwa razy w miesiąc w zeszytach. Niepomyślny skutek prac poprzedników moich, nie bardzo mógł ośmielać mnie do tego przedsięwzięcia. Pamiętnik Warszawski, wydawany przez lat siedm przez profesora uniwersytetu, Feliksa Bentkowskiego, nakładem księgarni Zawadzkiego i Węckiego, przeszedł-

szy pod redakcyą Kazimierza Brodzińskiego i Fryderyka hr. Skarbka, po dwóch latach, z końcem 1823 r. ustał. W 1824 r. nie było żadnego dziennika poważniejszej treści. Zjawiły się i nikły jak bąble na wodzie, rozmaite pisemka: Muchy, Lechy, Pustelniki, których nazwisk nie pamiętam dobrze.—Współpracowników nie miałem prawie żadnych. Starsi, jak to zwykle bywa, rozumieli, że znijdą ze swego stanowiska, pisząc do dziennika, którego wydawcą i głównym redaktorem był dwudziesto-czteroletni wierszopis, znany tylko z kilku przekładów. Na pomoc rówieśników także nie wiele mogłem rachować. Ale śmiałość i ufność w swoich siłach, dodała mi ochoty. *Biblioteka Polska* wychodziła przez dwa lata, 1825 i 1826. W pierwszym roku wyszło tomów cztery, w drugim trzy. Prenumerata przyjmowana była od kwartału do kwartału, czyli na tom jeden. Z pomiędzy ówczesnych pisarzy, dwom głównie winienem wdzięczność, za kilka ważnych artykułów historycznych i dotyczących się dawnych zabytków naszego piśmiennictwa, Joachimowi Lelewelowi i Adamowi Chłędowskiemu, wów-



czas bibliotekarzowi przy uniwersytecie Warszawskim. W ciągu wydawnictwa mojego, przybył do Warszawy A. E. Odyniec i ozdobił moją Bibliotekę polską, kilku poezjami swojemi i Adama Mickiewicza. Bohdan Zaleski, umieścił także w tém piśmie, dumę swoją o Mazepie.

Epoka wychodzenia Biblioteki Polskiej była właśnie tą chwilą, kiedy poezye Mickiewicza, a następnie Odyńca, Chodzki, Zalewskiego, zaczęły nabierać coraz to większego rozgłosu. Pierwsze dwa tomiki poezyi Mickiewicza, obejmujące jego ballady, część *Dziadów* i *Grażynę*, wyszły były w Wilnie przed dwoma laty. W Warszawie dopiero zaczęły być znane w końcu 1823 roku. W 1824 r. nie było żadnego literackiego dziennika, któryby się zajmował krytyką. Od czasu do czasu wyszedł zaległy numer *Astrej*, a w jednym z nich była krótka wzmianka o poezjach Mickiewicza. Ale *Astreja* z powodów powyżej wskazanych, była prawie nieznaną publiczności. — W Bibliotece Polskiej założyłem sobie za cel główny krytykę i wiadomość o dziełach wychodzących w ojczystym języku.



Zacząłem od napisania *Uwag nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej*. Już wtedy literaci podzielili się na dwie strony, na klasyków i romantyków, czyli po prostu mówiąc: na starszych i młodszych. Ja, ani ultra romantyk, ani ultra klasyk, między niemi chciałem środek otrzymać i . . . nie zadowolniłem ani jednéj, ani drugiéj strony. Lecz za to z wewnętrzną pociechą to-mogę powiedzieć, że zadowolniłem moje własne przekonanie. Nawyknięcia, wzory od najmłodszych lat czytane, dotychczasowe próby moje, ciągnęły mię ku stronie klasyków; lecz młodzieńcze uczucie, wolne od przesądu, zrządało, żem z zapalem i silném zajęciem czytał twory Mickiewicza. Zajęcie to rozszerzało się nawet aż do jego naśladowców, chociaż nie zawsze szczęśliwych, a jakże dalekich od swojego mistrza. Lecz nawykwszy do ścisłej poprawności i ogłady wierszy klassycznych, pragnąłem, żeby nowi poeci, obok mocy, malownictwa i odrębnéj barwy w ich utworach rozlanéj, zachowali klassyczną dokładność, czystość i wyrobienie stylu. Raziły mię niektóre wyrażenia i zwroty w ich poezyach;

przyznając zatém wysoką wartość pomysłom, wytknąłem to, co pod względem stylu, za uchybienie poczytywałem. W takim duchu napisałem uwagi nad pierwszemi dwoma tomami poezyi Mickiewicza. Umieszczam wyjątek z téj rozprawki, obejmujący ogólny pogląd na jego utwory; będzie to jedyna odpowiedź na przedmowę tego autora o *krytykach i recenzentach Warszawskich*, w której dość głośną, a wcale nie zasłużoną rolę zajmuję. Nie wznawiałbym zapomnionéj polemiki, gdyby świeży przedruk przedmowy Mickiewicza do tego mnie nie znie-  
walał.

„*Tymowski, Morawski i Brodziński*, pisałem w Bibliotece Polskiej, w tomie pierwszym z roku 1825, przekładem rozmaitych poezyj Szyl-lera wskazali ogółowi czytelników, że obok delikatności i wytworności francuzkiej, jest inny rodzaj poezyi, który mocniej przemawia do serca, że prócz mitologii Greckiej, jest inna cudowność, na religii naszej oparta. — Z pomiędzy nich: Kazimierz Brodziński, nie tylko jako tłumacz i naśladowca poetów niemieckich, zasłużył się literaturze naszej. On pierwszy z te-

goczesnych, powziął myśl wystawienia obyczajów i zwyczajów ludu wiejskiego, i wykonał to w *Wiesławie* sielance Krakowskiej. Lud Krakowski, wesoły, gościnny, pracowity, ze wszystkich prowincyi Wielkiej i Małej Polski najwięcej jest poetycznym i najczęściej dostarcza żywiołów dla narodowego poety. Któż w *Wiesławie* nie znajdzie wiernego obrazu ludu? Komuż się nie podoba prostota, którą cała ta sielanka oddycha? Któż nie będzie wdzięczny autorowi za to: że sposób wyrażenia się polski i wieśniaczy, że tak powiem, a jednak miły i szlachetny, który coraz to rzadszym się staje, zatrzymał i ustalił w pieniąch swoich? Temu tylko nie podoba się *Wiesław* i inne poezye Brodzińskiego, który w szkole dworności, dowcipu i uszczypliwości francuzkiej, postradał uczucie prostej piękności i dla którego to wszystko co się do natury zbliża, jest celem żartów i szyderstwa. Przykład Niemców i Anglików, którzy z pieśni, podań i zmyśleń ludu, wywiedli tak piękne i liczne dzieła, od lat kilku zachęcił naszych pisarzy do czerpania w témże samém źródle, do utworzenia narodowej poezyi; na ich

czele stoi Mickiewicz. Że ten autor czerpał z podań nieznanych nam dotąd i na nich opierał cudowność poematów swoich, że stanowi epokę w poezyi naszej i ma kilku mniej lub więcej szczęśliwych naśladowców, przeto nad jego dziełami obszerniej nam zastanowić się wypada.

„Dwa tomiki poezyi Mickiewicza wyszły dotąd na widok publiczny. W tomie pierwszym znajdują się ballady, romanse i wiersze różne. W tomie drugim, Grażyna powieść litewska, Upiór, Dziady, część druga i czwarta. Mickiewicz w poeziach swoich okazał wszystkie przymioty, które są udziałem znakomitego poety. Dar wynalezienia i opisywania, głębokie czucie, śmiałość i piękność stylu, chociaż nie zawsze jest poprawnym i wolnym od zarzutu, przyznało mu jednoznacznie zdanie powszechne. Poezye jego, lubo w szczupłej liczbie, tak są rozmaite, i pod tak różnemi względami w korzystnem świetle okazują jego talent, iż zdaje się, że nie ma rodzaju w którymby Mickiewicz nie mógł celować. Kto chce znaleźć świetną, lekką i wdzięczną wyobraźnię, tajemniczym

pokrywającą się urokiem, niech czyta *Świteziankę*. Większą powagą i uroczystością oddycha ballada *Świtez*, w której autor opisuje dawne podanie o nieszczęśliwój zagładzie za-  
 możnego niegdyś miasta. Tkliwa prostota od-  
 znacza balladę *Rybka*; w Balladzie *Lilije*, zna-  
 ną powszechnie pieśń gminną o zbrodni i uka-  
 raniu wiarołomnej żony, podniósł i uszlachet-  
 nił nie uszkadzając w niczem jej prostoty. We-  
 sołość i żywość akcji komicznej, zaleca dwie  
 ballady *To lubię* i *Pani Twardowska*; myśli  
 najmocniój przemawiające do serca i z serca  
 wylane, znajdujemy w *Dudarzu*.—Tom pierw-  
 szy dzieł Mickiewicza, tak jawne, tak uderza-  
 jące ma zalety, że nawet najzaciętsi przeciwni-  
 cy romantyczności zamilknąć musieli i rzekli  
 tylko: Przyznajemy że Mickiewicz ma wielkie  
 zdolności, lecz dla czegoż nie idzie też samą  
 drogą, którą postępowało tylu znakomitych  
 poetów? dlaczegoż wyszukanie dziwaczne  
 podania i powieści gminne i zamiast wznosić  
 poezją, zniża ją do gminu? — Jak łatwa jest  
 odpowiedź na podobne zarzuty! To jest cechą  
 prawdziwego talentu i geniuszu, że sam dla

siebie tworzy nowy rodzaj; a z dzieł jego krytycy i naśladowcy, wyprowadzają nowe prawidła. Jeżeli Greków zajmowały powieści mitologii, jeżeli przyjemny był im obraz Dafny uciekającej przed natarczywością Apollina, Herkulesa dławiącego zjadłe węże, jeżeli świetna i wesoła ich wyobraźnia, każdy gaj, każdy strumień zaludniała bóstwami, to zapewne dla tego, że to były ich własne, ich narodowe pomysły.—Równie i dla nas, nasza narodowa cudowność na podaniach i religii oparta, większe mieć musi powaby, aniżeli odwieczne, po tysiąc razy wyprowadzane na scenę Apolliny Bachusy i Jowisze.

„Wrodzona jest w sercu człowieka, tęsknota do świat nadzmysłowego; tam on swój cel postrzega, tam widzi kres wszelkich swoich dolegliwości i trudów. Za życia jeszcze pragnie się z nim połączyć, porozumiewać; wyobraźnia jego zapala się, każde miejsce samotne, spustoszone, ciemne lasy, przepaści gór, zaludnia nadzmysłowemi istotami. Szmer liści, szum wiatru, promień słońca, przynosi mu życzenia i obraz drogich mu osób, które po-



starał i z któremi spodziewa się kiedyś połączyć. Wśród wrzawy świata zaciera się w nas to uczucie; zimny rozsądek każe nam często wstydzic się obłąkań wyobraźni i uczuć serca. Dowcip okrywa je szyderstwem: jakoż łatwo mu takięj broni używać; zawsze ostateczności się łączą, i dla obojętnego człowieka nic nie może się wydać śmieszniejszém, jak uniesienia rozpalonęj wyobraźni i wylania czułości. Lecz na takie pociski najtrafniejszą znajdujemy odpowiedź w wierszu Mickiewicza p. t. *Romantyczność*. Nieszczęśliwa dziewczyna, po stracie swego kochanka, wybiega, obłąkana z nim rozmawia, pieści się z nim, a na jęj głos lud prosty woła: „Mówcie pacierze, tu musi być jego dusza, ona to odzywa się do duszy téj nieszczęśliwéj.” Starzec chce ich wyprowadzić z błędu.—Nic tu nie ma rzeczy, duchy są tylko tworem głupstwa gminu.

„Dziewczyna czuje odpowiadam skromnie,  
A gawiedź wierzy głęboko;  
Czucie i wiara, silniéj mówi do mnie,  
Niż mędra szkiełko i oko.

Martwe znasz prawdy nieznane dla ludu,  
 Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskiecie;  
 Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu.  
 Miej serce i patrzaj w serce.

„Nie mogę tu zamilczyć o krótkim wierszu Mickiewicza p. t. *Żeglarz*, znajdującym się przy końcu pierwszego tomu; w nim on życie człowieka przyrównywa do łodzi miotanej nieustanną burzą. Im kto się więcej w ten wiersz wczyta, tym lepiej oceni całą wielkość obrazu i szczytność myśli.

„Już sława Mickiewicza ustalona została wydaniem tomu pierwszego, gdy w kilka miesięcy po tém wyszedł z druku tom drugi i stał się celem daleko żywszych sporów i mocniejszych krytyk.

„*Grażyna*, powieść litewska, obfituje w poetyczne obrazy; uważano się na to, że jest ostrym stylem pisana, lecz na obronę autora to przywieść należy, że chciał do każdego przedmiotu styl swój zastosować, a opisując zdarzenie, które zaszło wśród wojowniczego i dzikiego

jeszcze ludu, nie mógł ozdabiać je tym wdziękiem, którym zalecają się jego ballady i romanse.

„*Dziadów* część druga, polega na przesądach i zwyczajach ludu litewskiego. W dzień zaduszny, pospólstwo, po jaskiniach, lub spustoszałych cerkwiach, zgromadza się dla uczczenia pamiątki swoich zmarłych ojców i składa ofiary, mając przynieść ulgę ich duszy. Że pomysł takowy jest poetycznym i może się rozwinąć pod piórem poety, każdy przyzna. Mickiewicz, przywłaszczając go sobie, zachował jak najwierniej formy i pieśni gminne. Przytoczę dwa obrazy z tego poematu. Zgromadził się lud w kaplicy, zamknięto drzwi, zasłoniono okna, a starzec przewodniczący obrzędowi, przyzywa dusze, które potrzebują pomocy. Przybiega naprzód dwoje dzieci, które nigdy nie doznały żadnej przykrości na ziemi, dla tego nie mogą być przypuszczone do kosztowania uciech niebieskich.—Po tém, przeciwny obraz następuje. Przylata pod okna kaplicy straszliwy upiór, niegdyś dziedzic téj włości, ciemieżyciel i tyran swoich poddanych, otacza-

ją go w około duchy ofiar jego nieľudźkości i okrucieństwa. Żadna ofiara nie może mu być pomocną; przymuszony oddalić się, wymawia te pamiętne słowa:

Sprawiedliwe są zrządzienia Boże,  
Kto nie był człowiekiem ni razu;  
Temu człowiek nic nie pomoże.

„*Dziadów*, część czwarta, jest to utwór, który podobnego sobie nie miał i zapewne mieć nie będzie. Ten wiersz Mickiewicza najwięcej znalazł przeciwników, lecz zarazem znalazł licznych i zapalonych wielbicieli. W nim autor rozwinął całą swoją zdolność, w nim się najwięcej okazał poeta. Aby zrozumieć to poema, należy się zwrócić do dwóch poprzedzających.

„W wierszu pod tytułem *Upiór*, wystawia Mickiewicz młodzieńca, który nieszczęśliwą miłością do rozpaczyny przywiedziony, życie sobie odebrał, a po zgonie skazany został, aby corocznie w dni zaduszne powstawał z grobu, odwiedzał miejsca, wktórych się téj winy dopuścił, osobę która go do niej przywiodła, i zabójstwo samego siebie ponawiał.

„W *Dziadach*, w części drugiej, też samą istotę wprowadza autor, która wychodząc z grobu, z rozdartą piersią, staje przy pasterce, niegdyś kochance swojej, a żadnem zaklęciem, żadną ofiarą nieporuszona, milcząca, za nią się oddała.

„W części czwartej *Dziadów*, upiór ten przychodzi do księdza ruskiego, niegdyś swego nauczyciela, który był przeciwny obchodzeniu święta *Dziadów* przez pospólstwo i starał się je wytepić jako szkodliwy zabobon.

Mowa jego nie ma na pozór związku i wydaje się być mową obłąkanego człowieka; lecz wszystkie jego słowa, zwracają się do téj namietności, która przywiodła go do odebrania sobie życia, wszystkie są przypomnieniem uczuć, rozkoszy i cierpień przeszłych. Nie wiem, czyli któremukolwiek autorowi ustępuje Mickiewicz w oddaniu uniesień i zapалу miłości. Ileż w téj części *Dziadów* znajduje się poetycznych obrazów, wielkich i nowych myśli! Jak mocno zajmuje obraz ostatniego pożegnania się z kochanką! Jak bolesne czyni wrażenie, przybycie tego nieszczęśliwego po długiem oddale-

niu do ojczystej zagrody, którą zastaje opuszczoną, a tę, której swoje serce i całe istnienie poświęcił, wchodzącą z innym w związek małżeński! — Lecz muszę ograniczyć się w wyliczaniu szczegółów, gdyż nie ma prawie jednego wiersza, jednej myśli, któraby nie nosiła cechy wyższego talentu, i nie była godną wspomnienia. Że ogólny pomysł *Dziadów* jest nadzwyczajnym, a nawet dzikim, że w czytaniu nieustanne przenoszenie się od myśli do myśli zupełnie sobie przeciwnych, utrudza umysł, że mógłby być autor, też same piękności szczegółowe, umieścić w dziele tworzącem regularniejszą całość, wszyscy się na to zgodzili. Ale czyliż dla tego mamy potępiać Mickiewicza, mamy być nieczuli na jego zalety? Kto chce sprawiedliwie ocenić autora, ten nigdy przeciw niemu iść nie powinien; trzeba postawić się w jego miejscu, wyrozumić jaki miał cel i wybadać, czyli go osiągnął. Jeżeli tego dokazał, jeżeli zajął wyobraźnię i serce wzruszył, nie pytajmy się, dla czego tą, a nie inną poszedł drogą.

„Co się tyczy stylu, Mickiewicz, pomimo wszystkich powyżej wymienionych zalet, nie



jest zupełnie wolny od uchybień. On pierwszy z teraźniejszych, wprowadził do poezyi naszej używanie zdrobniałych wyrazów. Wyrazy te w wielu miejscach nowych wdzięków jego stylowi dodają, lecz i rażące są niekiedy, np. w balladzie *Rybka*:

Od dworu, z pod lasa, z wioski,  
Smutna wybiega dziewczica,  
Rozpuściła na wiatr *włoski*:  
I łzami zalala lica.

„Wątpię, ażeby włosy na głowie kobiety, *włoskami* nazywać można.

Przez zwir, przez ostre kamuszki,  
Fale mię gwałtownie niosą,  
Pokarm mój koralki, muszki,  
A zapijam zimną rosą.

„Autor ten obraz chciał uczynić naiwnym, a zrobił go niewłaściwym i dziwnym.

„W balladzie *Tukaj*, zacząwszy ją autor stylem wzniosłym, przechodzi następnie do stylu śmieszno-komicznego, (burlesque) lubo w jednym i drugim wykazuje się jego talent, jednakże mniemamy, że czy w klassycznym, czy w romantycznym sposobie pisania, nigdy dwa tak sprzeczne rodzaje, łączyć się z sobą nie po-

winny. Znajdują się także w wierszach Mickiewicza niektóre uchybienia przeciw grammatyce i prowincjonalizmy. Jako to: co *dnia* zamiast co dzień. *Czyście tęskniły do tata*, zamiast do taty i t. p. Wykazując to, co mi się zdawało błędném, nie myślę wcale ubliżać zaletom autora. Obok tylu piękności, nie zwracałbym na nie uwagi czytelników; lecz jedynie uczyniłem to dla przestrzeżenia jego naśladowców, którzy częstokroć zamiast zalet, przyjmują błędy pisarza.

„Tak więc poezya i podania ludu litewskiego, najwięcej dostarczyły żywiołów Mickiewiczowi do jego poematów, a przykład jego niech nas przekona, że nie trzeba mało sobie cenić tego źródła, lub niém pogardzać; ten bowiem, kto z niego czerpie, nie zniża poezyi do gminu, jak to utrzymują niektórzy, lecz przeciwnie, gminną poezyą uszlachetnia i wznosi.

„Taż samą drogą co i Mickiewicz, poszedł J. B. Zaleski, i między ludem ukraińskim, w swojej rodzinnej ziemi, szuka materyałów do poezyj swoich. Lubo dotąd kilka dopiero prób talentu, ogłosił w pismach publicznych, jednakże z nich można powziąć nadzieję, że poezya na-

rodowa znajdzie w nim znakomitą podpórę. Rapso-  
d rycerski umieszczony w Pamiętniku War-  
szawskim, ballada *Lubor, Wzgórek pożegnania*,  
do którego powziął autor myśl z pieśni gminnej,  
zalecają się i śmiałością wyobraźni i pięknoscią  
wysłowienia. Litwa, Ukraina, Podole i Wołyń,  
uważane pod względem poetycznym, daleko  
obfitsze obiecują żniwo dla literatury naszej,  
niżeli okolice Wielkiej i Małej Polski; nie jest  
tu miejsce rozbierać przyczyny tego zjawiska,  
lecz winniśmy zwrócić na nie uwagę młodych  
poetów naszych, którzy chwalebną zagrzani  
chęcią, starają się utworzyć właściwą narodo-  
wą poezją. Mickiewicz ma trzech znacznie-  
szych naśladowców, p. p. Odyńca, Chodźkę i  
Witwickiego. Dwaj pierwsi, poezye swoje  
umieszczają w dziennikach Wileńskich, ostatni,  
dawszy się poznać w pamiętniku Warszawskim,  
pisma swoje razem wydać umyślił; pierwszy  
ich tom wyszedł na widok publiczny przed kil-  
ką miesiącami.“

\*

\*

\*

Wszystkie zatém zarzuty uczynione przeze-

mnie poecie, ograniczają się na wytknięciu kilku wyrażen. Możem się mylił w zdaniu mojem, chociaż tych samych wyrażen nie znalazłem w dalszych tworach poety; ale każdy bezstronny nie drażliwy czytelnik przyzna, że gdy kto wymierza zasłużoną sprawiedliwość treści rzeczy, pomysłom i geniuszowi autora, temu nie można tak dalece brać za złe, jeśli kilka szczegółów lekko zgani. W rok później, pisząc uwagi nad Sonetami Mickiewicza, rzekłem, że pod względem poezyi, będą dla niego nowym wieniem; lecz stawiane przez ówczesnych dziennikarzy jako typ rodzinnej poezyi naszej, mogą na jej rozwój szkodliwie wpływać. Zwrócą bowiem naśladowców wielkiego poety, do marzeń i exaltacyi Niemcom właściwej, gdy przeciwnie, cechą poezyi naszej, podobnie jak naszej ziemi i charakteru naszego jest, powaga, spokojność, prostota, rodzinne ziemiańskie pożycie, szlachetność, poświęcenie się, tęskność. Takiej to poezyi pierwsze zarysy napotykamy w Kochanowskim, taką wznowił Karpiński, taką rozwinął za czasów naszych Brodzinski, a jej znakomitym utworem byłoby, jak spodzie-

waliśmy się wszyscy, Ziemiaństwo Koźmiana, znane wówczas z wyjątków tylko, gdyby sam autor, zbytecznym, a nieszczęśliwem naśladownictwem Wirgiljusza, nie odrętwił ducha swojego. Czyliż to zdanie o Sonetach, rozdrażniło tak dalece ich twórcę, że go skłoniło do rzuca-  
nia klątwy na literacką przeszłość naszą? Gdyby i tak było, to w kilka lat potem przyznał stanowczo Mickiewicz, że sprawiedliwe były moje uwagi co do ducha poezyi naszój, nie słowem wprawdzie, ale czynem, bo znamienitym utworem własnym, poematem *Tadeusz*. Toż samo stwierdzili Pol, Lenartowicz i Syromkoma, dając taki kierunek poezyi polskiój, o jakim napisałem przed laty trzydziestu i dwoma.

Ostrzejsze przygany, spotkały w tym artykule Biblioteki Polskiej, Stefana Witwickiego za pierwszy tomik jego ballad i wierszy. Autor uznał nieudolność téj młodocianój pracy swojój, gdyż ją wykupił od księgarzy i zniszczył. I dobrze zrobił, bo w nich, prócz kilku strof zwiastujących talent, nic nie znajdowało się coby warto było druku. W cztery lata potem, na końcu roku 1829. Stefan Witwicki zabłą-

snął między poetami naszemi, wierszem religijnym na śmierć Woronicza, wielkiego poety i mówcy kościelnego. Porównywając ten wiersz z początkowymi pracami Witwickiego, powiedziałbyś, że to jest inne pióro, inny umysł. Tak to prędko rzeczywisty talent dojrzewa; tak jest niebezpieczne, wczesne występowanie na widok publiczny. Tenże autor wydał w r. 1830 Poezye biblijne i pieśni Sielskie i przez nie zasłużył na zaszczytne miejsce w rzędzie poetów ojczystych.

W moim zawodzie redaktorskim, z obowiązku pisząc krytyki, mogłem się narazić; jest to smutna konieczność, od której są wolni sami tylko najemni pisarze, jednemu stronnictwu, jednym osobom bijący czołem, albo tacy którzy wezmą sobie za prawidło, chwalić wszystko. Nie przywiązuję wagi do moich ówczesnych recenzyi, lecz nigdy nie odstępiałem w nich od zasady, żem głównie cenił w utworach, prawą dążność, zdrowy pomysł, czystość języka i smak szlachetny, a to co tym zasadom sprzeciwiało się, wytykałem bez żadnej ogródki, bez żadnego stronniczego względu. Z tego stanowiska oceniłem *Pojatę*, powieść Bernato-



wicza, *Edypa* tragedya Humnickiego, *Pamiętkę po dobrym ojcu*, *Kollektanea* Sękowskiego i *Maryą Malczewskiego*.

Zagraniczne pisma, europejską wziętość mające, jako to *Biblioteka powszechna* wychodząca w Genewie, *Przegląd paryżki*, nowe dzieła historyczne i ekonomiczne, powszechny interes obudzające, dostarczały materiałów do mojej Biblioteki Polskiej, a dość szczupła objętość pisma, nie wymagała wielkich wysiłen.

W roku 1826, od 1go Lipca, objąłem redakcyą gazety *Korrespondenta Warszawskiego* i z tego powodu zaprzestałem dalszego wydawania Biblioteki.

Z rokiem 1826, obudził się nowy popęd w piśmiennictwie naszym, uśpiony przez lat parę. Już od połowy 1825 zaczął wychodzić *Dziennik warszawski*, pismo literacko-krytyczne, w tym samym rodzaju co *Biblioteka Polska*, a od 1 Października 1826, liczbę naszych gazet powiększyła nowo założona *Gazeta polska*. Oba te dzienniki, niemal pod jedną redakcyą wychodzące, otwarcie i stanowczo głosili wyższość nowych tworów, a nie przestając

na tém, potępiały bez względu wszystkie dawniejsze utwory literatury naszéj.

O *Maryi* i o jéj autorze, winienem nieco obszerniej wspomnieć. Powtarzano aż do zbytku, że był nieoceniony i prześladowany przez tak zwanych klasyków, chciano nawet dowieść, że surowa krytyka wytrąciła mu pióro z ręki, że umarł w nędzy. Wszystko to są próżne słowa, wyrzeczone przez tych, którzy nie znali Malczewskiego. Malczewski przyjechał do Warszawy w towarzystwie pani Z . . . R . . . Jakie były stosunki między niemi, nikomu nie było to wiadomém w owéj epoce. Żył samotnie, nicyjéj znajomości nie szukał, nie bywał w żadnym domu, gdzie zbierali się ówczesni literaci, a takich domów było kilka. Wyraźnie unikał towarzystwa. Miał dawną zażyłość z panem Karolem Kossowskim. On ułatwił mu wydanie poematu *Maryi*, on trudnił się jego pogrzebem, on głównie mógłby udzielić stanowczych faktów o ostatnich chwilach poety, a może i o całym jego życiu. Miałem zażyłe stosunki ze wszystkiemi literatami ówczesnemi, a nigdzie nie spotkałem Malczewskiego.

Pan Kosiński, znany autor kilkunastu tomików powieści, wydanych między 1840 a 1854 rokiem, napisał dla Biblioteki Warszawskiej obrazek, w którym wprowadza Malczewskiego w towarzystwo literatów ówczesnych. W gronie tém, połączył starszych i młodszych i wystawił autora Maryi, jako człowieka, którego nie umieją ocenić, którego nawet wyszydzają i poniżają.

Nie mogę w tém miejscu przemilczyć, jak niewłaściwe jest podobne umieszczanie w powieściach, osób znanych lub sławnych i stawianie ich w stosunkach nieprawdziwych i będących tylko wymysłem autora, a zwłaszcza, gdy autor sam siebie jako świadka i współdziałacza przedstawia. Już teraz nawet, znaleźli się dobroduszni zbieracze, powtarzający bez braku to wszystko, co gdzie bądź napotkać mogą, którzy, ubolewając nad Malczewskim, opierają się na powadze pana Kosińskiego. A w tém jego opowiadaniu tyle jest prawdy, ile jój przestrzegał wtenczas, kiedy króla Jana III w swojój powiastce: *Dziecię królewskie*, zaraz po tryumfalnym wjeździe do Warszawy, zaprowadził

na piwo do szynkowni na Podwału, albo kiedy liczbę przeniewierców pomnożył, z łaski na uciechę, jakimś rotmistrzem Makowieckim, który dla porwania jednej dziewczyny, wydał na rzeź całe miasto z ludem tamże przytułku szukającym i czterdzieści tysięcy ziomków zatracił.

Że koniec życia Malczewskiego był smutnym, że ten poeta zgasł zawczasie dla chwały literatury naszej, wszyscy to przyznajemy. Lecz jego troski wynikły z osobistych, nie z literackich stosunków. Wprawdzie mógł z przykrością widzieć, że jego *Marya*, w pierwszych miesiącach po wyjściu z druku, nie uzyskała rozgłosu i prawie nieznaną była ówczesnej publiczności. Lecz w owym czasie, rozgłos nie był tak nagły, jak teraz, gdy pisma liczące cztery, trzy, a choćby i półtora tysięcy prenumeratorów, dadzą komu patent na *nieśmiertelność*, . . . . czas pokaże, jak wiele lat trwającą. Jedyne pismo literackie, liczyło czterechset prenumeratorów i to na całej przestrzeni, na której mówią polskim językiem. Kurjer i Gazety Warszawskie, nie mieszały się do literatury. Skądże więc mogła dowiedzieć się publiczność o *Maryi* Malcze-

wskiego? Trzech lat czasu było potrzeba, na upowszechnienie pism Mickiewicza, na pozyskanie mu współczucia ziomków, a przy tém, poezye i osobistość autora *Grażyny* i *Dziadów*, miały to piętno i ten pociąg, którego nie dosta wało *Maryi*, będącej wyłącznie poematem na miłości opartém.

W końcu 1825 r., umieściłem w Bibliotece Polskiej uwagi krytyczne nad *Maryą* Malczewskiego. Przytoczyłem najpiękniejsze z niej ustępy. Uznałem wysoki talent poety, lecz zarazem wskazałem to, co podług estetycznych pojęć moich uważałem za uchybienia stylu. Nie pochwaliłem także zawiłości w układzie poematu, ztąd wynikłej, że autor, biorąc pocho p do *Maryi*, z wypadku dość jeszcze świeżego, (śmierć Gertrudy Komorowskiej), powodowany względami miejscowemi, umyślnie treść jego zaciemnił. W uwagach moich nie było uniesienia i podziwu, z jakim późniejsi wydawcy *Maryi* pisali o tym utworze, lecz jeśli kto zechce poszukać tomu I-go Biblioteki Polskiej z 1825 roku, nie znajdzie tam ani złej wiary, ani chęci umyślnego poniżenia i wyszydzenia, owój to głównej wady i zakąły stronniczych krytyk.

W pięć lat po moich uwagach nad *Maryą*, Maurycy Mochnacki w dziele swojem o literaturze polskiéj, wyraził się z najżywszém uwielbieniem o niéj. Nie tylko szczegółowe obrazy i myśli, lecz i całość poematu uważał jako doskonałą i wyrzucał poprzednim redaktorom i krytykom, że zbyt lekko traktowali ten utwór, lub o nim zamilczeli. On to, jak Addison w Anglii dla *Raju Utraconego*, wzbudził w współziomkach powszechné zajęcie dla *Maryi*.

Kończąc tę wzmiankę o Malczewskim, uczynić muszę uwagę, że jak zupełné unikanie wszelkich stosunków z kółkiem towarzyskiém w Warszawie, pozostawiło w ukryciu osobę poety, tak tło poematu, zupełnie na miłości oparte, nie rozbudziło umysłów, które za drażliwszym i bardziej męzkim żywiołem, ubiegały się wówczas i znalazły go w *Grażynie*, *Wierszu o historyi i Wallenrodzie*.



### III.

Spółeczność warszawska. — Towarzystwo dobroczynności. — Nowe gmachy i zakłady. — Upiększenie miasta. — Instytut głuchoniemych. — Wiejska Kawa. — Obóz. — Założenie Towarzystwa Kredytowego. — Bank. — Towarzystwo Oszczędności. — Nawa-chowitz i jego dramatyczne sztuki. — Resursa Kupiecka.

Lecz dosyć będzie na teraz o literaturze, a bardziej o moich osobistych literackich stosunkach. Jeszcze kilkakrotnie zwrócę się do nich, a tymczasem przejdźmy do innego przedmiotu.

Stan Warszawy w owéj epoce, zabawy towarzyskie, teatr, wznoszące się gmachy, nowe instytucye, bezwątpienia więcej zająć mogą czytelników, niżeli drobne rosterki między zwolennikami dawnéj i nowéj szkoły w literaturze.

Lecz w tym celu musimy cofnąć się o lat kilka i pogląd nasz zacząć od roku 1815.

Jak człowiek po ciężkiej gorączce potrzebuje wypoczynku i ciszy, tak i społeczność nasza, po gwałtownych wysileniach, kłamliwych nadziejach i gorzkich zawodach, które nią od 1807 do 1813 miały, po uniesieniu radości i wdzięczności wzbudzonej wspaniałomyślną opieką Cesarza ALEXANDRA I, powrotem dawnego imienia i nadaniem błogich i rozsądnych ustaw, zamknęła się w zaciszu domowym, obliczała swoje straty, usiłowała uratować i podźwignąć byt majątkowy, tak ciężkimi ofiarami mocno zachwiany. Nie było więc w owym czasie ani wystawnego życia, ani wielkiego ruchu. Handel bardzo był szczupły; gospodarstwo jeszcze się nie podniosło po ciosach, jakie zadały mu liwerunki, zaciągi żołnierzy i przechody wojska. Nie można dziwić się przeto, że ani piśmiennictwo, ani teatr, nie były w stanie kwitnącym. Zabawy ograniczały się na domowych kółkach; lecz były tém przyjemniejsze, że im nie towarzyszył niszczący zbytek. Tymczasem, coraz coś nowego, a pożytecznego przybywało. Rozwijał się Uniwersytet, powiększała się liczba jego uczniów; zja-

18 wiali się nowi pisarze. Dwa razy w ciągu tego czasu, przerwało tę ciszę zwołanie Sejmu w 1820 i 1825 r. i kilkakrotne przybycie Najjaśniejszego Cesarza i Króla. Wtedy, liczny zjazd obywateli i świetne bale dane na cześć Monarchy, przypominały Warszawie, że jest stolicą Królestwa.

Ważna instytucja, zawiązana w chwili kiedy najpotrzebniejszą była, bo wśród przechodów i klęsk wojennych, pomnożonych jeszcze nadzwyczajnym wylaniem Wisły, Towarzystwo Dobroczynności, którego pierwszy pomysł i popęd jest wieczną chwałą Ordynatowej Zofii Zamoyskiej, została ustalona i zasilona darami dobroczynnych osób i wsparciem rządu. Szacowną pamiątkę wznowie dla was czytelnicy, wypisując nazwiska pierwszych założycieli Towarzystwa Dobroczynności i osób, którzy najpierwsi do niego przystąpili, tak jak są wymienione w gazetach.

*Założyciele:* Zofia z książąt Czartoryskich hrabina Zamojska, Marya hr. Gutakowska, Anna z Zamojskich księżna Sapieżyna, Marya z książąt Czartoryskich księżna Wirtemberska, Ce-

cylia Beydale, Teresa Kicka. — Tomasz Wawrzecki, Józef Lipiński, Józef Kossakowski, J. A. Noffok, Walenty Schlässinger, Jan Anthoin, Michał Bergonzoni, Krempitz Sebastyan, Bartel Ignacy.

*Najpierwsi przystąpili do Towarzystwa Dobroczynności*, Stan. Ordyn. Zamojski, Ignacy Raczynski arcybis. Gnieźnieński, Kazimierz Zambrzycki biskup, Tomasz hr. Ostrowski prezes senatu, Aleksan. hr. Chodkiewicz, Tadeusz Matuszewic, Stan. hr. Potocki, Ksawery książę Lubbecki, Gołaszewski biskup Wigierski, ksiądz A. Wołowicz, ksiądz Jan Paweł Woronicz, ksiądz Adam Prażmowski, Stanisław Staszyc, ksiądz Koźmian, Michał Kochanowski, Ciechanowski biskup Chełmski, Aleksander Linoński, Stanisław Grabowski, Stanisław Węgrzecki prezydent miasta Warszawy.

Wyporzadzono dawne koszary dla wojska; przebudowano koszary gwardyi na szpital wojskowy; Arsenał i przy nim spustoszony kościół po zakonnicach ś-tój Brygidy, nową przybrały postawę. W pierwszym napełniono sale bronią palną i sieczną, w drugiej mieściła się fabryka przyborów wojennych. Przy ulicy Rymarskiej

stały dwa rządowe gmachy, Banku i Kommissyi Skarbu. Pałac Jabłonowskich zakupiono i wyporzadzono na ratusz Warszawy, tak jak jest teraz. Po zrzuceniu murów Marywili, utworzono obszerny plac, wzniesiono dwa pawilony i zaczęto budować nowy teatr. W dziedzińcu pałacu Kazimierowskiego postawiono pięć pawilonów, na bióra Kommissyi Oświecenia, na sale kursów akademickich, na gabinety zoologiczny i na mieszkania professorów przeznaczone. Sam także korpus uległ zupełnemu przerobieniu wewnątrz i zewnątrz i zapełniony został ogromem ksiąg, zwiezionych z różnych stron kraju i zakupywanych za granicą. Kościół Dominikanów Obserwantów rozebrano, a w tém miejscu stanął gmach *Towarzystwa przyjaciół nauk*, dziś na *Akademiją Medyczną* przeznaczony. Nagie wzgórza nad Łazienkami panujące, zamieniły się w obszerny i piękny Ogród Botaniczny, w którego środku wznosi się Obserwatorium Astronomiczne. Nie zapomniano o instytutach dobroczynnych. Szpital Dzieciątka Jezus przerobiono i ulepszono, toż samo zrobiono z szpitalem Ś. Ducha, a Towar-

rzystwo Dobroczynności uzyskało dawne gmachy po zakonnicach Karmelitkach, fundusz na ich przekształcenie i zastosowanie do nowego przeznaczenia. Kościół ś. Aleksandra, przy końcu ulicy Nowego - Świata, na placu przy Trzech Krzyżach wzniesiony, upiększył tę część miasta i zaspokoił potrzebę duchowną, co raz bardziej wzmagającą się ludności. Piękne drogi bite, ułatwiły mieszkańcom przejażdżki do Bielan, Marymontu, Królikarni i do wiejskich domków za Pragę. Wielka alea Jerozolimska, która dziś już po części do zabudowanych ulic miasta należy, także zasięga téj epoki. Oprócz tego, co rok wzniosło się kilkadziesiąt nowych domów, do czego silnie dopomagały pożyczki rządowe, w tym celu udzielane. W odległych ulicach miasta, założone fabryki, jako to: sukienna Frenkla, dywanów Gejsmera, wyrobów chemicznych Hirszmana i Kijewskiego, młyn parowy Towarzystwa Wyrobów zbożowych, wskazywały obudzenie się ruchu przemysłowego w kraju naszym.

Czyliż mógłbym zamilczeć o Instytucie Głuchoniemych i o szanownym jego założycielu



księdzu Falkowskim? Co Boduin działał dla sierot i opuszczonych niemowląt, to ksiądz Falkowski dla nieszczęśliwych pozbawionych słuchu od urodzenia, a zatém i mowy. Wytrwałość i ufność w Bogu ożywiała tych dobroczyńców ludzkości i doprowadziła do zamierzonego celu. Tak to niezłomna wola i zwrócenie wszystkich usiłowań do zbawiennego przedsięwzięcia, prędzej czy później uwieńczona będzie pomyślnym skutkiem. Zakład głuchoniemych, z razu szczupły i ubogi, wzrastał zwolna, walczył z trudnościami i niedostatkiem, nareszcie wsparty łaską i opieką N. Cesarza ALEXANDRA I, rozwinał się i ustalił. Pozostała po księdzu Falkowskim jedna myśl pożyteczna, obfita w przyszłe plony, a zapomniana razem z jego zgonem. Myślą tą było założenie drukarni przy Instytucie głuchoniemych i drukowanie przez usposobionych wychowanców zakładu, książek mogących wpłynąć na oświatę i wykształcenie ubogich klas społeczeństwa. Zdaje się, że drukarstwo byłoby jedném z najwłaściwszych i najprzyjemniejszych zatrudnień dla głuchoniemych; że bardzo wielu z pomiędzy nich znalazłoby w niém przy-

zwoity sposób do życia. Gdy tyle zacnych i użytecznych pomysłów przychodzi do skutku, za wsparciem dobroczynnych przyjaciół ludzkości, spodziewać się trzeba, że i ta myśl księdza Falkowskiego zostanie wzięta na uwagę, a jój wykonanie byłoby nowym hołdem, oddanym pamięci tego świątobliwego kapłana. Oby ta wzmianka przyłożyła się do tego celu!

\*

\*

\*

Teraz, gdy dwa teatra, bale, koncerty, świetne wieczory i liczne miejsca dla zabawy publicznej otwarte, dostarczają rozrywek w porze zimowej, stałym mieszkańcom, albo gościom Warszawy, czas schodzi w ciągłym ruchu, wrzawie i zajęciu. Lecz przed trzydziestu i kilku laty, Warszawa może była miłszą w porze wiosennej i letniej, <sup>nie</sup> jak w zimie. Ogród Saski nowo urządzony i rozprzestrzeniony, Łazienki, ogród Botaniczny, Królikarnia, Bielany, ogród Unruha (dziś Ohma) za Wolskimi rogatkami, Potok, kolonia Winena na Pradze, Saska kępa, były miejscami niekosztownych wycieczek. W zimie zaś, jeden teatr tylko od czasu do cza-

su liczniej odwiedzany i przejażdżki na Wiejską kawę w godzinach poobiednich, stanowiły głośniejszą rozrywkę wykształconej klasy społeczeństwa. Wiejska kawa istnieje do dziś dnia, ma wygodne salony, a publiczność zupełnie się odwróciła od niej. Wtenczas zaś, gdy mieściła się w biednym domku drewnianym, na pół w ziemię wrosłym, gontami pobitym, które pozielieniały od starości i jeszcze pamiętały wiek Stanisława-Augusta, to w świętek, czy w piątek, było tam zawsze tak pełno po południu, że się i do miejsca i do kawy docisnąć nie mogli. To prawda, że kawa była wyborna, filiżanki spore poncz smaczny, a babki wyśmienite. Co rocznie wojsko zbierało się do obozu, między Powązkami a Marymontem założonego, na ćwiczenia wojenne. Wkrótce miejsce to zamieniło się w jakąś koloniją. Przy namiotach oficerskich pozakładano ogródki; pułki ubiegały się z sobą o wyższość w ozdobieniu i porządnem utrzymaniu namiotów i ogrodków. Codziennie Warszawianie przyjeżdżali tam odwiedzać swoich krewnych i przyjaciół.

Jako lata największej stagnacyi, tak pod umy-

słowym, jak towarzyskim i rolniczym względem, uważać można rok 1821, 1822 i 1823.— Przyczyną tego był upadek cen zboża, który tak widocznie wpływa na zamożność i ruch Warszawy, trudne położenie skarbu i inne powody, które do zakresu wspomnień towarzyskich i literackich wchodzić nie mogą, i będą udziałem pracy późniejszych historyków naszego kraju. Od 1824 r., widzimy powolne, lecz z czasem co raz to większe ożywienie. Książę Franciszek-Ksawery Lubecki, został ministrem skarbu, i zajął się jego podźwignieniem. Użył do tego celu środków, niezgodnych może z teorią nauki finansów, ale które w gruncie rzeczy okazały się pożytecznymi i zbawiennymi. Pomnożenie dochodów skarbowych oparł na całym systemacie prohibicyjnym i na wydzierżawieniu dochodów konsumcyjnych we wszystkich miastach, na zaprowadzeniu monopolium kupna i sprzedaży okowity w Warszawie, nareszcie, na lepszym urządzeniu monopolium tabaki. Środki te były z początku dotkliwe, mianowicie właścicielom gorzelni, istniejących w Warszawie, których liczono kilkanaście. Mi-

nister skarbu wyjednał ich zniesienie. Główną przyczyną tego kroku był wzgląd, że gorzelnie w mieście nie przyczyniają się do wzrostu gospodarstwa rolnego i ułatwiają defraudacyę wódki. Skarb, uporządkowany i zasilony temi źródłami dochodów, pomnożył zapasy swoje otrzymaném wynagrodzeniem od rządu Austryackiego, za dostawy wojenne i inne preten-sye z czasów księstwa Warszawskiego. Wten-czas, książę Lubecki, mając kilkanaście milio-nów w zapasie, przyprowadził do skutku za-łożenie Towarzystwa Kredytowego i Banku, dwóch instytucyj tak pożądaných, a które sil-nie wpłynęły na rozwinięcie bogactwa krajowe-go. Instytucya Towarzystwa kredytowego, jak każda nowość, musiała pokonywać rozmaite przeszkody, a mianowicie nieufność kapitali-stów. Kurs listów zastawnych z początku zale-dwie wynosił 76 za sto, lecz w parę lat doszedł do 85, a w 1830 roku stanął na równi z brzęczą-cą monetą. Działania banku polskiego i zawią-zane przezeń stosunki z zagranicą, najwięcej się do tego przyłożyły. Zaliczenia udzielane przez Bank i przez Skarb królestwa, ułatwiły

założenie mnóstwa fabryk sukiennych i wyrobów bawełnianych. Jednocześnie związało się towarzystwo Wyrobów Zbożowych, przez akcyę w tym celu wypuszczone. Lecz kapitał akcyonaryuszów był zbyt mały, bo zaledwie 300,000 złp. dochodził. Młyn zaś kosztował około miliona złp. Brakujących funduszków dostarczył Skarb i Bank polski. Z tak szczupłym kapitałem własnym, niedostatecznym na zniesienie przypadkowych strat, już towarzystwo w związku samym nosiło zaród upadku. Pomnikiem tego pomysłu, pozostał młyn parowy na Solcu, lecz jego przemiany i dola, przechodzą zakres tych wspomnień i należą do historii przemysłu w Polsce.

Jednocześnie z młynem parowym, nasuwa się wspomnienie o pierwszém Towarzystwie Oszczędności, założoném w 1827 r. Założyciele téj instytucyi, tak ważnej i pożytecznej dla uboższych klass, zwłaszcza dla czeladzi rzemieślniczej, służących, wyrobników i drobnych handlarzy, uzyskali pozwolenie na jęj otwarcie, lecz nie otrzymali nieuchronnej gwarancyi ze strony rządu, że fundusze złożone w kassie oszczę-



dności, nigdy na stratę narażone być nie mogą. Nie otrzymali także żadnego zasiłku na koszt administracyi i rachunkowości, przynajmniej na początek. Oba te dobrodziejstwa posiada teraz istniejąca kassa oszczędności, pod bezpośrednią opieką i kierunkiem władzy zostająca i licząca przeszło 300,000 r. sr.

W takim stanowisku, założyciele Towarzystwa oszczędności, ogłosili, że pieniądze do kasy téj instytucyi wnoszone, umieszczane będą w listach zastawnych, jako jedynéj owsześnej lokacyi; że zaś opłata przy wstąpieniu i wystąpieniu Towarzystwa, stanowiła jedyny fundusz na zapłatę rachmistrza, kassjera, i wygotowanie akcyi (rada Towarzystwa bezpłatnie wypełniała czynności swoje), przeto nieograniczono wysokości kwot składanych na oszczędność, przyjmowano i najmniejsze i największe. Każdy ze składających wiedział i był o tym uprzedzony, że za jego pieniądze zakupione będą niezwłocznie listy zastawne, że jego rachunek będzie prowadzony na też listy, że zatem jego fundusz wzrość lub zmniejszyć się może, stósownie do stanu kursu listów za-

stawnych. W tym była słaba strona téj instytucji. Ówczesne Towarzystwo oszczędności liczyło akcyonaryuszów posiadających po kilkadziesiąt, a nawet po kilkakroć sto tysięcy w kasie Towarzystwa. Byli tacy, którzy z dochodów swoich co miesiąc wnosili po pięćset lub tysiąc złotych. Była więc bardziej kasą depozytową prywatnych kapitalistów, niżeli kasą oszczędności: bo każdy posiadacz kwoty większej nad 200 złt. mógł sam zakupić list zastawny, i mieć w własnym biurku swoją kasę oszczędności. Korzyść osiągnięta z wylosowania listów zastawnych, dzieliła się między wszystkich członków, w miarę złożonych pieniędzy. Kurs listów zastawnych ciągle wzrastał, przeto po pierwszym roku istnienia Towarzystwa, członkowie mieli dywidendę, ze składanego procentu, z zysków na wylosowaniu i podniesieniu kursów, razem blisko 15 na sto wynoszącą.

Drobnych kwot z rzeczywistój oszczędności pochodzących, składanych czy to w miesięcznych ratach, czy na raz jeden, było nie wie-

le : co oznaczało, że instytucji téj jeszcze nie pojmuje i nie ocenia ogół mieszkańców.

Summy średnie i większe, z dołączeniem drobnych, wynosiły kapitał około sześciu milionów złp. W następnych latach, w 1829 i 1830, dywidenda członków Towarzystwa, już nie mogła być tak znaczna, bo podniesienie kursów listów zastawnych, zmniejszało korzyści losowania i wzrostu kapitałów. Zawsze jednak była między sześć, a ośm od sta. W końcu 1830 r., i na początku 1831 z powodu zaburzeń krajowych, listy zastawne spadły bardzo, bo na 65 za sto, a jednocześnie wszyscy rzucili się do odbierania swoich funduszy. Cały kapitał powierzony Towarzystwu oszczędności, był w listach zastawnych i niemi wypłacony został. Kto więc złożył w końcu roku 1829 gotowizną złt. 1000, ten otrzymał za rok procentu i zysków losowania zł. 50 razem 1050, lecz otrzymał tę kwotę w listach zastawnych, a że stały na 65 za sto, przeto spieniężając je u wexlarzy, dostał tylko 680 złp.

Ogół publiczności zapomniał, albo nie chciał zważać na to, że był zawiadomiony, iż

za wniesione pieniądze, zakupywane są listy zastawne, po bieżącym kursie; wiedział tylko, że za 1,000 ma teraz 680. „Piękna mi oszczędność, wołali.” Każdy z zimną krwią patrzący na te wypadki, oceni, że inaczej byź nie mogło, i że kapitał w listach zastawnych umieszczony, byłby w owym czasie uległ takiemu samemu losowi, czy w ręku właściciela, czy w kassie oszczędności. Kto nie potrzebował użyć odebranych pieniędzy i z listami zastawnymi czekał, to za przywróceniem spokoju i porządku, gdy listy zastawne poszły w górę, nie stracił, lecz jeszcze zyskał. Taki wypadek zniechęcił od téj instytucyi i zrządził jéj ostateczne rozwiązanie.

W roku 1844, założona przez rząd, pod kierunkiem Dyrekcyi ubezpieczeń, nowa Kassa Oszczędności, nie przyjmuje kwot wyższych nad 150 rsr. lecz za to gwarantuje całość funduszków, nie w papierach procentowych ulegających podwyższeniu i spadnięciu, lecz w gotowiźnie. Instytucya ta daleko lepiej jest pojęta i uznana przez teraźniejszą społeczność, niżeli dawniejsze Towarzystwo Oszczędności.

Leon Newachowitz *administrator* czyli właściwie dzierżawca konsumpcyi w Warszawie, a sprzedaży i wyrobu tytoniu w całym kraju, był celem docinków i żartów publiczności, która znosząc przykrości wynikające z powodu rewizyi przy wjeździe do Warszawy, a nawet zarządzanej po domach prywatnych w razie denuncyacyi, nie lubiła tego kto był ich sprawcą. Urządziły się w okolicach Warszawy, hordy przemycarzy spirytusu, którzy w tym zyskowym niekiedy, a częstokroć stratnym przemyśle, szukali utrzymania życia, bez ciężkiej pracy. Od defraudowania wódki, do włóczęgostwa i złodziejstwa jest przedział szczupły i łatwy do przebycia. Co noc, cały obręb Warszawy, w około rogatek, trzy mile wynoszący, był placem wyścigów, gonitw, a nieraz i bitew, między defraudantami a strażą konsumpcyjną.

Newachowitz wiedział o tém, że publiczność bardziej mu za złe ma, trzymanie konsumpcyi, niżeli tabaki i często przed znajomemi narzekał na to, że go książę minister skarbu prawie zmusił do podjęcia się tego ciężaru, na którym przecież bardzo dobrze wychodził. Nie

poprzestał pan Newachowitz na czynnościach spekulacyjnych, lubił zatrudniać się literaturą, mianowicie dramatyczną. Pisał teatralne sztuki w języku rosyjskim. Jedna z nich, za jego staraniem przełożona została na język polski i grana w teatrze warszawskim, był to zdaje mi się dramat, p. t. *Abu-Hassan*. Nie byłem na reprezentacyi, to tylko pamiętam, że sztukę dosyć źle przyjęto, tak z powodu jej małej wartości literackiej, jako też niechęci ku autorowi. Nauczony doświadczeniem, nasz metroman, drugą sztukę swoją, trajedią z dziejów Perskich powziętą, przedstawił na amatorskim teatrze w własném pomieszkaniu i na tę reprezentacyą zaprosił bliskich znajomych, urzędników z kommissyi Skarbu i literatów warszawskich. I ja więc dostałem bilet zapraszający. Artysta teatru warszawskiego, pan Aszperger, zajmował się urządzeniem całego widowiska, on grał główną rolę, on uczył amatorów, którym inne role poruczono. Grali w tej sztuce urzędnicy z biurą konsumpcyi i administracyi tabacznój. Już nie pamiętam jakie panie grały rolę kochanki i nieuchronnój powier-



nicy. Widzów było przeszło sto osób, teatrzyk kształtny i dobrze urządzony. Siedział przedemną sam autor p. Newachowicz, a obok niego Ludwik Osiński. Jeden z amatorów artystów, niezmiernie psuł i kaleczył rolę swoją.

— Szkoda, żeś pan komu innemu téj roli nie oddał: rzekł Osiński do Newachowicza: jego gra psuje efekt całej sztuki.

— On jest z biura konsumpcyi! zawołał Newachowicz. Oni są wszyscy do niczego! Co ja mam z niemi i z tą konsumpcyją za umartwienie! Patrz pan, ten drugi z biura tabacznego, gra daleko lepiej. Ale tak jest zawsze!...

Po odegraniu pięciu aktów, nastąpiła wieczerza, szampanem i węgrynem okraszona. Tyle tylko zostało w pamięci mojej z tego widowiska; sztuki nie pamiętam; nie musiało być w niej nic takiego, coby obudziło silne zajęcie i utkwilo w umyśle.

W roku 1820 założoną została Ressursa Kupiecka, utrzymująca się bez przerwy, aż do dni naszych. Początkowo zajmowała pierwsze piętro w pałacu Zejdlera, niegdyś Feliksa Potockiego, przy ulicy Miodowej. Członków li-

czyła zaledwie trzysta. Wybory odbywały się z bardzo wielką ścisłością i baczeniem. Sala balowa była nie wielka, parę pokoiów do wista, trzeci billardowy, czwarty przeznaczony na czytelnię, piąty na salę jadalną, stanowiły cały lokal ressursy. Ze wzrostem miasta i z pomnożeniem się liczby członków, ressursa przeniosła się do pałacu Mniszkowskich, który, za staraniem bankiera Piotra Steinkellera i kredytem przez niego wyjednanym, na ten cel nabyty i przerobiony został. Świetniejsze są teraz sale, lokal daleko obszerniejszy, członków ressursy cztery razy więcej, a przecież wielu, zwłaszcza ze starszego pokolenia, żałuje cichych, niekosztownych, a miłych zebrań w domu Zejdlera.

---



## IV.

Ówczesna społeczność Warszawska. — Zabawy. — Osiński. — Sagatyński. — Anegdoty tegoż. — Napoleon w Berdyczewie. — Zbytńia delikatność guwernantek francuzek. — Jak trzeba mówić do J. W-go hrabiego. — Francuz, uczony jeograf. — Anegdota o księciu *Panie kochanku*.

Ówczesna społeczność Warszawska, dzieliła się na małe kółka rodzinne; składali je blizcy krewni, zażyli przyjaciele i ich dzieci. Wist dawny, prosty, bez dodatków i urozmaiceń, które zamieniły go w grę kosztowną i na pół hazardowną, był rozrywką starszych. Młodzież tańczyła przy fortepianie, albo téż bawiła się w gry pobudzające dowcip, łączące rozrywkę i pożytek. Niekiedy czytano nowe dzieła i czyniono nad niemi uwagi. Wist nie ciągnął się dłużej, jak przez trzy robry; po czém starsi łączyli się z towarzystwem młodszych. Każda rodzina wybierała sobie jeden dzień w tygodniu,

i tak się urządzali, że kilka lub kilkanaście domów, tworzyło jedno zebranie i w wspólném towarzystwie przepędzało wieczory. Domy Feliksa Bentkowskiego, Jana Kantego Krzyżanowskiego, Onufrego Lewockiego, Jana Krużyńskiego, Lacha Szyrmy, Karola Hoffmana i Dyonizego Minasowicza, którzy wszyscy byli albo professorami, albo literatami i członkami Towarzystwa Przyjaciół nauk, tworzyły, że tak powiem, ognisko myślącój wówczas społeczności warszawskiej. Do nich przydać należy dom mecenasa Tarczewskiego i Karola Wierzbołowicza. Tam, bez wystawności, bez zbytków, umiano przyjemnie przepędzić chwile, wolne od zatrudnień nauczycielskich i naukowych.

Na tych zebraniach, można było spotkać mężów sędziwych i zasłużonych, jako to: Rektora uniwersytetu księdza Szwejkowskiego, Michała Wyszковского Referendarza Stanu i Józefa Lipińskiego wizytatora szkół, tłómaczy kilku tworów literatury klassycznej, odznaczających się gruntownym sądem i smakiem; czasami bywał na tych zebraniach Ludwik Osiński, professor literatury, dyrektor teatru warszawskiego i ożywiał je dowcipem swoim.

Towarzystwa powyżej wymienione, ułatwiały młodym pisarzom, poznanie się i zawiązania stosunków ze starszemi. Żadnemu z nich nie odmówiono uprzejmego i serdecznego przyjęcia: może to poświadczyć A. E. Odyniec, autor Felicyty, tłumacz Szyllera i Mura, który w owój epoce, lat kilka w Warszawie przepełdził. Też same osoby zaszczyliły i uprzyjemniły obecnością swoją mój domek, gdy w 1827 r. zawarł związki małżeńskie.

W owój epoce, było dwóch ludzi odznaczających się dowcipem, wesołością i talencie opowiadania, Ludwik Osiński i Jan Sagatyński. Pierwszy, sławny w całym kraju od lat dwudziestu kilku, jako tłumacz arcydzieł Kornela, jako autor poezyj lirycznych na cześć Kopernika i na powrót wojska z wyprawy galicyjskiej, znakomity prozaik. Posiadał on dowcip ucinkowy i częstokroć nie zważał, że dla powiedzenia jakiego żartu, dla rozsmieszenia towarzystwa, może kogoś obrazić i zniechęcić. Późniejsze pokolenie literatów, do dziś dnia nie może mu zapomnieć owego przeinaczenia czyli parodyi dwóch wierszy Mickiewicza:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,  
Co to będzie, co to będzie.“

ipoczytują ten żart za obrazę wielkiego poety. Mogę zaręczyć, a pamięć moja, dotąd dzięki Bogu, służy mi jak najlepiej, że Osiński odezwał się z tą parodyą, nie na publicznym kursie literatury, jak teraz powszechnie utrzymują, ale w prywatném towarzystwie, prawie bez myśli, w chwili gdy szło o rozrywkę, nie o gruntowną krytykę i ocenienie autora. Nie zdołam powtórzyć żadnej z licznych, a tak wesołych i zajmujących opowiadań Osińskiego. Wartość ich polegała głównie na jego talencie, na tém chwilowém przelotném pochwyceniu śmieszności, które ginie razem ze słowami opowiadającego.

Sagatyński był bardzo miłym i pożądanym w towarzystwie, ale talent jego odmienną miał cechę. Nigdy w swoich żartach nie dotknął i nie obraził niczyjój osobistości. Dawne czasy, dawne dwory naszych panów, ich śmieszności, dostarczały mu bogatych materyałów. Z anegdot od niego słyszanych, pamiętam kilka i przytoczę je, chociaż wiem, że w mojem powtó-



rzeniu bardzo wiele stracić muszą. Książę Radziwił *panie kochanku*, stary książę Czartoryski, hrabia Łoś z Galicyi i pani starościna Dul-ska, były ulubionym tematem jego opowiadania.

Zwykle, po skończonej partyi wista, albo po kolacyi, kiedy już goście myśleli o powrocie do domu, Sagatyński zaczynał opowiadać.

„Powiadałem wam panowie: rzekł pewnego razu: że podczas pobytu mego we Lwowie, żyłem w ścisłej przyjaźni ze starostą Antonim D..... dobry to był człowiek, najuniżeńszy sługa swojej żony i samowładnej pani. Burze małżeńskie trafiały się bardzo często; a wtedy pan Antoni uciekał z domu, przychodził do mnie, wyprowadzał na butelkę węgrzyna i przy kieliszku wynurzał swoje kłopoty małżeńskie. Zwykle kończyło się na tém, że mię wyprawał na rekonesans wojskowy, czyli jego połowica już ochłoneła i czyli bez narażenia się na niebezpieczeństwo, może wrócić do domu. Takie burze przytrafiały się raz, czasem i dwa razy, lub więcej na miesiąc.

„Pewnego dnia przyszedłem do państwa D... Tylko com wstąpił na schody, słyszę, że ktoś

z pośpiechem zbiega na dół. Mąż to uciekał, a jejmość stojąc w sieni na pierwszém piętrze wykrzykiwała na niego: próżniaku! niezdaro! niedołęgo! i t. d.

— „Panie Janie, zmiłuj się, ratuj mię: zawołał starosta; powiedz co mojej żonie, uspokój ją. Od trzech dni szatan ją opętał i nie mam ani jednej chwili spokojnej; cały dom przewrócił z gruntu. Czekam cię u Węgrzyna w rynku. „Uzbroiwszy się w odwagę, idę na górę. Pani staroscina jeszcze stała we drzwiach przedpokoju.

— Witam łaskawą panią, rzekłem: przychodzę z wielką i bardzo ważną wiadomością.

— Co mi tam po waszych wiadomościach! krzyknęła. Przychodzisz z głupimi plotkami durzyć i bałamucić mego męża! Obadwa jesteście hultaje, łotry, próżniaki! Oto zamiast zbierania jakichs wiadomości, pilnowalibyście raczej waszych interesów.

„Gdy tak pani staroscina wygadывała na mnie, myślałem co tu zrobić. Wiedziałem że jest wielbicielką Napoleona, a nie cierpi Ormian lwowskich: miała bowiem kamienicę we Lwowie i o najęcie sklepu, pokłóciła się z jednym

kupcem ormiańskim tak, aż przyszło do processu o obelgi i wzajemne pretensye. Postanowiłem dobry uczynek wykonać, pogodzić ją z Ormianami i rozproszyć zły humor.

— Wielka i ważna wiadomość pani Starościno! powtórzyłem mocnym głosem: Napoleon ujechał z wyspy Ś. Heleny.

„Te słowa czarodziejski skutek wywarły. Gniew pani D..... zgasł w mgnieniu oka.

— Panie Janie! proszę cię, proszę, rzekła. Wszedłem za nią do bawialnego pokoju; usiadłem na krześle, udając żem niezmiernie przerażony i wzruszony.

— Jak to? Napoleon ujechał z wyspy Śtój. Heleny? Już go tam nie ma? Proszę cię, powiedz jak to się stało? Mów czém prędzej!

— Ach! niechże mi pani pozwoli odetchnąć trochę. Tak jestem przerażony! tak zmartwiony. Czyliż po tylu latach zażyłej przyjaźni, mogłem spodziewać się od pani starościny takiego przyjęcia, takich wymówek, takich obelg!?

— Przepraszam cię! przepraszam! kochany panie Janie, rzekła ściskając mię za rękę. Ty mię znasz, że jestem trochę prędką, ale zawsze

cię poważam i lubię. A jakże, Napoleon? Napoleon?

— Zaraz, zaraz. W głowie mi się mąci, nie mogę przyjść do siebie. Ja mam słabe nerwy, to każda taka kłótnia domowa.....

— No, no, uspokój się, ... Może napijesz się wody z cukrem, albo z sokiem? Może kieliszek wina?

„Zerwała się z krzesła i wybiegłszy do drugiego pokoju, krzyknęła na całe gardło:

— Hej, Kasiu! Antosiu! Janie! prędzéj! wody! wina! szklanek!

„Garderobiana przybiegła zatrwożona, rozumiejąc że kto zemgłał.

— Ale, Napoleon? Napoleon? — gadajże na miłość Boską.

— Napoleona nie ma na wyspie Śtój Heleny: ujechał.

— Jakim sposobem? Któż go uwolnił?

— Ormianie!

— Jak to? Ci kramarze? filuci?

— Tak jest, pani Starościno. Oni do takich rzeczy najzręczniejsi; oni za pieniądze wszystko robią.

— Ale jakże to było?

— Oto tak. Bracia Cesarza ugodzili się z Ormianami, że im dadzą pięćdziesiąt tysięcy talarów za uwolnienie Napoleona i zawarli o to urzędowy kontrakt przed notaryuszem w Brodach, ale w sekrecie wielkim, i dali zadatku dziesięć tysięcy talarów. Ormianie upatrzyli noc niezmiernie ciemną, ale to tak, że o dwa kroki nie było widać człowieka. Po cichu podjechali pod Ś-tą Helenę, brodzką bryką, w trzy dobre konie i stanęli tak, że wiatr nie od nich, ale do nich szedł od mieszkania Napoleona. Jeden z nich podsunął się pod okna gabinetu. (Miał, jak widać, jakiś sekret, żeby ogromne brytany angielskie, które tam stały na łańcuchach przy każdych drzwiach i przy każdym oknie, nie rzuciły się na niego i nie zaszczekały.) Zajrzał w okno, a właśnie Napoleon czytał książkę. Zapukał umówionym od dawna sposobem. Napoleon wstał i otworzył okno. Ormianin rzekł:

„Teraz czas, niech Wasza Cesarska Mość wyjdzie oknem i ujeżdża, wszystko gotowe.”

I tak się stało. Ormianin był to silny czło-

wiek, wziął Napoleona na ręce i zaniósł do bryki. Wsiedli obadwa, woźnica ruszył z początku wolnusieńko, a potem najtęższym kłusem. Kiedy Anglicy postrzegli się, już było za późno. I tak szczęśliwie udał się im ten zamiar.

— A gdzież on jest teraz?

— W Berdyczewie, pani dobrodziejko. Wystaw sobie pani staroscina, że tak mieli dzielne konie i tak lecieli, że tylko trzy razy popasali i jeden tylko nocleg odbyli, od Ś-ój Heleny aż na miejsce.

Pani staroscina nie była biegła w jeografii i dobrodusznie uwierzyła moim słowom.

— I cóż on robi? zapytała.

— Mieszka w Berdyczewie, mościa dobrodziejko, u Grzegorza Jarmutowicza, najbogatszego kupca w tém mieście. Ale za parę dni wybiera się do Paryża.

— Czy u brata tego hultaja, co się ze mną processował?

— Tak jest, pani dobrodziejko i właśnie ów brat jego powiedział mi tę wiadomość ze wszystkimi szczegółami.



— Kiedy tak, pogodzę się z Ormianami i daruję im wszystkie moje krzywdy. Jeżeli zechcą, to im wynajmę sklep, który już od roku stoi próżny, bom się zakłęła, że go żadnemu z nich nie wypuszczę.

„Od téj chwili, pani starościna była w jak najlepszym humorze; każdemu rozpowiadała o ucieczce Napoleona, a mianowicie officyalistom Austryackim. Prawda wykazała się nie zadługo i wszystko byłoby skrupiło się na mnie; lecz właśnie już byłem na wyjezdném ze Lwowa do Warszawy, i mogłem nie lękać się gniewu pani starościny.”

Sagatyński nie wtrącał bez potrzeby swoich przypowiastek, byleby tylko dogodził chęci opowiadania, jak to czyni wielu, chcących uchodzić za wesołych i dowcipnych w towarzystwie. Mówił, gdy zdarzyła się stosowna pora; i tak naprzykład: na jedném z naszych zgromadzeń wieczornych, narzekano, jak to dotąd dzieje się, na sprowadzenie bon i guwernantek z Francyi i Szwajcaryi, a na lekceważenie naszych Polek, oddających się temu mozolnemu zawodowi.

— Szlachta nasza, za Poniatowskiego inaczej myślała, rzekł Sagatyński, guwernantki francuzkie znane były tylko w domach magnackich, ztamtąd zagaściły się z czasem po dworach szlacheckich. Bogaty szlachcic, dawny rządca klucza Sieniawskiego, bał się ich jak ognia i zawsze mówił, że Francuzki są grymaśne, delikatne i nie utrzymają się w domach polskich. Na dowód przytoczył mi swoje własne zdanie.

— A jakież to było? zawołaliśmy jednozgodnie.

— Stary książę, jenerał ziem Podolskich, wynagradzając długie i gorliwe usługi swego rządcy w dobrach Sieniawskich, dał mu jedną wieś dożywociem, a parę folwarków wypuścił za umiarkowaną dzierżawę. Szlachcic dorobił się majątku i za pomocą księcia uzyskał tytułik ziemski; został cześnikiem. Księżna stara, trzymała do chrztu jego pierwszą córkę; szło jej więc o to, żeby jej chrzestna odebrała przyzwoite wychowanie. Gdy pewnego razu szlachcic przyjechał do dworu z dzierżawną kwotą, księżna rzekła do niego:

— Mości panie Szymonie, Bóg ci pobłogosławił; przyszedłeś do majątku i do urzędu ziemskiego. Nie masz syna, lecz tylko dwie córki; warto byłoby żebyś pomyślał o ich edukacji. Dla czegoż dotąd nie mają guwernantki?

— A skądże jój wziąć, jaśnie oświecona pani? odpowiedział pan Szymon, kłaniając się do kolan księżnie. One drogo kosztują; to za ciężko na moją ubogą kieszeń; a przy tém, slyszalem, że guwernantki są takie grymaśne, i żadna nie utrzyma się w domu szlacheckim.

— O pieniądze się wasan nie turbuj: rzekła księżna: teraz można dostać nauczycielki francuzki, wcale nie drogo; a ja chcę, żeby moja chrzestna córka i jój siostra, otrzymały przyzwoitą edukacyą.

— Zdaje się na wolę jaśnie oświeconej pani, odpowiedział cześnik.

Księżna kazała wyszukać guwernantki w Warszawie i posłała ją szlachcicowi.

W pół roku potém, gdy na imieniny księżnej, przyjeżdżali z attencyą wszyscy klienci domu, przybył także i pan Szymon.

Księżna, z kolei zobaczywszy go, zapytała się natychmiast.

— A cóż, czy wacan kontent jesteś z guwernantki Francuzki? Czy panny już postąpiły w nauce języka francuzkiego?

— Żal się Boże łaski jaśnie oświeconej pani! odpowiedział szlachcic. Nie na próżno mówiłem, że te Francuzki są takie grymaśne i delikatne, i nie utrzymają się w domu szlacheckim. Guwernantki już nie ma.

— Jak to? gdzie się podziała?

— A czy ja wiem, jaśnie oświecona pani? Francuzka powędrowała w świat; Bóg ją tam wie dokąd!

Na rozkaz księżnej, musiał pan Szymon opowiedzieć rzecz całą, ze wszystkimi szczegółami.

— Z początku szło niezgorzej, jaśnie oświecona pani; tylko Francuzka nie mogła nazwyczajć się do barszczu na wędlinie i do polskiej kaszy; ale to mniejsza. Kazała sobie gotować jakieś tam zupy z włoszczyzny, i nie mieliśmy przeciw temu. Lecz pewnego razu, przekonałem się, że mój pisarz prowontowy, kradł

mi okowitę i wydawał ją żydom. Kazałem łotra przyprowadzić przede dwór, rozciągnąć na pieńku i własną ręką umyśliłem odliczyć mu, jak się należało, pięćdziesiąt batów: bo to był syn cząstkowego szlachcica. Było to, na nie-szczęście przed oknem pokoju guwernantki. Usłyszawszy krzyki, wybiega z pokoju i chwytą mię za rękę, krzycząc: *lese! lese! monsie!* Czy ja tam wiem, co ona gadała?

— Idź wasani do dzieci: odpowiedziałem, a nie wdawaj się w to, co do jójmości nie należy: a byłem strasznie rozgniewany. Francuzka tymczasem ciągle mię chwytiała za rękę i krzyczała: *lese! lese!* Zniecierpliwiony, odwróciłem się ku niej i skropiłem ją raz czy dwa razy przez plecy, wołając: „a do dzieci! a do dzieci!“ Krzyknęła i uciekła. Ochłonawszy z gniewu, poznałem, żem głupstwo zrobił. Chciałem ją przeprosić i wynagrodzić, ale już Francuzki nie było. Uciekła na piechotę z węzełkiem w rękę; przepadła jak gdyby kto kamień w wodę rzucił. Trzeciego dnia dopiero, dowiedziałem się, że najętym furmanem żydem, odjechała z pobliskiego miasteczka prosto do Warszawy. Proszę

jaśnie oświeconej pani i byłoż to o co tak się gniewać i uciekać? Ale te Francuzki to są takie grymaśne i delikatne. Ja mówiłem zawsze, że się nie utrzymają w domu szlachcica.

Ośłupiała księżna, usłyszawszy taką historią.

— Pięknie się wasan popisałeś, rzekła i zrobiłeś honor naszemu dworowi. Co tam o Polakach powiedzą Francuzi, po takiem obejściu się z ich rodaczką?

To rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, odeszła.

Zmieształ się pan Szymon, widząc gniew księżnej; ale potem, gdy po wyjściu obojga księstwa, sama szlachta została, odezwał się jeden z nich:

— Już ci przyznaj cześniku, żeś głupstwo zrobił. Ale nie ma złego, któreby na dobre nie wyszło. Co nam po guwernantkach francuzkach? Nasze matki, babki i prababki obyły się bez téj wielkiej nauki cudzoziemskiej, a były z nich dobre żony i gospodynie. Żeby tak wszystkie Francuzki, co Bóg wie zkąd zaczynają zwłóczyć się do nas, wypłoszono tym samym



sposobem, to może lepiej byłoby w naszym kraju.

\* \* \*

Anegdota o téj Francuzce, tak niegościnnie przyjętej przez pana cześnika, przywiodła mi na pamięć inne zdarzenie, do którego także wchodzi Francuz. Lecz ją z innych ust słyszałem, nie od Sagatyńskiego.

W 1814 r., może na miesiąc przed wzięciem Paryża, książę A... C... jadąc za Najjaśniejszym Cesarzem ALEXANDEM I, zatrzymał się czas niejaki w Nancy. Całe miasto wypełnione było wojskiem sprzymierzonym i książę musiał mieścić się w dwóch pokojach, z których jeden sam zajmował, a w drugim mieścił się jego przybożny sekretarz. Gospodyni domu, była wdowa, kobieta dosyć grzeczna i książę czasem przychodził po obiedzie na dół do jej pokoju bawialnego. Postrzegł tam młodego Francuzika, jej syna, który niedawno przybył z Paryża. Matka ubolewała, że z powodu rozruchów wojennych, jej syn postradał zatrudnienie, z którego żył w Paryżu i spodziewał się z czasem awan-

su. Ułożenie tego chłopca, dosyć podobało się księciu.

— Pogadaj pan z nim, rzekł do sekretarza, pomiarkuj co téż on umie. Możebym go wziął do Polski i użył do korespondencyi francuzkiéj. Zapewne nie odmówiłby téj propozycyi.

Sekretarz zadosyć czyniąc woli księcia, poprosił Francuzika do swojego pokoju i zapytał go, czém się trudnił w Paryżu.

— *Je travaillais dans la Geographie*, (pracowałem w Geografii), odpowiedział chłopak.

Odpowiedź taka, nie mogła zaspokoić sekretarza.

— To zapewne pan byłeś w biurze jeograficzném rządowém? rzekł:

— Nie... ale pracowałem w Geografii, powtórzył zapytany.

— To może należałeś do układania dzieł jeograficznych?

— I to nie... ale pracowałem w Geografii.

— Możesz mappy rysował.

— Nie rysowałem, ale....

— Mój panie: przerwał mu zniecierpliwiony sekretarz: niegrzeczny jesteś; albo powiedz po

prostu, że nie chcesz wydać się, jakie tam miałeś zajęcie; albo mów wyraźnie. Może to wyjdzie na twoje dobro.

— Com ja robił? rzekł nareszcie z gestą miłą ów jeograf. Oto podklejałem mappy jeograficzne.

— Czy tylko to? Każdy chłopak od introligatora potrafi tę sztukę.

— O bynajmnie! odpowiedział Francuzik. Nie tak to łatwa rzecz, jak się komu zdaje. Mappy są porznięte na części; to przyklejając je na płótnie, trzeba uważać, żeby się bieg rzeczki, ciąg granicy, sylaba z syllabą, wyraz z wyrazem stykały i jedno do drugiego dochodziło, a to wymaga i baczenia i nauki.

Skończyła się rozmowa. Książę uznał, że podklejacz mapp nie zda się na przybocznego sekretarza. Ale kto wie, czyli ten śmiały Francuz nie przywędrował na guwernera do Polski? Oni myślą, że dosyć jest umieć jako tako po francuzku, żeby w Polsce być guwernerem. I tak, w 1818 r., poznałem Francuza, trudniącego się guwernerstwem, który odebrawszy naukę w szkole specyálnej, dla niższych jeome-

trów urządzonéj, należał do roboty kadastru we Francyi, a gdy z upadkiem Napoleona zawieszono tę pracę na czas nieograniczony, przyszedł do Polski i został nauczycielem. Ów jegomość nie czytał w swoim kraju żadnego z klassycznych pisarzy francuzkich; w Warszawie dopiero obeznał się z niemi jako tako, a po francuzku pisał tak po prostu, bez żadnego stylu, jak na przykład, u nas może pisać mieszczanin z Ryczywoła, nauczony w szkółce elementarnéj, a który, prócz książki do nabożeństwa, żadnej innéj nie czytał.

\*  
\*      \*

Liczne są przypowiadki zebrane i ogłoszone o sławnym księciu Radziwille, wojewodzie wileńskim, przezwany *Panie kochanku*, dołączę do nich jedną jeszcze, którą z ust Sagatyńskiego słyszałem.

Książę *Panie kochanku*, miał, jak wiadomo, wiele zdrowego rozsądku i rzadką dobroć serca, lecz wykształcenia naukowego bardzo mało. Około 1780 roku, najbardziej w Europie

zajmowano się elektrycznością. Franklin wynalazł konduktory. Urządzono baterią elektryczną, którą tak silnie można napompuwać, że iskra wydobyta z niej, zabija wołu. Dworzanie księcia Radziwiłła powiedzieli mu, że teraz ludzie potrafią chmury sprowadzać i pioruny robić, i że dla króla Stanisława przysłano taką maszynę z Paryża.

— Czego też te Niemcy nie wymyślą? rzekł książę. Ale kiedy pan stolnik litewski: tak zwykle nazywał króla Poniatowskiego: może robić pioruny, dla czegożby, panie kochanku, i Radziwiłł nie miał tego samego dokazać? Sprowadzić tę sztukę; co będzie kosztować, Radziwiłł zapłaci.

Po niejakiem czasie, przysłano z Paryża wielką maszynę elektryczną, baterią i wszelkie przyrządy. Ksiądz ex-jezuity, bawiący przy dworze Nieświeskim, wiedział jak się z nią obchodzić należy.

Każde zdarzenie z zwyczajnego trybu wychodzące, było okazją do zjazdu w Nieświeżu. Szlachta stronnicy Radziwiłłowscy, nie opuścili sposobności, przy której mogli jeść, pić,

kosztem księcia pana. Gdy zatém rozeszła się wiadomość, że tego i tego dnia, książę pan będzie robił pioruny i chmury sprowadzał, zjechało się mnóstwo widzów na to bezprzykładne dziwowisko.

Udały się doświadczenia. Zabito iskrą elektryczną dwuletniego wolcu, a za zdrowie jaśnie oświeconego księcia wojewody, wyprózniono kilka beczek wina i miodu.

Lecz o dwie mile od Nieświeża, tego samego dnia, nie wiedzieć z kąd, niespodzianie powstała chmurka, wypadł z niej piorun i szlachcicowi siedzącemu na pomiernej wioseczce, spalił wszystkie zabudowania gospodarskie.

Szlachcic nie w ciemę bity, trzeciego dnia przyjeżdża do Nieświeża i melduje się księciu wojewodzie.

— Jaśnie oświecony książę! rzecze, kłaniając się nisko. Ja i moja cała familja, z dziadów pradziadów, byli i są wiernymi sługami domu Radziwiłłów, a książę pan, mnie biednemu ciężką krzywdę wyrządził.

— Ja? wasanu? panie kochanku? co wasze pleciesz? Radziwiłłowie, panie kochanku,



nikomu krzywdy nie wyrządzili, jak żyją na tym świecie. Wszyscy a wszyscy drą, krzywdzą Radziwiłłów, ale oni nikogo. Chyba wasan oszalał panie kochanku?

— Ale tak jest, mości książe, stało się to bez woli jaśnie oświeconego pana, ale zawsze z jego przyczyny; a ja wszystko straciłem.

— Cóż się zrobiło? gadajże, panie kochanku?

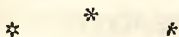
— O to książe pan, chciałeś naśladować Pana Boga, robiłeś pioruny, sprowadzałeś chmury.\* Szła do Nieświeża jedna chmura z piorunem, na rozkaz jaśnie oświeconego pana; ale nie dotrzymała aż na miejsce i pękła w drodze; piorun uderzył i spalił całą moją chudobę. I cóż ja teraz pocznę z żoną i dziećmi?

— No! nie smuć się wasan, rzekł Radziwiłł. A wieleż ta szkoda wynosi?

— Już to przynajmniej dwadzieścia tysięcy; nie licząc moich kłopotów i strachu.

— No, widzę, że będę musiał zapłacić, boć to stało się z mojej przyczyny. Bodaj czarci porwali te niemieckie wymysły!

Kazał zawołać podskarbiego i wypłacić szlachcicowi dwadzieścia cztery tysiące, a że pieniędzy w kassie nie było, wypuszczono mu wioskę, prawem zastawu, która w owych czasach trzy tysiące dochodu przynosiła.



Jeszcze jedna i ostatnia powiastka Sagatyńskiego, która pozostała w mojej pamięci.

Hrabia Ł... bogaty magnat w Galicyi, ozdobiony od cesarza Austryackiego, tytułem hrabiowskim, za zniesione dygnitarstwo Polskie, był niezmiernie próżny, a przytém dziwak. Nie lubił wydawać pieniędzy, wolał być dłużnym na wszystkie strony. Jak mu wpadły jakie pieniądze do ręki, zamykał je natychmiast do skrzyni żelaznej, przyśrubowanej do podłogi. Skrzynię tę przezwiał *panią Dobrzyńską* i prawie niepodobna było wymódz na nim, żeby je ztamtąd wydobył. Sługom i oficyalistom wiejskim nie płacił. Z tego wynikło, że płacili samym sobie w czwórnasób, czyli, po prostu mówiąc, rwali na wszystkie strony. Co kto złapał, to było jego.

Ale że dobra były znaczne, a pan hrabia skąpy, przeto zawsze coś przybywało do *pani Dobrzyńskiej*. Pewnego razu, uniosły go konie i o mało nie strąciły z powozem w głęboki wąwóz. Hrabia uszedłszy śmierci cudem prawie, kazał w tém miejscu postawić figurę, z napisem, własnej kompozycji:

„Dla tego, że *Pan Pana* od śmierci wybawił,  
Więc *Pan Panu*, w tém miejscu statwę postawił.“

Widać więc było, że pan hrabia w dumie swojej, uważał się prawie na równi z Panem Bogiem.

Pomiędzy jego officyalistami gospodarskimi, znajdował się szlachcic pocziwy, bogobojny i nieskazitelny z gruntu serca, o jakich to opowiadają, że byli kiedyś za dawnych czasów, ale jakich już się teraz nie dopatrzysz. Może to był ostatni z nich. Służy rok jeden, drugi, trzeci, daremnie prosi o zasługi; nic dostać nie może.

— Pamiętaj o sobie, mówili mu drudzy officjaliści; zapłać sam sobie, bo inaczej nic nie dostaniesz. My już od dziesięciu lat niepłatni, a żyjemy, i nie źle nam jest.

— Niech mię Bóg zachowa! odpowiadał szlachcic. Ja za nic w świecie, nie tknę się pańskiej własności. Przecież rozumiem siódme przykazanie Boskie i święcie go przestrzegam.

— Głupiś wasan panie Macieju, odpowiadali dworacy i szydzili sobie z pocziwój prostoty.

Nareszcie przy końcu czwartego roku służby, przebrała się miara. Szlachcic wyczerpał wszelkie dawne grosiwo, sprzedał ostatnią krówkę. On, żona i dzieci, obdarli się ze szczętem. Zdesperowany, umyślił chwycić się ostatecznego środka. Wypił na fantazyą spory kieliszek kminkówki i poszedł do gabinetu jaśnie wielmożnego hrabiego, a notabene, miał w ręku porządną sękatą łaskę dębową.

W pokoju hrabiego było mnóstwo rozmaitych drobiazgów; bo hrabia lubił zbierać antyki i osobliwości, i na to jedno nie żałował pieniędzy. Stały tam na stolikach i szafach, figurki porcelanowe chińskie, japońskie, sewrskie i saskie, wazony etruskie, popielnice sławiańskie, brązy, medaliony i Bóg wie co takiego jeszcze. Kilka starych obrazów wisiało na ścianach,

a między niemi na widoku, obraz „Boga-Rodzi-  
cy, bardzo znamienitego pędzla.

Pan Maciej wszedł, nie mówiąc do pa-  
na hrabiego, zamknął drzwi na klucz, a scho-  
wawszy go do kieszeni, ukląkł przed świętym  
obrazem.

— Najświętsza Panno! Boża Rodzicielko!  
rzekł uderzając czołem w ziemię. Ty wiesz i pa-  
trzysz na to z góry, że ja przez cały czas mojej  
służby, ani na grosz nie skrzywdziłem jaśnie  
wielmożnego pana, nawet na rachunek zasług  
moich, nie wziąłem i nie potrąciłem sobie ani  
szeląga. A należą mi się czteroletnie zasługi.  
Obdarłem się z żoną i z dziećmi do ostatniego;  
nie mamy ani garści soli, ani kawałka okras, ani  
kropli mleka. Jeśli więc, jaśnie wielmożny  
hrabia nie wypłaci mi natychmiast moich za-  
sług, to ja zaklinam się przed twoim świętym  
obrazem, że tym kijem wszystkie te drobiazgi  
co tu są, na kawałki porozbijam, a jeśli się  
przypadkiem i jaśnie wielmożnemu panu do-  
stanie, nie moja w tém będzie wina. Niech po-  
tém zemną zrobi co zechce.

— Czyś wasan oszalał? zawołał przestra-

szony hrabia. Otwórz wasan drzwi, bo zawo-  
łam na ludzi.

Szlachcie nie nie odpowiedział, tylko zamie-  
rzył się kijem na jakiś wazon etruski.

— Czekał wasan! stój, stój na Boga! krzy-  
knął hrabia. Zapłacę wasanu, zapłacę!! A wiele  
się należy?

— Sześćset reńskich, za cztery lata służby  
jaśnie wielmożny panie.

— Ale ja nie mam pieniędzy teraz. Przyjdź  
wasze za tydzień, to się może znajdą, ale o-  
twórz, otwórz czempredź.

— Nie mogę, J.W. panie; zakląłem się przed  
obrazem Najświętszej Panny, a co przysiągłem  
to wykonać muszę. I znowu zamierzył się  
kijem.

— Stój! stój! muszę chyba pożyczyć u *pani  
Dobrzyńskiej*. Czy kto słyszał i widział takie  
szaleństwo?

Pan hrabia usiadł przy stoliku, napisał re-  
wers na sześćset reńskich, które miał oddać  
w najkrótszym czasie *wielmożnej pani Dobrzyń-  
skiej*. Potem przeszedł do małego gabinetu,  
wyjął pieniądze ze skrzyni, położył w ich miej-



scu swój rewers, wrócił i wypłacił szlachcicowi.

Ekonom zgarnął pieniądze i uklonił się nisko.

— Otóż to tak, z uszanowaniem i pokorą trzeba przystępować do jaśnie wielmożnego pana! zawołał hrabia dumnym głosem. Otwórz wasan drzwi i ruszaj z Bogiem.

Szlachcic wybiegł, oddał żonie pieniądze i schował się w mysia jamę. Bał się smutnych skutków tego postępuku. Ale pan hrabia był dumny, nierozważny i dziwak, lecz w gruncie serca dobry, jak całe nasze plemie polskie, nie zepsute mieszaniną cudzoziemczyzny. Nie ukarał Macieja za obrazę dostojności i gwałtowne najście swego gabinetu. Ani wspomniał o téj przygodzie, a szlachcic w parę tygodni potem opuścił służbę, bo właśnie rok mu się skończył. Z jego ust własnych, słyszał Sagatyński tę przygodę.

---

## V.

Zwrot do literatury ówczesnej. — Kto był prześladowcą, kto prześladowanym? starsi czy młodszy. — Dom generała K... — Miejsce zbierania się ówczesnych literatów. — Gaszyńskiego Jaxyada. — Odpowiedź moja na rzecz o krytykach i recenzentach Warszawskich.

Przez lat trzy byłem redaktorem gazety *Korrespondenta Warszawskiego* od 1826 do 1829 roku. Jużem wspomniał, że w tamtym czasie, redaktorowie nie mieli tyle do czynienia co teraz. Kilkuset prenumeratorów, wystarczało do utrzymania pisma, przy znacznym dochodzie z obwieszczeń sądowych, administracyjnych i prywatnych. Gazety nie rządziły samowładnie zdaniem powszechném, a nawet bardzo mało nań wpływały. I dla tego téż, sława autora wzrastała powoli, skutkiem własnej wartości, nie zaś pochwał koteryjnych. Co tydzień we

środe, zamiast numeru *Gazety*, wychodził arkusz *Rozmaitości*, który był tém, czém są terazniejsze odcinki, z tą różnicą, że prócz zarysu i wyciągów z nowych dzieł, prócz artykułów czerpanych z pism peryodycznych Wileńskich i Lwowskich, których zaledwie kilka egzemplarzy do Warszawy przychodziło, mieścił tłumaczenia z dzienników zagranicznych, krótkie powieści Wander-welda, Irvinga i t. p. Krytyki literackiej nie było tam prawie żadnej; o korespondencyach prowincjonalnych, nikt jeszcze nie pomyślał.

*Gazecie Polskiej*, która zaczęła wychodzić w końcu 1826 r., należy przyznać tę zasługę, że obudziła większy ruch w dziennikarstwie naszym. Ona to, zaczęła utarczki literackie o klassyczność i romantyczność, przez rozpowszechnienie i wychwalanie nowych autorów i ich płodów, jako też przez namiętne powstawanie na dawnych pisarzy i na twory szkoły francuzko-klassycznej.

Późniejsi autorowie i współpracownicy *Gazet* i dzienników literackich, uprzedzeni przeciw naszym dawniejszym literatom, upowszech-

nili od lat trzydziestu to mniemanie, że klasy-  
cy polscy, mianowicie Osiński, Koźmian i t. d.,  
powstawali na młodych pisarzy, tamowali im  
wstęp do zawodu literackiego i dopiero po dłu-  
giój i uporczywój walce, ustąpili z placu.

Z rozmaitych szczegółów rzuconych tu i ow-  
dzie w moich wspomnieniach, mianowicie ze  
współczucia i poważania, jakie otoczyło Bro-  
dzińskiego, z przytoczonego artykułu o Szek-  
spirze, z moich nareszcie uwag nad dwoma  
pierwszemi tomami Mickiewicza, wydanemi  
w Wilnie, mogli przekonać się czytelnicy, że  
nie stawiano oporu postępowi i nowym wyo-  
brażeniom w literaturze. Nikt z pisarzy, ustalo-  
ną wziętość mających, nie powstał przeciw tak  
zwanym zwolennikom romantyczności. Wpra-  
wdzie, niektóre wiersze i wyrażenia nie podoba-  
ły się dwom starszym wierszopisom naszym,  
były nawet powodem jakiego żartu lub naga-  
ny; ale nigdy nie odezwano się z niemi publi-  
cznie, nie ogłoszono ich w gazetach, nie okry-  
to śmiesznością; chociaż to jest broń niezmier-  
nie łatwa. Jeżeli co było powodem żartów  
ustnych, a czasem drukowanych artykułów, to

tylko niezgrabne i coraz to niezgrabniejsze naśladowania, szerzące się ślad wślad za celującymi utworami. Ktoby poszukał w jakich zakątkach kramów księgarskich, wydane wtedy ballady, dumy i sonety, przez tych mniemanych uczniów wieszczą Litwy, to mógłby przekonać się, jakie to były lichoty i dziwactwa. Starsi przestrzegacze prawideł dobrego smaku i czystości języka, bez potrzeby zważali na te niedołężne naśladownictwa. Wielkie dzieła pozostały na wieki; naśladowcy zginęli w morzu zapomnienia. Ale ci to właśnie ślepi wielbienie piękności wielkiego poety, chcieli wystawić, przygany przeciw nim wymierzone, jako ubliżenie mistrzowi, jako prześladowanie nowej szkoły. Oni to zapełnili ówczesną Gazetę Polską, pamiętném powstawaniem przeciw dawniejszym pisarzom i kto wie, czy nie oni wywołali *Przedmowę o krytykach i recenzentach Warszawskich?*

Lecz wprzód, za nim o tym przedmiocie jeszcze kilka wspomnień i uwag napiszę, powiem o domu, w którym, jakby na placu neutralnym, zbierali się starsi i młodszy literaci,

i gdzie głównie toczyły się rozprawy ustne, o dawniej i nowiej szkole poezyi. Był to dom jenerała Wincentego hr. K.... Jenerał, złączony oddawna związkami przyjaźni i zażyłości ze starszemi literatami, chętnie przyjmował młodych pisarzy. Każdy z nich, przybywając do Warszawy, starał się uzyskać wstęp do jego domu, gdyż tam poznał, nie tylko poetów i literatów, ale prawie wszystkich członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zasłużonych w piśmienicznym i publicznym zawodzie. Koźmian, Osiński, Morawski, byli najzażyłszymi gośćmi w domu jenerała. Z młodszych, ja bywałem, Dominik Lisiecki, Odyniec. Tam pomiędzy Koźmianem i Osińskim a Odyńcem, toczyły się rozprawy o klassycznosc i romantycznosc, nie raz aż do sprzeczki i gniewu dochodzące. Osiński walczył bronią śmieszności; Koźmian oburzał się na nowości, przeciwne zasadom smaku, które od młodu wyczerpnął z pism Horacego i Wirgiliusza. Ale te rozprawy nie wychodziły za obręb salonu, nie miały rozgłosu ani wpływu na zdanie powszechnie, chyba o tyle, o ile młodszy romantycy chcieli sami czynić



je przedmiotem gazetowych artykułów. Jeżeli więc prywatną pogadankę, zaprawioną dowcipem, dla chwilowej zabawy towarzystwa, będzie kto uważał za wyraz opinii ogółu: co byłoby niesprawiedliwie i nie rozsądnie: to można powiedzieć, że szkoła romantyczna doznawała *oporu i prześladowania*. Jeżeli zaś, współczucie powszechne, coraz to większa, chociaż nie nagle powstająca wziętość i sława, jest skazówką publicznego sądu, to w żadnym kraju szkoła romantyczna nie znalazła łatwiejszego i życzliwszego przyjęcia, w żadnym nie odpłaciła się za nie gwałtowniejszym i niesprawiedliwszym powstawaniem na starszych, jak w Warszawie.

Następująca okoliczność jeszcze pomnożyła rozdrażnienie.

Około 1828 roku, zaczął bywać w domu generała hr. Krasieńskiego, Konstanty Gaszyński, dwudziestoletni młodzieniec, który już wtenczas dał próby pięknego i gładkiego pióra. Wesoła myśl podała mu powód napisania poematu p. t. *Jaxjada*, którego bohaterem był Kajetan

Jaxa Marcinkowski, znany z wierszy i z oryginalności swojej. Była to wydatna figura owego czasu; napiszę o nim szczegółowo poniżej, teraz wspomnę tyle tylko, że wierszopis ten był bohaterem poemaciku, noszącego jego przezwisko, następującej treści:

Duchy piekielne oburzone sławą Jaxy, umyśliły wykraść mu wenę poetyczną.

Wysłany Mefistofeles, do Płocka, gdzie właśnie Jaxa Marcinkowski był inspektorem przy gimnazyum, zszedł go śpiącego, a korzystając z téj chwili:

„Trudów i pracy nie szczędził,  
 Póty chuchał, póty dmuchał,  
 Aż z Jaxy wenę wypędził.  
 Wyszła z niego wena sławna,  
 Ale chuda wynędzniała,  
 Suchoty cierpiała zdawna,  
 Na drżących nóżkach się chwiała.  
 Mefistofel widząc jaśnie,  
 Że mu nie zadługo zgaśnię,  
 Lub ustanie pośród drogi.  
 Ulitował się niebogi,  
 I do kieszeni ją schował.  
 A tak rzecz sprawiwszy ślicznie,  
 Uniósł się w górę jak piórko;

Czyli, mówiąc romantycznie:

*Wraz czmychnął od klucza dziurką.*

Jaxa obudziwszy się, postrzega, że jakaś nagła zmiana w nim zaszła.

Świat mu się innym być zdawał,  
Patrzył nań z wstrętem i zgrozą;  
Nie poetycznie już wstawał,  
Nawet kawę wypił prozą!

Mimo tego zasiada do rymowania, lecz nie może znaleźć końcówek.

Już mu nic się nie udało,  
Praca jego była marną,  
Gdy chce białe, idzie czarno,  
Gdy chce czarno, idzie białe.

W rozpaczę chce sobie życie odebrać.

W tém, Merkury przysłany od klassycznych bożków Olimpu, zatrzymuje jego rękę:

„Zaczekaj! rzecze do niego: bogowie radzą o twoim losie.“

Los Jaxy nie małą sprzeczkę wywołał między mieszkańcami Olimpu. Morfeusz główną zaniósł protestacją przeciw poecie i rzekł:

O! mam ja z Jaxą na pieńku.  
 Lękam się, czy pomaleńku  
 Na mojem miejscu nie siędzie,  
 I snu bogiem kiedyś będzie.  
 Wszakże on już nie jednego  
 Uśpił pięknym wierszem swoim.  
 Lecz bożki swój władzy strzegą,  
 Dziś go z tój mocy rozbroim.

Mimo oporu Morfeusza, większość bożków  
 uradziła, żeby Jaxie dać nową wenę, w miej-  
 sce skradzionėj przez Mefistofila.

Merkury wprowadza naszego poetę na Par-  
 nas i rzecze:

Poeto! spojrzysz radośnie,  
 Rozpierzchnione zgromadź zmysły,  
 Promienie chwały ci błysły,  
 A ten laur, dla ciebie rośnie.  
 Febus o wszystkich pamięta.  
 Słyszysz swych dzieci modlitwy.  
 Patrz, fura laurów nacięta,  
 Dziś ją posyłam do Litwy.  
 Tam, dla wierszy i dla prozy,  
 Nigdy słońce nie zachodzi,  
 Nowe tam światła jaśnieją,  
 Co chwila geniusz się rodzi,  
 Za którym wszyscy szaleją. i t. d. i t. d.

Daje mu zatém nową wenę, i zachęca do pi-

sania w nowym rodzaju, a Jaxa uszczęśliwiony,

Bogom skłoniwszy się nisko,  
Opuścił niebian siedlisko.

Ta pustota dwudziestoletniego młodzińca, który potem był najgorliwszym zwolennikiem szkoły romantycznój, przeczytana w domu generała, nieznana publiczności, nie rozrzucona w kopiach, zapomniana za dni kilkanaście, jest najważniejszym grzechem, jakiego dopuszczono się przeciw romantyczności.

Co do mnie, najbardziej dotknięty w *przedmowie Mickiewicza*, odpisałem na nią, stając w obronie własnej, ojca mego i całej naszej przeszłości literackiej. W téj polemice, zgadzam się z wieszczem Walenroda, co do faktów; obydwaj przyznajemy, że nie mieliśmy wyższej krytyki literackiej, że twory dotychczasowe są albo tłumaczeniem i naśladownictwem, albo téż dość wątlami, jeżeli są oryginalne. Lecz różnimy się co do wniosków. Autor przedmowy utrzymuje, że cała ta przeszłość literacka nie warta czci i pamięci; ja zaś, że pisarze pierwszych lat

dziewiętnastego wieku, zrobili to dla oświaty i dla języka, co mogli zdziałać w ówczesnym stanie rzeczy, że utrzymali drogę dla nas za-  
 bytki i utorowali drogę następnym pisarzom, Brodzińskiemu i samemuż Mickiewiczowi. Zamieszczam zarys téj epoki, jak go przed dwoma laty w pismach publicznych skreśliłem. Po upływie lat kilkudziesięciu, a może i prędzej, znajdzie się bezstronny krytyk, który naszą literaturę oceniać będzie ze stanowiska nie tylko klasycznego lub romantycznego, ale jako historyk, obywatel i człowiek stanu; ten wy-  
 rzecze, kto sprawiedliwie zapatrywał się na rozwój piśmiennictwa naszego. Co do mnie, to tylko jeszcze powiem, że w żadnym artykule krytycznym nie powstawałem przeciw geniuszowi śpiewaka Litwy, ani przeciw jego utworom; że zdania, które on w usta moje kładzie w przedmowie swojej, mianowicie co do gładkości wiersza, prowincjonalizmów i wyrazów ze wschodnich języków przez autora powziętych, nie w tém znaczeniu były napisane, na jakie on je przeinaczył; że zatem nie musiał tych artykułów moich mieć pod ręką, gdy pisał swoją



polemiczno-humorystyczną przedmowę, podobnie jak nie mógł mieć krytyk teatralnych, umieszczonych w gazecie Warszawskiej między rokiem 1816 i 1820, przez towarzystwo Ixów, co już wyjaśniłem powyżej.

---

## VI.

Obraz piśmiennictwa naszego z pierwszych 25-ciu lat dziewiętnastego wieku.—Przykłady niewiadomości o téj epoce, okazane przez teraźniejszych recenzentów i redaktorów.

Zamierzam skreślić obraz piśmiennictwa naszego, od początku wieku dziewiętnastego po rok 1825, to jest, aż do rozwinięcia się i przewagi nowych rodzajów literatury, nowych zasad i nowego na nią poglądu.

Dzieła w tym okresie wydane, ludzie, którzy wówczas słynęli w kraju, drogie wspomnienie obudzają we mnie, i toż samo uczucie podziela ziomkowie, bliscy mi wiekiem, dla których literatura ojczysta, nie jest martwą i obcą. Coraz mniej jest świadków i uczestników prac literackich, w owéj epoce podjętych, coraz bardziej zaciera się ten okres w pamięci następnego pokolenia. Czuję więc, że czas jest

wziąć się do pióra, póki zdrowie i siły starczą.

Mimo wrodzonej każdemu życzliwości, dla epoki lat młodych, dla nauczycieli i rówieśników naszych, spodziewam się, że w skreśleniu tego zarysu, zdołam wznieść się na stanowisko bezstronne: bo mam to wewnętrzne przekonanie, że jak nie byłem ślepym i uprzedzonym zwolennikiem dawniej szkoły w literaturze, tak jeden z pierwszych, powitałem chętnem sercem brzask odradzającej się rodzinnej poezyi i literatury naszej, czego dowody przytoczyłem powyżej.

\*       \*       \*

Jak w politycznym stanie narodu, tak i w jego piśmiennictwie, wypadki łączą się nie przerwanem ogniwem, a myśl dziejopisa albo literata, ściga i bada ich wątek. Lecz od czasu do czasu, zjawienie się wielkiego męża, jeden cios nieprzewidziany, jedna myśl nowa i wielka, zatrzymuje to pasmo, odrębną cechę wyciska na dalszej jego osnowie i utwarza epokę, którą myśl badacza objąć i odróżnić powinna.

Takiemi wypadkami, co do piśmiennictwa naszego są, koniec panowania Stanisława Poniatowskiego i zjawienie się tworów nowéj szkoły, którą dla skrócenia romantyczną nazwę, bo tak z resztą sama się nazwała.

Lat trzydzieści, upłynionych między jednym a drugim faktem, tworzą epokę oddzielną, której pisarze mieli swój wyłączny cel i dążność, przebijającą się w ich wszystkich pracach.

Aby ducha téj epoki poznać, aby wymierzyć sprawiedliwość ówczesnym pracownikom na niwie edukacyi, nauk i piśmiennictwa krajowego, trzeba nam zasięgnąć myślą do epoki Poniatowskiego i rzucić okiem na owoczesny stan wychowania, języka i oświaty.

Gdy za rządów tego monarchy, kraj zaczął wychodzić z letargu, w którym zostawał od ostatnich klęsk wojny szwedzkiej, ze smutkiem poznał, o ile przewyższyły go inne kraje w ogólnej oświacie i rozwinięciu piśmiennictwa. Literatura francuzka miała wtedy przeważną wziętość w Europie. Ogłada społeczna i zbytki tego kraju, podobały się naszym możniej-

szym obywatelom. Ztąd poszło ślepe naśladownictwo obyczajów i literatury francuzkiéj. Średnia uboższa klasa obywatelska nic nie czytała, prócz dawnych kronik i żywotów, które tu i owdzie zachowane po domach, żywiły w sercach dawną prawość i wiarę. Klasy urzędniczej nie było, o mieszczanach i włościanach ówczesnych nie ma co wspominać. Lecz przy sterze oświaty krajowej, stanęli mężowie, którzy zdrowo zapatrywali się na stan rzeczy. Utworzono wyłączną Magistraturę i téj poruczono kierunek wychowania publicznego. Członkowie téj władzy, usunąwszy dawną pedanteryą, zaprowadzili wykład nauk jasny, prosty, lecz zarazem gruntowny. Przeczuwali ci mężowie, szkodliwy wpływ naśladownictwa francuzkiego, i oparli system edukacyi na nauce starożytnych języków, a mianowicie łaciny. Ustanowiono towarzystwo, do ułożenia ksiąg elementarnych, aby jednozgodne nauczanie zaprowadzić we wszystkich szkołach. Owocem prac tego towarzystwa, była, grammatyka Kopczyńskiego, wymowa i nauka moralna Piramowicza, geometrya Zaborowskiego, fizyka

Osińskiego, arytmetyka Bielskiego, historia powszechna Skrzetuskiego. Postęp nauk i umiejętności, uczynił te dzieła już niezdatnemi do edukacyi młodzieży; lecz pożądaną byłoby rzeczą, aby teraźniejsi pisarze dzieł, mających na celu wychowanie domowe, bacznie odczytali te dawne książki i aby z nich przejęli tę prostotę i jasność wykładu, która je dla każdego ucznia przystępnemi czyniła. Obok tych prac o rozszerzenie oświaty w kraju, zjawili się w owój epoce znakomici wierszo-pisarze, mówcy, historycy i statysci. Komuż nie tkwi w pamięci imię Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, Karpińskiego, Kniaźnina, Kołłątaja, Ostrowskiego i innych? Zamilczam w téj chwili o młodszych, gdyż rozwinęli działania swoje w następnym okresie. Lecz mimo tego, popęd do czytania był mały, a pisarze owój epoki, bardzo powolnie wpływali na masę narodu.

Ta tylko część młodzieży, która w ówczesnych szkołach kończyła klasy wyższe, przejmowała się duchem swoich nauczycieli i rozszerzała zasady przez nich wpajane. Lecz i to



dodać muszę, że o ile szkoły niższe, były w owéj epoce przepełnione uczniami, o tyle w ostatnich klassach, to jest piątéj i szóstéj, mało ich było, a i z tych część zagarnięta szaleń zbytku i naśladownictwem Francuzów, stracona dla literatury krajowéj.

Gdyby nie zaszły przeważne polityczne wypadki i zmiany, to pod rozsądnym i praktycznym kierunkiem Izby Edukacyjnéj, byłaby oświata rozwijała się stopniowo i do zbawionego celu doprowadziła: bo dzieło takie nie może być płodem lat kilku lub kilkunastu, a wiekowe opóźnienie nie łatwo wynagrodzić można.

Po wypadkach 1795 roku, w téj części kraju, która przeszła pod władzę Cesarstwa Rossyjskiego, za Niemnem i Bugiem, pod władzą błogosławionéj pamięci Najjaśniejszego Cesarza ALEXANDRA I, kierunek oświaty nie uległ zmianie, i owszem, nowe dobrodziejstwa Monarchy, przyczyniły się do nadania silniejszego popędu, i tam zaczęła wschodzić piękna zorza nowego piśmiennictwa.

W Galicyi, nastąpiła długa stagnacya i cisza, którą kiedy niekiedy słabe światelka przerywały, bez żadnego wpływu na ogół, i dopiero od lat kilkunastu, widzimy tam ruch i życie w literaturze krajowej.

Lecz w téj części kraju, która przeszła pod panowanie pruskie, stan rzeczy był daleko ważniejszy. Wszystkie urzędy obsadzono Niemcami; czynności sądowe i administracyjne odbywały się w języku niemieckim. Wprawdzie tłómaczono te akta na język polski, ale jakież to były tłómaczenia, jacy tłómacze, nie znający ani jednego, ani drugiego języka i piszący brednie trudne do pojęcia! Autorowie ucichli, rozpierzchli się, najcelniejszych śmierć zabrała, albo melancholia wytrąciła im pióro z ręki. Właściciele ziemscy, wybrnąwszy z klęsk i strat wojennych, zasileni pożyczkami, łatwo ze skarbu udzielanemi, oraz wysoką ceną zboża, zaczęli szumić, bawić się i marnotrawić czas i pieniądze.

Przez lat pięć, od 1795 do 1800 roku, żadna ważniejsza, albo przynajmniej zajmująca i dobrze pisana książka, nie wyszła w Warszawie,

dnie posyciła ciekawości, nie obudziła chęci do czytania i piśmiennictwa. Ale nie dosyć było na tém, wzmagalo się inne złe, równie ważne, to jest zamięłowanie w mowie, książkach i nałogach francuzkich: smutna spuścizna po dworze Poniatowskiego. Klasa majątniejsza, tak zwanych u nas panów i arystokratów, głównie dopuszczała się téj ciężkiej winy, a od nich zaraza ta przechodziła do niższych stanów. Kto chce mieć szczegółowe o tém wyobrażenie, niech przeczyta wydane niedawno i bårdzo upowszechnione „*Pamiętniki Seglasy*“ guwernera Francuza, napisane przez znakomitego i zasłużonego naszego autora Fryderyka hr. Skarbka.

Tak więc, wszystko spiknęło się wówczas przeciw językowi i obyczajom krajowym.

Przeciw takim to kolejom, literaci ówczcześni, pozostali w Warszawie, lub często bywający w tém mieście, postanowili obmyślić środki zaradcze; a głównie chcieli utrzymać język w czystości, doskonalić go i rozwijać stopniowo, obudzić zamięłowanie w czytaniu książek krajowych, zebrać podania, dawne dzieła ochronić od zatury, uzupełnić rys dziejów, opisać

dawny i teraźniejszy stan kraju, pod względem statystycznym i obyczajowym, donosić o postępie nauk i wynalazków w krajach ościennych: krótko mówiąc, chcieli natchnąć ziomków życiem literackim i umysłowym, którego im dotąd nie dostawało, a którego brak, byłiby zastąpili prędzej czy później, obcém cudzoziemskim życiem.

Taki był cel ówczesnych kilku pisarzy, cel wielki, może nawet przechodzący pojedyncze każdego zdolności, lecz, „w wielkim zamiarze, sama chęć już jest zasługą.“ Jak się z niego wywiązali, okaże się w dalszym ciągu tego zarysu.

Za pozwoleniem rządu, zawiązawszy Towarzystwo Przyjaciół nauk, wezwali do tego grona, wierszopisów, mówców, nauczycieli szkół wyższych, ludzi oddających się naukom i osoby znakomite położeniem społeczném, znane z zamiłowania lub życzliwości dla nauk. W tym ostatnim wyborze, mieli na względzie, że gdzie nie ma jeszcze upowszechnionego i głęboko zakorzenionego zajęcia się naukami, tam nie należy lekce ważyć zachęty i opieki możnych

obywateli, bo częstokroć miłość własna, a nawet i próżność, zręcznie skierowana, silnie przyłożyć się może do powszechnego dobra.

Towarzystwo odbywało publicznie posiedzenia swoje, z początku raz, a później dwa razy do roku. Czytajmy zagajenia tych posiedzeń, przez księdza Albertrandego, a przekonamy się, że członkowie Towarzystwa zajmowali się z równą gorliwością umiejętnościami, jak literaturą i historią, i że we wszystkich pracach, bezpośredni pożytek ziomków, mieli głównie na celu.

Każdy z członków Towarzystwa brał na siebie obowiązek pracowania w jednej z gałęzi nauk, albo literatury i składał Towarzystwu od czasu do czasu rezultat prac swoich, na prywatnych wydziałowych posiedzeniach.

Jednocześnie, obok wspólnych działań Towarzystwa, obudziło się wydawnictwo dzieł nowych i przedruk dawniejszych.

Franciszek Ksawery Dmochowski, tłumacz *Iliady*, i Tadeusz Mostowski, później minister spraw wewnętrznych Królestwa, byli głównymi przedsiębiorcami i pracownikami w tém

przedsięwzięciu. Dmochowski przez lat pięć nieobecny w kraju, wróciwszy do Warszawy w środku r. 1799, wydał w 1800 tłumaczenie wierszem *Iliady* Homera, nad którym lat dzieść pracował. Ten przekład, ogromem i pięknością wykonania znamienity, powszechnie wzbudził zajęcie i wślawił tłumacza. Już w roku 1804, trzeba było drugie wydanie tego dzieła przedsiębrać; trzecie uskuteczniono w r. 1827, a dziś wszystkie są wyczerpane. Za naszych czasów, ogłoszono kilka mniej korzystnych zdań o téj olbrzymiej pracy. Zarzucają głównie, że tłumacz nie oddał prostoty i ducha stylu Homerowskiego. Szkoda, że nikt jeszcze z tegoczesnych poetów, nie przełożył wprost z greckiego języka, jeżeli nie całej *Iliady*, to przynajmniej znacznego jój wyjątku: byle tylko nie wierszem bezrymowym, tym bardzo łatwym surrogatem prozy, lecz na nieszczęście bez téj ozdoby i dźwięku, które są nieuchronne w poezji naszej, pozbawionej rozmaitości i wybitności miar języka greckiego i łacińskiego. Byłaby to zaiste piękna walka z dawnym Dmochowskiego przekładem. Lecz



jakkolwiek terażniejsi, nie wiem powiedzieć, krytycy, czy téż przyganiacze, cenić będą *Iliadę* tłumaczenia Dmochowskiego, to jednakże tego nie zaprzeczają, iż w swoim czasie niezmierny wpływ wywarła na podniesienie zamięłowania w poezyi i literaturze, na rozwinięcie i uszlachetnienie języka. I teraz jeszcze, w czytelnikach wolnych od stronniczego uprzedzenia, dzieło to silny zapal obudza.

Od 1801 aż do 1805 roku, Dmochowski wydawał *Pamiętnik Warszawski*. Pismo to, zeszytami co miesiąc wychodzące, mieściło najcelniejsze mowy, życiorysy i rozprawy na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk czytane, przekłady wierszem poetów łacińskich, poezye Trembeckiego i Woronicza, próby młodych wierszopisów godne druku, miesięczny rzut oka na stan polityczny Europy, krytyki dzieł nowych i artykuły z historii, podróży, moralności i gospodarstwa krajowego, z najcelniejszych pism zagranicznych wyjęte, a do potrzeby współziomków stósowne. Dwadzieścia tomów zbiór ten wynosi. Pokolenie dziś już prawie do ostatka wygasłe, z poważaniem

go wspominało i liczyło do ozdób literatury ojczystej.

Tenże niezmordowany pisarz, wydał w krótkim lat sześciu przeciągu, zupełny zbiór dzieł Krasickiego w tomach dziesięciu, dzieł Karpińskiego tomów cztery, przekład *Sądu Ostatecznego Junga* i *Noc jedną* tegoż poety, *ułomki z Raju utraconego* Milтона, a tłumaczenie *Enejdy Wirgiliusza*, doprowadził do końca księgi dziewiętej. Oprócz tego, dopomógł na żądanie autorów, do wydania pierwszego tomu *Teoryi Jestestw organicznych* Śniadeckiego Jędrzeja, *Botaniki* Jundzill'a i przekładu *Satyr Boala*, przez Gorczyczewskiego.

W tymże samym czasie, Tadeusz Mostowski zajął się wydaniem wyboru pisarzy polskich. Dwadzieścia i dwa tomów tego wydania, obejmują dzieła Jana Kochanowskiego, Naruszewicza *poezye*, tegoż *Historyę Polską*, przekład *Tacyta*, *Życie Chodkiewicza*, *Opisanie Tauryki* i *Dyaryusz Podróży Króla Stanisława Augusta*, *Pisma Szymanowskiego* i *Węgierskiego*, *Pisma Niemcewicza*, *Sielanki Szymonowicza*, *Zimorowicza* i *Gawińskiego*, *Żywoty Sławnych Pola-*

ków. Edycya ta, jest jedną z najpiękniejszych jakie dotąd mamy. Mostowski nie szczędził nakładów na sprowadzenie pięknych druków i papieru. Wydania Dmochowskiego także odznaczają się tą samą zaletą. Staraniem Mostowskiego, wyszło także dwadzieścia tomików powieści i romansow, tłómaczonych z francuzkiego i dwanaście tomików podróży.

Łatwo wyobrażają sobie czytelnicy, ile tak znaczna liczba wydań, w krótkim przeciągu czasu uskuteczniionych, po kilkoletniej przerwie i stagnacyi, wpłynęła na obudzenie umysłów, na zamięłowanie w pismach i pamiątkach krajowych, ile przez to zasługi położyli ci dwaj literaci i wydawcy. Jednocześnie, uczony i niezmordowany w olbrzymiej pracy Linde, zajął się układaniem *Słownika polskiego*. Publiczność i literaci otoczyli to przedsięwzięcie jak najżywszém współczuciem. Moźni obywatele pośpieszyli z zasiłkiem pieniężnym na kosztą druku i papieru; piszący, z radą i pomocą naukową.

Zarys działań Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przerwałem na chwilę obszerniejszym wywo-

dem prac dwóch najczynniejszych jego członków; teraz wracam do pierwszego przedmiotu.

Z owego to podziału prac Towarzystwa, powstało mnóstwo ważnych rozpraw i dzieł obszerniejszych, z których znaczniejsze wymienię; jako to: *Rozprawa o Koperniku*, przez Jana Śniadeckiego, w której ten równie znakomity pisarz i astronom, wskazał współziomkom wielkość pomysłów i odkryć Kopernika i pierwszy upominał się dla Polski o zaszczyt jego narodowości; druga tegoż autora rozprawa o *Astronomii i Jeografija Fizyczna*;—Jęd. Śniadeckiego *Teorya jestestw organicznych*;—Jundziłła *Botanika*—Albertrandego *Historya polska* medalami wyjaśniona i przez nią obudzony popęd do zbierania tych ważnych zabytków przeszłości; tegoż autora *Panowanie Stefana Batorego i Kazimierza Jagiellończyka*, z rękopismów pośmiertnych przez Onacewicza ułożone,—Czackiego dzieło o *litewskich i polskich prawach*; tegoż *Rozprawy o dzieścinach i o żydach*; Bohusza o *początkach narodu litewskiego*; Tarnowskiego *badania historyczne*; Surowieckiego o *upadku miast w Polsce*; tegoż o *cechach*; Staszycza *Rozprawy o zie-*

*rództwie Karpatów; Szaniawskiego Kalasante-  
go o systemacie chrystyanizmu; Niemcewicza  
recz o bajce; Woronicza o pieśniach narodo-  
wych; Wolskiego o szkołach elementarnych; po-  
chwały a razem i życiorysy zmarłych zasłu-  
żonych literatów i uczonych, Krasickiego, Pira-  
mowicza, Szymanowskiego, Dmochowskiego  
tłómacza Iliady, Ignacego Potockiego, Cyprya-  
na Godebskiego, księdza Osińskiego, Bohusza,  
Kopczyńskiego, Albertrandego, Staszycy, Chre-  
ptowicza, Woronicza, Stanisława Potockiego  
i tylu innych: są to wszystko owoce popędu,  
który z zawiązania Towarzystwa Przyjaciół  
Nauk wyniknął. Przydajmy do tego, że te roz-  
prawy, dzieła i życiorysy, odznaczały się czy-  
stością języka, której jak najściślej przestrzegali  
ówcześni pisarze, zacną dążnością, zastósowa-  
niem się do ówczesnego stanu nauk w naro-  
dzie i tą myślą, aby ten stan coraz był lepszym,  
świetniejszym.*

W literaturze, a mianowicie w poezyi, mało  
napotykamy płodów oryginalnych. \*Lecz są  
między niemi dzieła, które do potomności  
przejdą; dosyć mi wymienić tylko poezye Wo-

ronicza, Ziemiaństwo Koźmiana, ody tegoż poety i Osińskiego, *Barbarę* trajedyą Felińskiego, *Ludgardę* Kropińskiego, *Okolice Krakowa* poema Wężyka i trajedye tegoż autora. Najwięcej trudniono się tłómaczeniami. O ten kierunek nie można obwiniać ówczesnych pisarzy: bo literatura każdego narodu, którego wyprzedzili ościenni, musi być z początku naśladowczą. Lecz i tych prace, którzy na tłómaczeniu lub naśladownictwie zdolności swoje zużyli, albo téż uczuli w głębi serca, że do oryginalnych twórców nie mają dosyć talentu, nie są bez użytku i zasługi. Gdy obudzi się w narodzie chęć do czytania, trzeba ją utrzymywać coraz to nowemi płodami. W braku oryginalnych, wychodzą tłómaczenia. Przekłady nigdy nie stają na przeszkodzie oryginalnym utworom: bo gdzież są tak ciemni i przesądni czytelnicy, którzyby tłómaczenia z obcych języków, nad własny a znamienity utwór przenieśli? Tłómaczenia nikną, albo stają się bardzo podrzędném zatrudnieniem, skoro tylko znajdą się twórcy dzieł oryginalnych. Mamy tego uderzający przykład, w ostatnich czasach.



Lecz są arcydzieła umysłu ludzkiego, których przełożenie przynosi pożytek ziomkom, a chlubę i zasługę tłómaczom. Takich to dzieł przekładem, zajęli się owocześni literaci. Homer, Wirgiliusz, Horacyusz, Milton, Jung, Tasso, Kornel, Rasyn, godni są tego zaiste, aby dla nich swój talent poświęcić. Tłómaczenia takich mistrzów, oddane wiernie, czysto i harmonijnie, zbogaciły i wyrobiły nasz język, uczyniły go zdatnem i giętkiem narzędziem, dla następnych oryginalnych pisarzy.

Zapytajcie się znawców poezyi i wierszopisarstwa, czyli byłoby można, przeskoczyć jednym rzutem, od wierszy Załuskiego i księdza Epifaniego Minasowicza, z epoki Sasów, do *Wiesława*, *Grażyny*, *Dum ukraińskich*, *Maryi*, *Mohorta* i tylu innych pięknych tegoczesnych utworów? Nie zaiste, zwichnąłby się polot najśmielszego geniuszu, bo nie miałby narzędzia, zdolnego do wydania myśli i uczuć. Szanujmy więc tych, którzy pielęgnowali i kształcili nasz język, czy to w prozie, czy w wierszu, i oczyścili go z cudzoziemczyzny, gminności i przesady. Obok dobrych tłómaczów, celują-

cych autorów, byli mierni, miérne tłumaczący dzieła; ale któraż to epoka literatury, wolna jest od podobnych usterków? Dla takich to pisarzy, chwilowy koteryjny poklask jest całą nagrodą, a wieczne zapomnienie wymiarem sprawiedliwości.

Może najślabszą stroną literatury owoczesnej był teatr; na chęciach nie zbywało, ale od Zabłockiego i Drozdowskiego, aż do Fredry, nikt nie obdarzył nas wyższą ojczystą komedią. Autorowie trajedyi, pisali swoje dzieła pod wpływem naśladownictwa klassyczności francuzkiej i przytłumiali swój talent, który jednakże, mimo tych nieszczęsnych zawad, pięknym blaskiem jaśnieje w Kropińskim, Felińskim i Wężyku. Lecz trzeba było utrzymywać teatr, jako silną dźwignią literatury. Bez nowych sztuk dawanych od czasu do czasu, nie można tego celu osiągnąć. Przeto brak oryginalnych tworców, zastępowano tłumaczeniami. Przekłady Woltera, Rasyna, rozmaitych dramatów niemieckich i francuzkich, przerabianie na krój polski komedyi i komedyo-oper francuzkich, składały ówczesny repertorar. Jako

najcelniejszych tłumaczy wierszem, wymienię Osińskiego, Kruszyńskiego i Felińskiego. Z tłumaczy sztuk prozą, lub komedyo - oper, godzien jest wspomnienia Bogusławski, Żółkowski, Dmuszewski. Przepolszczania nie zawsze udawały się szczęśliwie, są jednak sztuki bardzo zręcznie zastosowane do sceny naszój. Julian Ursyn Niemcewicz, autor *Pana Nowiny*, *Samoluba*, *Jadwigi*, *Zbigniewa*, obudzał współczucie pracami swemi i liczne oklaski pozyskał.

Nareszcie i na to zwrócić powinienem uwagę czytelników, że najcelniejsi owój epoki pisarze, a mianowicie: Dmochowski tłumacz Iliady i inni członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, usiłowali powściągnąć publiczność od francuszczyzny, która rozszerzała się u nas, z przyczyny poloru cywilizacyi, ponęt zbytku i mody. Wszyscy ci literaci upominali naród, aby unikał lekkiej literatury francuskiej, a zwracał się do skarbów złotego wieku Zygmunów, do Greków i Rzymian. Lecz z takiego upowszechnienia téjże literatury, wynikło to, że twory Niemców i Anglików były prawie obce dla nas, aż do 1815 r. Zaiste, ubolewać nad tém należy, bo o kilkanaście lat wcześniój, zapoznawszy się

z Szyllerem, Göthem, Wielandem, Herderem, Klopsztokiem i całą masą krytyków i filozofów niemieckich, prędjéj także podnieśli byśmy i rozwinęli nasze własne piśmiennictwo. Lecz nie przyspieszy naturalnego wypadku. Świeża była niechęć i uraza do Niemców, a ztąd wynika obojętność i unikanie prac tego narodu, które to uprzedzenia, dopiero z przeciągiem czasu zwolna ustały.

O taki kierunek umysłów, nie można obwiniać ani epoki, ani jéj pisarzów. Tak więc, wyższe pojęcia o poezyi, krytyce i filozofii, były prawie nieznane literatom owoczesnym. Nikt im tego nie będzie poczytywał za zasługę i chlubę; lecz okoliczność ta, nie wpłynęła w niczém na prosty, naturalny rozwój i postęp wyobrażeń.

Do jakiego przedmiotu zwróca się umysł w narodzie, w takim kierunku wyrabia się jego piśmiennictwo. Ciągłe wojny europejskie, przemiany losów, chwała wojowników, hołdy oddawane im po zgonie, uwielbienie i wdzięczność dla Monarchy, nadały przeważną cechę ówczesnym poezjom, a mianowicie lirycznym.

Nikt wówczas nie pomyślał o zagłębianiu się w podania, w powieści gminne i w ogólny duch Słowiańszczyzny, bo obecne przedmioty i wielkie fakta dziejowe, dostarczały obrazów. Odmienny zwrot nastąpił po ustaleniu pokoju, gdy młodszy pisarze mogli wejść w siebie samych, a w dawnych podaniach, w obrazach sielskich i ludowych, nowego żywiołu szukać zaczęli. Pomnijmy, iż ciągle wojny, wysilenia i przemiany, którym kraj od 1806 do 1815 roku ulegał, opóźniły postęp wyobrażeń, odwozły od pióra i ludzi zdolnych zwracały do służenia sprawie publicznej, w zawodzie urzędniczym lub wojskowym.

Dwie były za księstwa Warszawskiego główne podniety do zamięłowania literatury krajowej; publiczne posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk i teatr. Działanie dziennikarstwa i wydawnictwa prawie nie istniało wtedy. Przypominam sobie, jak w młodocianych latach moich, z uszanowaniem spoglądałem na posiedzenia ówczesnych uczonych, tém bardziej, że z zasługami w piśmiennictwie, łączyli ważne zasługi w obywatelskim zawodzie. Nie jeden z tera-



źniejszych przyganiaczy, z szyderstwem wspomina owe pochwały, któremi publicznie czczono pamięć zmarłych pisarzy, i twierdzi, że cel Towarzystwa ograniczał się na wzajemném chwaleniu. Myli się, kto na te pochwały z tak niskiego stanowiska pogląda. Nie chwalono tam byle kogo. Obok zasług naukowych i literackich, ważnych i użytecznych w swoim czasie, oddawano tam sprawiedliwość charakterowi i pracom, dla dobra kraju łożonym. Niech czytelnicy przebiegną powyżej przytoczone nazwiska mężów, którym publiczną pogrobową cześć oddano, a przekonają się, że cześć ta godna była i Towarzystwa i obecnych słuchaczy. Owe zarysy prac i poświęcenia się, wzbudzały szlachetny zapal do nauk, do cnoty i do rzeczy krajowych.

Z dzieł poznajemy działaczy; stare to axyoma, jakże silnie przemawia za stroną literatów z pierwszych lat dziewiętnastego wieku! Ich usiłowania, przykłady, zachęty, prędko ukształciły młodsze pokolenie, które zrównało, lub prześcignęło nauczycieli swoich.

Przy założeniu uniwersytetu Warszawskiego,



znalazła się dostateczna liczba zdatnych profesorów, we wszystkich gałęziach nauk i umiejętności. Bandtkie, Engelke, ksiądz Szaniawski, ksiądz Szwejkowski rektor uniwersytetu, Skrodzki, Kitajewski, Szubert, Jarocki, Dybek, Fijałkowski, Frejer, Bentkowski, Osiński i inni, a w parę lat potem, Fryderyk hrabia Skarbek i Brodziński, drogie wspomnienia zostawili w pamięci ówczesnych uczniów.

Literatura nasza zaczęła z wolna zwracać się na nową drogę. W *Pamiętniku Warszawskim*, który od 1815 do 1821 r., pod redakcją Bentkowskiego wychodził, znajdujemy co raz to mniej przekładów z francuzkiego, a coraz to więcej tworów niemieckich i angielskich, językowi naszemu przyswajanych. Rozprawy o literaturze, nie ograniczają się na prawidłach z Laharpa lub Domerona wziętych, lecz wyjątki z Szlegla, pani Stäel, Herdera, rozszerzają nowe wyobrażenia i zasady. Ruch w piśmiennictwie staje się nieco żywszy. Młodzi pisarze śmiało chwytają za pióro, wydają gazety i dzienniki literackie, których liczba jest dowodem ich gorliwych chęci, a krótka ich trwałość

wyказuje małe jeszcze zamięrowanie w czytaniu i brak pojęcia, jak należy wydawać pisma czasowe.

Przy końcu téj epoki, odrodziła się komedia polska, w dziełach Aleks. hr. Fredry.

Móglbym na tém skończyć mój zarys. Przekonałście się z niego, szanowni terażniejsi czytelnicy, że uprzedzenie, jakie wpoić usiłowano względem téj epoki i jéj pisarzów, jest błędne i bezzasadne. Uczynili oni to dla kraju i piśmiennictwa, co w położeniu swojém i podług miary zdolności osobistój i stanu naukowego zrobić mogli. Cele mieli prawe i szlachetne, a gdyby nawet nie učinili nad to, że ukształcili następne pokolenie i utorowali mu drogę, to pamięć ich trwać powinna w sercach wdzięcznych współziomków. Rzućcie okiem na wymienione powyżéj nazwiska ówczesnych pisarzy; jakże piękne składają grono, zaszczycające epokę pierwszych 25 lat wieku dziewiętnastego!

Za chlubę tym pisarzom należy poczytać to, że żadnemu talentowi nie zamknęli drogi, nie wytręcili pióra stronnictwym sądem i przewagą

ustalonej wziętości. Wiemy, że pierwszym zwiastunem nowej szkoły i nowej epoki w literaturze, był Kazimierz Brodziński; trzy lata nie upłynęło od czasu jak zaczął ogłaszać poezye i rozprawy swoje, a już został professorem języka polskiego w wyższych klassach w konwiktzie warszawskim; w dwa lata później, Towarzystwo Przyjaciół Nauk zawezwało go na członka, Kommissya Oświecenia powierzyła mu katedrę literatury polskiej w byłym uniwersytecie Warszawskim, a wkrótce potem mianowała sekretarzem tegoż instytutu. Chwila cierpliwości, a zapewne i inni młodszy pisarze, byłiby z tą samą życzliwością przyjęci i ocenieni od starszych.

Jakąż otrzymało zapłatę to godne i prawe postępowanie dawnych pisarzy naszych? Nie chcę zasmucać czytelników, przypomnieniem szyderstw i pocisków, których przedmiotem stała się ta epoka. Aż nadto są wiadome, aż nadto powtarzane, na słowo, bez zgłębiania rzeczy, zasięgania do źródła. Czy to w pojedynczych artykułach, czy w zarysach literatury, zawsze przedstawiają dawnych *klassyków*,

jako prześladowców, a *romantyków* jako prześladowane ofiary; a w całym tém przedstawieniu nie ma ani słowa prawdy i rzecz dzieje się przeciwnie. Nie starsi to na młodszych, ale młodszy powstał na starszych. Z piszących w owym czasie, już ledwie kilku pozostało; byłem jednym z najpóźniejszych i najsłabszych pracowników pomiędzy niemi. Wziąłem teraz pióro do ręki, aby zostawić pamiątkę prawdy, aby następniemu pokoleniu skreślić wierny obraz zasług i dążenia ich dziadów i pradziadów. Czyliż dosięgłem zamierzonego celu? Młodzi czytelnicy! sądzcie tę pracę, nie podług zdolności, lecz podług szczerój i dobrej chęci.

Nakoniec, chciałbym raz jeszcze zwrócić uwagę czytelników, że ci wszyscy literaci, prócz mnie jednego, najmłodszego pomiędzy niemi, potępieni za klassyczość, całe życie swoje strawili, służąc krajowi jako professorowie, naczelnicy administracyi, skarbu, sądownictwa; kilku między niemi odznaczyło się zaszczytnie w zawodzie wojskowym. W pierwszej części, w ogólnym obrazie, wystawiłem, ile to czynności dokonano w epoce księstwa Warszawskiego,

a w nich przeważny mieli udział literaci ówczesni. Czynności te wymagały tak wyłącznego zajęcia, że ich literackie prace były tylko owocem rzadko zdarzających się chwil wypoczynku i dla tego właśnie tak są nieliczne. Pokolenie późniejsze przywiązało też samą uwagę do krytycznych zdań poety, co i do jego nieśmiertelnych poezyi; a że zazwyczaj, upatrzyszy słabą stronę w meżu, z kądem inąd znakomitym i zacnym, zapominają ludzie o innych jego zaletach i całego okrywają śmieszością: stało się więc, że od potępienia utworów literackich z pierwszych dwudziestu pięciu lat wieku dziewiętnastego, posunięto się do lekceważenia prac, poświęceń, wysileń, całej téj epoki, tak dalece, że ztąd wyrodziła się naostatek obojętność i gruba niewiadomość wypadków i stanu ówczesnego społeczeństwa. Niedawno, jeden z redaktorów naszych gazet warszawskich, radził panu Wacławowi Szymanowskiemu, żeby zamiast trajedyi Kazimierza Delavigne p. t. *Dzieci Edwarda*, przetłumaczył *Cyda Kornela*, a do traicznych aktorek naszych z epoki 1820 do 1830 roku, policzył Aszperge-

rową, która nigdy nie grywała w trajedyi, lecz tylko w operach i komedjach. Niewiadomość ta, jest bardzo naturalnym skutkiem obojętności i pogardy dla przeszłości naszej. Po cóż terazniejsi literaci, mają wiedzieć że Cyd Kornela jest przełożony wierszem przez Ludwika Osińskiego, że był kilkadziesiąt razy grany w Teatrze Warszawskim, że ten przekład wyrównywa oryginałowi i jest ozdobą wierszopisarstwa naszego, skoro od samego dzieciństwa, naczytali się i nasłuchali, że Osiński był klasykiem, że kto będzie czytał jego dzieła, ten nie tylko bezpotrzebną pracę podejmie, *ale nawet dopuści się ciężkiego grzechu, przeciw terażniejszym autorom.*

---



## VII.

Kajetan Jaxa Marcinkowski.— Ballada Ordynackie

Od czasu do czasu, zjawiają się pseudoliteraci, czyli raczej wierszo-klety, którzy służą za igraszkę ówczesnym kółkom literackim. Takim był za Stanisława-Augusta Bielawski, ktorego imię pozostało w żartach Węgieńskiego i Trembeckiego, a między 1818 a 1830 rokiem, Kajetan Jaxa Marcinkowski. Bielawski, trzymał się klamki dworu królewskiego; Marcinkowski klamki kilku naszych magnatów. O Bielawskim nie wiele mamy szczegółów i te nie wchodzą w okres wspomnień moich; Jaxę Marcinkowskiego pamiętam dobrze i nie mogę o nim zamilczeć.

Przez czas niejaki, Jaxa śmieszył znawców, a zajmował dobrodusznych, wierszami swojemi

na Wołyniu. Przybył potém do Warszawy, chcąc w tém ognisku literatury zajaśnić swoim talentem. Przywiózł z sobą list rekomendacyjny do generała hr. K.... nie wiedząc o tém, że w nim przywozi zarazem tę samą śmieszność, którą go obsypywano na Wołyniu. Generał i zwyczajni goście jego, Koźmian, Morawski i Osiński, poznali odrazu, że nowo-przybyły wierszopis, dostarczy im przedmiotu do zabawki i śmiechu, tak potrzebnego po dobrym obiedzie. Pierwszym utworem muzy Marcinkowskiego, był poemat *Gorset*, którego treścią była śmierć jakiejś hrabianki, zrzędzona przez zbytne ściskanie się sznurówką.

Książka rozprzedała się dla samej osobliwości pomysłu, a Jaxa wydał po niej, wierszowany *Upominek dla młodzieży*. Bywał on w towarzystwach, wszędzie czytał swe wiersze i rymował na cześć rozmaitych dam i panien, którym w szczególnym hołdzie, składał utwory muzy swojej. Gdy generał Morawski stał z brygadą w Lublinie, Jaxa pojechał do niego, zabawił czas niejaki, poznał się z sąsiedztwem i wydrukował wiersz: *Pobył w Lublinie*. Oprócz

tego, zajął się poematem na większą skalę p. t. *Rzeki Polskie*, ogłosił prenumeratę na to dzieło i wydał je około 1828 roku. Każda pieśń poświęcona jest innéj rzece. Główną rolę zajmuje Wisła. Opisuje miasta leżące nad brzegiem rzeki i wspomnienia do nich przywiązane. I tak naprzykład, gdy zobaczył miasto Kazimierz nad Wisłą, tak pisze:

Jakież widzę zjawisko? Któż to do mnie zmierza?

O Nieba! to poważna postać Kazimierza!

Poznałem go zdaleka, po pięknej urodzie,

Po poważnej postawie i po śnieżnej brodzie.

Widząc nadchodzącego polskiej ziemi pana,

Chciałem przed nim z pokorą upaść na kolana,

Lecz mię król zatrzymuje, i tak do mnie rzecze:

„Jestem duch Kazimierza, *nie bój się człowieka*.

Ja chciałem, by Polacy spławiali swe płody,

Moje spichrze bywały *składem ich wygody*.”

(Potém wdaje się duch Kazimierza w rozmaite uwagi historyczne, a nareszcie scena kończy się tym obrazem).

W tém nagle mówić przestał, światłość błysła z skroni,

*I powstał jakiś zapach nadzwyczajnej woni.*

\*

\*

\*

Ballady miały wówczas taką wziętość jak te-

raz gawędy, a więc i Jaxa Marcinkowski umyslił poemat swój ozdobić balladą.

W kampanii 1809 r.: pisze poeta: młody małżonek opuścił swoją połowicę i wszedł do woj-ska, szlachetnym wiedzion zapalem.

Nieszczęsna, stojąc nad Sanem,  
Żona rękę załamuje,  
Darmo! mąż już jest ułanem!  
*Piką księżyc pokazuje....*

Żona pomnąc, że w rozstaniu,  
Mąż wskazał na krąg miesiąca,  
Przez całą kwadrę w czekaniu,  
Stała w księżyc patrząca.

Śmierć téj czulój pary zrzadzona wystrzałem austriackiej placówki, zakończy balladę.

Można sobie wyobrazić, że takie i tym podobne wiersze, czytane z całą zarozumiałością poety, mogły bawić przez samą śmieszność swoją.

W pewnym bardzo znakomitym domu w Lubelskiem, przygotowano dla Jaxy tryumfalny wieniec. Zaproszono go, żeby czytał swoje poezye. Jaxa wybrał zaczęty poemat o Piaście, a gdy doszedł do miejsca, gdzie aniołowie przy-

chodzą do Piasta i jego małżonka Rzepicha  
zapytuje się męża:

Jacyż się do nas młodzi przybliżają ludzie,  
Jeden z nich gra na trąbie, a drugi na dudzie?

Wbiegły panny dworskie i poetę za tak piękne wiersze, uwieńczyły laurem z róż, z których, niestety! nietylko nie odjęto kolców, ale jeszcze wpleciono pokrzywy.

Innym znowu razem, przy obiedzie u jenerała, czytał w obecności autora, jeden z młodych wierszopisów, utwór Marcinkowskiego *Pobył w Lublinie*, i tak zmienił ostatnie kilka wierszy.

Nadszedł moment rozstania, smutne pożegnanie!  
Może zawieść te wiersze położy pod plackiem!  
Lecz pomni, żem was sławił pod niebem Sarmackiem,  
Proście mię na obiady, za te cztery kartki;  
W niedziele, poniedziałki, wtorki, środy, czwartki,  
A w piątki i soboty, obywszy się kaszą,  
Do zgonu pościć będę na intencją waszą,

Zaprotestował Marcinkowski, że to jest podrobiona edycja jego poematu, zapewne przez jakiego nieprzyjaciela.

Wyjazd Jaxy Marcinkowskiego do Lublina, dał powód Dominikowi Lisieckiemu do napi-

sania ballady, w której ten poeta główną gra rolę.

# ORDYNACKIE.

(Ballada).

Nad Wisłą góra, na górze zamek,  
Stoi zniszczony bez wałów i bramy,  
Tam drzwi bez zawias, tam zamki bez klamek,  
Bez wschodów piętra, i okna bez ramy.  
Pod zamkiem ciągną się pieczary ciemne,  
A w głębi pieczar jezioro podziemne.

A na jeziorze, o dolo straszliwa!  
Kto nie chce wierzyć niech się sam przekona,  
Pływa od dawna i bez końca pływa,  
Księżniczka w białą kaczkę przemieniona.  
Tam żywa dusza zstąpić się nie waży,  
Djabieł jak Argus jest przy niej na straży.

Księżniczka Anna z piękności słynęła,  
Nie jeden rycerz bolał nad jej losem,  
Jednego nawet tak miłość zajęła,  
Że kusił djabła pełnym złota trzosem,  
Lecz gdy go nie mógł ująć ni uprosić  
Musiał z kwitkiem rad nie rad wynosić.

Znajdzie kij zawsze, kto chce psa uderzyć.  
Wiedział to Jaxa, rycerz znakomity.  
„Muszę zawoła, z tym śmiałkiem się zmierzyć,  
Ja, co podwójne posiadam zaszczyty,  
Ja mąż, któremu zwykły sprzyjać Nieba,  
Ja, wychowaniec i Marsa i Feba.



Śmiało nasz rycerz do pieczary wchodzi,  
 Plikę papierów, niosąc zamiast szabli,  
 — „Słuszny mię powód w te miejsca przywodzi,  
 I nie gniewajcie się panowie djabli,  
 Gdyż w dobrej chęci, z każdym się przyjaźnię,  
 Szanuję niebo, lecz piekła nie drażnię.

— „Co masz pod pachą, powiedz najprzód proszę,  
 Może zaklęcia, albo kartki święte?

— „Gdzież zaś! to wiersze, które z sobą noszę,  
 Poprawiam słabe, dokończam zaczęte,  
 Bo wiedz o czém już u nas wiedzą żaki,  
 Żem jest poeta i nie łaża jaki.

„Chociaż nie pięknie, gdy kto się sam chwali,  
 Lecz pewnie Wolter, Russo, ni Kondorset,  
 Wierszem czy prozą, lepiej nie pisali,  
 Przeczytam panu, mój poemat *Gorset*,  
 Dla swój zabawy z tego się nie wymów,  
 I słodko brzmiących racz posłuchać rymów.“

Pieszczonym głosem Jaxa wiersze cedzi,  
 Djabeł nadstawia ciekawego ucha,  
 Słucha, a chociaż jak na szpilkach siedzi,  
 Jednak przez grzeczność słucha go i słucha.  
 Chociaż to djabeł, przecież nie wytrzymał,  
 Ziewnął po trzykroć, a w końcu zadrzymał.

„Wygrałem! Jaxa ozwał się do księżnój,  
 Która w tém postać dziewczęcą przybrała,  
 Djabłu nie sprostął żaden rycerz mężny,  
 Ja go uspiłem, wieczna dla mnie chwała,  
 Ta pora dla mnie, stokroć będzie święta,  
 Że twoje pani, mogłem skruszyć pęta.“

„Jaxa mam imię, a w herbie lwa z gryfem,  
Z krwi greckich książąt idzie pierwszy Jaxa,  
Bo imie moje prostym logogryfem  
Jest, wślawionego w Iljadzie Ajaxa;  
Klasztor Miechowski uczcił mię orderem,  
A Polska swoim nazywa Homerem.

„*Serce więc twoje poświęć mi zupełnie;  
Objęte żywem przyjaźni kamiennęj,  
Spocznie w tej skrytce jak w miękkiej bawełnie,  
I dozna przy mnie miłości niezmiennęj* <sup>1)</sup>,  
Księżno, z krwi świetnej pochodzim oboje,  
Przez winną wdzięczność przyjmij serce moje.“

Lecz na nieszczęście srogi los go zdradził,  
Grając przy księżnic role wiercipięty,  
Miechowskim krzyżem śpiącego zawadził,  
Porwał się djabeł świętością dotknięty,  
Jak brys ukropem wrzącym oparzony,  
Lub mąż na widok wiarołomstwa żony.

Jękły pieczary, Jaxa zbladł jak chusta,  
Śnieżyste pióra znów księżnę odziały,  
„Jak mogłeś! krzyknął, śmiałku, głowo pusta,  
Jak mogłeś powziąć zamiar tak zuchwały?  
Chciałeś mię zdrajco, wystrychnąć na dudka,  
Lecz z tobą łotrze będzie sprawa krótka.

„Stoją za Wisłą starożytnie mury,  
Bają, że lubość dała im nazwisko,  
Stawiał je Leszek czarny, alias *bury*,  
Tam za pokutę obierzesz siedlisko.

<sup>1)</sup> Są to dosłowne wyrażenia Jaxy.

Tam możesz sobie założyć aptekę,  
Wszak same opium napelnia twą tękę.

Świsnął, nasz Jaxa, jak wiatr powędrował,  
Warszawa grubą żałobę przybrała,  
Lubego syna Apollo żałował,  
Nie jedna muza rzewnie go płakała,  
Tysiąc muz ziemskich zmieniło się w płaxy,  
I któż nie westchnie nad niedolą Jaxy?

Wszystkie takie psoty, nie oburzały i nie zniechęcały pana Jaxę; „Głupstwo”.... rzekł: kiwnął ręką i nie porzucił domu, gdzie za dobry objad i stancyjkę pod strychem, pozwalał żartować z siebie. Nareszcie, wysocy jego opiekunowie, znudziwszy się ciągle temi samemi żartami, wyrobili mu posadę na prowincyi. W końcu 1830 roku, Jaxa dostał ataku paraliżu na mózg i w parę miesięcy potem umarł u Bonifratrów.

---

## VIII.

Ruch w piśmiennictwie naszym co raz to większy. — Moje wydawnictwo. — Teatr Rozmaitości. — Zgony zasłużonych mężów w narodzie. — Zakończenie.

Zbliżając się do końca okresu wspomnień moich, powiem w krótkości o ruchu literackim, jaki od 1827 roku rozwinął się w Warszawie. Wydawnictwo było aż do owego czasu bardzo ograniczone. Jeden księgarz więcej dziś wyda w ciągu roku, niżeli wówczas wszyscy; edycye ograniczały się na 500 lub najwyżej 800 exemplarzach; autorowie albo nie brali pieniężnego wynagrodzenia za swoje prace, albo tak mało, że o niem wspominać nie warto. Przy końcu 1826 r., zadałem sobie to pytanie, jakaby téż najtańszą cenę naznaczyć można na popularne książki. Podług ówczesnych kosztów druku i papieru, z dołączeniem bardzo skromnej

zapłaty za rękopism, okazało się, że tom z dwóchset czterdziestu stronnicy złożony, średniego formatu w dwónastce, można na czysto sprzedać po złp. 1 gr. 15, czyli za tomów cztery złp. sześć. Do téj liczby dołączyłem zł. dwa kommissowego dla księgarzy i cenę prenumeracyjną ustanowiłem na złp. ośm. Rachubę moją oparłem na spodziewanym odbycie 1500 egzemplarzy. Romanse historyczne Walter-Skotta, miały wówczas powszechną wziętość. Ich przekład wybrałem za przedmiot téj spekulacji księgarskiej i ogłosiłem prenumeratę na 25 tomów. Chcecież wiedzieć, jaki był ostateczny rezultat tego przedsięwzięcia? Sprzedałem od 1827 do 1837 roku, egzemplarzy 1,250 po złp. 1 gr. 15 za tom, 100 egzemplarzy stracone zostały na komissach, defektach, darowiznach; ostatnie 150 egzemplarzy zakupił ryczałem, prawie za nic, jeden z księgarzy Warszawskich, gdy w 1841 r. opuścił zawód autora, tłómacza i wydawcy. Po opłaceniu kosztów druku, papieru i oprawy, zostało za pracę literacką koło 11,000 złot. polsk. za 250 arkuszy druku, to jest: około dwudziestu dwóch

złotych za arkusz, złoty polski za stronnice, grosz 1  $\frac{1}{5}$  część gr. za wiersz. Jakaż to różnica od terażniejszych wydań, terażniejszych cen za rękopism? Lecz rozbudził się popęd do czytania; powiększyła się liczba czytelników.“ Od przekładów dzieł obcych, przeszliśmy do własnych ojczystych utworów, a za usiłowania moje, mam to miłe wspomnienie, że chociaż niektórzy zasłużeni i poważni pisarze, oddali sprawiedliwość pomysłowi i działaniom moim.

Czułem to, że nie dosyć jest bawić publiczność powieściami tłómaczonemi z autorów angielskich i francuzkich, że na wydawcy ciąży obowiązek drukowania jednocześnie dzieł ważniejszych, a przez to odpłacenia się współziomkom za udzieloną pomoc i zachętę. Wydałem przeto dzieła dwóch znamienitych pisarzy wieku Stanisława Augusta, Książnina i Zabłockiego; wyszukałem rękopisma tych autorów i tym sposobem ochroniłem je od długiego zapomnienia, a może nawet od zupełnej straty. W tym czasie zrobiłem nowe wydanie tłómaczenia *Iliady* Homera i *Enejdy* Wirgiliusza, której trzech ksiąg ostatnich nie przełożył



mój ojciec. Ośmieliłem się na uzupełnienie téj pracy. Księgę dziesiątą sam przełożyłem, pierwszy rzut jedenastój i dwunastój zrobił p. Fr. Kowalski, znany tłumacz *Moliera*. Ten rzut znacznie przerobiłem i zmieniłem. P. Kowalski powołany na profesora do Szczecbrzeszyna, nie mógł zająć się wykonaniem swéj pracy, którą, przy nadzwyczajnéj łatwości swojej, w ciągu trzech tygodni uskutecznił. Posiadam rękopism pana Kowalskiego, i gdyby to kogo obchodzić mogło, mógłbym wykazać jakie zmiany i z jakiego powodu musiałem w nim poczynić. Ale któż teraz pyta się o Homera lub Wirgiliusza, o tych *przestarzałych spróchniałych klasyków*?

Zwykle tak bywa, że gdy kto puści się nową, a przynajmniej nie nadto używaną drogą, mnóstwo pobiegnie za jego śladem. Romans historyczny Walter-Skotta, wywołał roje naśladowców w Niemczech i Francyi. U nas zjawił się *Jan z Tęczyna*, p. J. U. N..... następnie *Pojata i Nałęcz*, Bernatowicza; *Ruszczyć i Tarło*, Skarbka; *Władysław Łokietek i Zygmunt z Szamotuł*, Wężyka; nareszcie *Władysław Herman i dwór jego*, przez Z. K. i *Dwaj Sreniawici*, Gaszyńskie-

go. Jednocześnie z mojem wydawnictwem powstał Zakład Gałęzowskiego, któremu winni jesteśmy wydanie pism *Górnickiego* i *kronikę Bieleckiego*, *Podróży do Anglii*, przez Lacha Szyrmę. Dzieł pani *Hoffman*, *Opisu* naszych zwyczajów i obyczajów w czterech tomach przez *L. Gołębiowskiego*, stanowczą poprawę w redakcyi kalendarzy i inne ważne i pożyteczne dzieła, które może pominąłem, piszę bowiem z pamięci, nie zaś z poszukiwań i z materyałów zebranych z ówczesnych Gazet i Dzienników literackich.

Waleryan hr. Krasieński założył zakład drukarni stereotypowej, którego głównym celem miało być wydawanie Dykcyonarza Encyklopedycznego (*Conversations Lexicon*), a który zaczął od stereotypowania przekładów Waltera-Skotta. Wypadki 1831 r., spowodowały upadek tych obudwu wydawniczo-księgarskich przedsięwzięć.

Jeszcze o jednéj okoliczności namienić powinienem, o pierwszym zawiązku Teatru Rozmaitości. W końcu 1829 r. kilku komparsów i chórzystów z teatru Warszawskiego, którzy nigdy nie występowali na scenę, dobrawszy do

siebie równe biegle i utalentowane artystki, uzyskało pozwolenie dawania reprezentacji w sali Towarzystwa Dobroczynności, pod warunkiem, że pewna część dochodów pójdzie na fundusz dla ubogich. Nowość ta, bezprzykładowa dotąd: bo Wielki Tatr, miał w Warszawie wyłączny przywilej widowisk dramatycznych: zwróciła uwagę publiczności; a osobliwość gry nowych artystów, zaczęła przyciągać widzów. Używam tego wyrazu osobliwość, gdyż przychodziliśmy po to, żeby bawić się śmieszością i niezgrabstwem gry, nie zaś artystyczném oddaniem roli. Im gorzej grał który z tych panów, tém większe zyskiwał oklaski. „*Jakiż ze mnie osioł!*“ wypadało mu powiedzieć w roli swojej; a cała publiczność wołała: bravo! fora! fora! i nieborak musiał dwa lub trzy razy powtarzać, że jest *osłem* lub *głupcem*. Pewnego razu, jakaś traiczna heroina deklamowała scenę z *Atalii* Rasyna; gdyby kto był chciał z umysłu parodiyować autora, nie byłby lepiej tego dokażał. Na takie naigrawanie się z sztuki dramatycznój, nie mogli obojętnie patrzeć ówcześni dyrektorowie teatru, Osiński i Dmuszewski.

Pomyśleli przy tém, że jakieś towarzystwo prowincjonalnych aktorów przybyć może do Warszawy i uzyskali pozwolenie na dawanie widowisk w téj sali. Uznali więc za rzecz stosowną, urządzić mały teatr pod własném zwierzchnictwem i nazwać go Teatrem Rozmaitości. Było kilku młodych artystów i artystek ze szkoły dramatycznój i śpiewu, którzy, po ukończeniu nauki, tracili młodzieńcze lata na zajmowaniu podrzędnych ról i nie mogli wdrzeć się do zastępu starszych, który składali wówczas Szymanowski, Werowski, Kudlicz, Zdanowicz, Damse i niedawno do nich przypuszczony Piasecki. Toż samo można powiedzieć o artystkach i śpiewaczkach. Całe to młode pokolenie użyto do teatru Rozmaitości i zaczęto na nim wystawiać komedyo-opery i mniejsze komedye.

Nad wszelkie spodziewanie, tak publiczności jak dyrektorów, rozwinęły się znakomite talenta, skoro im tylko otworzono pole popisu. Panowie: Panczykowski, dotąd tak ulubiony artysta, Jasiński teraz Dyrektor Teatru i Majewski już nieżyjący; panna Chojnacka, Żuliń-

ska, Żółkowska, (cóрка i siostra dwóch naszych największych komików), po pierwszych kilku wystawieniach zjednali dla nowego teatru przychyłność publiczności.

Młodzi pisarze, wzięli się do pracy. Słowaczynski napisał „*Chłopca studukatowego*”, Gaczyński „*Warjata z potrzeby*” sztuki odznaczające się barwą miejscowych obyczajów. Fr. hr. Skarbek obdarzył repertoar Rozmaitości komedią w jednym akcie „*Popas*” która co do wystawienia obyczajów i charakterystyki, stanowi epokę w dramatycznój literaturze naszój; a jakże są dalekiemi od nię późniejsze w tym samém rodzaju dramatyczne obrazki. Z takich to małych początków rozwinął się nasz Teatr Rozmaitości.

\*

\*

\*

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć z czcią i żałobą o mężach, którzy pamięcią i czynami swojemi, łączyli w kraju naszym wypadki ostatnich lat wieku ośmnastego, z pierwszemi lat trzydziestu naszego wieku i prawie wszyscy, naturalną rzeczą ludzkich kolejną, między 1815 a 1830 ro-



kiem, zeszli z tego świata. Książę Józef Poniatowski, Kościuszko, Dąbrowski, Zajączek, Wybicki, Potocki Stanisław, stary książę Czartoryjski jenerał Ziem podolskich, Staszyc, Matuszewicz, Mokronowski, Bieliński, Woronicz, Wyszkowski, Lipiński, Surowiecki, przestali przewodniczyć współziomkom, a zgonem swoim osierocili młodsze pokolenie, które jeszcze umiało uczcić i ocenić ich zasługi. Jakże zajmującym i szacownym byłby zbiór nekrologów i mów żałobnych, zagrzebanych i zapomnianych teraz w dawnych gazetach i rocznikach! Siwizną okryci, do grobu zbliżeni ich przyjaciele i współpracownicy, oddawali im cześć ostatnią, przewidując, że wkrótce też samą posługę od pozostałych odbiorą.

Jakże dla mnie jest drogie i rzewne to wspomnienie, że mogę jeszcze, młodocianemu pokoleniu powiedzieć: widziałem Kołłątaja i Karpińskiego, z rąk Staszyc i Potockiego odebrałem szkolne nagrody, z uszanowaniem pochyliłem czoło przed Dąbrowskim, Mokronowskim, Matuszewiczem, Bielińskim; nieraz, po parę godzin, Woroniczowi nieśmiertelnemu autoro-



wi *Sybilli*, czytywałem pierwsze Mickiewicza utwory.

\*            \*            \*

Kończąc ten zbiór wspomnień moich, po epokę już znacznie do obecnéj zbliżoną, skreślenie lat następnych młodszym piórom zostawiam.

Ten zarys, z wielu względów niezupełny, z różnorodnych części złożony, może dać jakiegokolwiek, chociaż niedokładne wyobrażenie o téj epoce, zamglonéj nie tyle przeciągiem czasu, ile obojętnością i lekceważeniem późniejszych. Chciałbym, żeby praca moja skłoniła którego z tegoczesnych badaczy historycznych do ściślejszego zajęcia się tym przedmiotem, iżby związała i utrzymała pasmo podań, żeby wznieciła cześć i uszanowanie tego, co w przeszłości naszej jest dobrém, prawém, szlachetném, chociaż może nie nadto głośném i błyszczącym, tego co było owocem cichych, długich i wytrwałych usiłowań.

# TREŚĆ RZECZY

## ZAWARTYCH W TÉJ KSIĄŻCE.

### Część pierwsza.

	<i>Str.</i>
I. Pierwsze wrażenia.—Majętność w Kujawach.—Dawny dwór Kasztelański. — Zatrudnienia i słabość ojca. — Pan Kraszewski i Cieszkowski. — Zgon ojca. — Matka . . . . .	1
II. Pierwszy korepetytor. — Szkoły — Wojska Austriackie. — Gugenmus i gubernator Köhler. — Tryb nauczania. — Hierarchia szkolna. — Ławka ośla. — Czytania przed zaczęciem lekcyi . . . . .	17
III. Koledzy szkolni. — Kajetan Garbiński. — Antoni Waga. — Fabryka maszyny elektrycznej. — Ksiądz Jakób Siekierka i Napoleon . . . . .	33
IV. Wspomnienia zasłużonych mężów. — Karpiński i Kołłątaj. — Ks. Kopczyński — Ks. Kamiński. — Wzmianka o kampanii 1812 . . . . .	44
V. Zarys czynności centralnych władz Księstwa Warszawskiego od 1807 do 1813 r. . . . .	56
VI. Dalszy ciąg tegoż zarysu . . . . .	68
VII. Czynności ministerjów w epoce Księstwa Warszawskiego. — Izba Edukacyjna. — Ogólny pogląd . . . . .	78

### Część druga.

I. Marzenia młodości. — Wjazd Najjaśniejszego Cesarza ALEKSANDRA I-go do Warszawy. — Pierwsze prace wierszem. — Uniwersytet. — Professor Feliks Bentkowski. — Ksiądz Ciampi. — L. Osiński . . . . .	116
II. Pustoty akademickie. — Walka z niedostatkiem. — Lista uczniów. — Wiersze za kratą. — Gospoda . . . . .	137
III. Tygodnik polski. — Bruno Kiciński. — Józef Brykczyński. — Kazimierz Brodziński. — Starsi pisarze. — Antoni Gorecki. — Nowy Parnas. — Stanis: Regulski . . . . .	148
IV. Nowa dążność, nowy rodzaj literatury. — Tymon Zaborowski. — Tragedya Maryusz w Minturnie i komedye Moliera. — Nasze kółko redaktorskie. — Brodziński na obiedzie w ogrodzie Szucha . . . . .	159

V.	Kawa pod Kopciuszkiem. — Artyści dramatyczni; — Aloizy Żółkowski. — Dola teatru Narodowego: . . . . .	179
VI.	Krytyka teatralna. — Ixowie. — Ówczesne Gazety. — Zwrot do nowego rodzaju literatury. — Lamartine. — Wzrost Warszawy . . . . .	191

### Część trzecia.

I.	Wyjazd z Warszawy. — Pobyt w Kujawach. — Uśilo- wania gospodarcze. — Obraz Kujaw. — Rodzina oby- watelska. — Ignacy Leszczyński. — Wyjazd z Kujaw. — Wzmianka o Konstantym Świdzińskim. . . . .	211
II.	Powrót do prac literackich. — Jak dawni literaci cenili twory Francuzów. — Biblioteka polska. — Literatura romantyczna. — Pierwszy sąd krytyczny o poezyach Mickiewicza, Odyńca i Witwickiego. — Marya Mał- czewskiego. . . . .	239
III.	Spółeczność warszawska. — Towarzystwo dobroczyn- ności. — Nowe gmachy i zakłady — Upiększenie mia- sta. — Instytut głuchoniemych. — Wiejska Kawa. — Obóz. — Założenie Towarzystwa Kredytowego. — Bank. — Towarzystwo Oszczędności. — Newacho- witz i jego dramatyczne sztuki. — Resursa Kupiecka. . . . .	274
IV.	Wieczory i zabawy <sup>a</sup> w domach prywatnych. . . . . Osiński. — Sagatyński. — Anegdoty tegoż. — Na- poleon w Berdyczewie. — Zbytńia delikatność guwer- nantek francuzek. — Jak trzeba mówić do J. W-go hrabiego. — Francuz, uczony jeograf. — Anegdota o księciu <i>Panie kochanku</i> . . . . .	294
V.	Zwrot do literatury ówczesnej. — Kto był prześlado- wcą, kto prześladowanym? starsi czy młodszy. — Dom generała W:K: Miejsce zbierania się ówczesnych litera- tów. — Gaszyńskiego Jaxyada. — Odpowiedź moja na recz o krytykach i recenzentach Warszawskich. . . . .	323
VI.	Obraz piśmiennictwa naszego z pierwszych 25-ciu lat dziewiętnastego wieku; przykłady niewiadomości o tój epoce, okazane przez terażniejszych recenzentów i redaktorów . . . . .	335
VII.	Kajetan Jaxa Marcinkowski. — Ballada Ordynackie . . . . .	364
VIII.	Ruch w piśmiennictwie naszym co raz to większy. — Moje wydawnictwo. — Teatr Rozmaitości. — Zgony zasłużonych mełow w namiętności. — Zakończenie. . . . .	373